

ŁUKASZ ŁUCZAJ

W DZIKĄ STRONĘ

KROSNO
2010

ISBN 978-83-61084-99-0

Skład komputerowy:

Maria Łuczaj

Opracowanie graficzne okładki:

Justyna Łuczaj Salej

Zdjęcie:

Sarah Luczaj

Wydawca:

Krośnieńska Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o.

ul. Powstańców Warszawskich 5, 38-400 Krosno

tel. 13 43 254 15

Druk i sprzedaż książki:

CHEMIGRAFIA, Michał Łuczaj

ul. Białobrzaska 74

38-400 Krosno

tel. 13 43 254 15

rysialucz@interia.pl

Kontakt z autorem: **www.luczaj.com**

Dawno, dawno temu, chyba będzie już z jedenaście lat, byłem w parku w Dukli. Byłem tam nie bez powodu. Park w Dukli, cały, caluśki wiosną śmierdzi czosnkiem, czosnkiem niedźwiedzim. Roślina ta, to dziki krewniak naszego czosnku. Jako, że lud nasz różne dzikie ziela nazywał niedźwiedzi, zajęczy albo wróblęczy, czosnek akurat dostał epitet niedźwiedzi. Nie trzeba go ani sadzić, ani siać, rośnie gdzieniegdzie wielkimi łanami, wystarczy przyjść, zerwać parę soczystych zielonych liści o kształcie liści konwalii, a smaku najprzedniejszego szczypiorku. Zrywałem więc sobie ów niedźwiedzi czosnek, jak jakiś Rosjanin lub Gruzin (dwa te narody lubują się w tym warzywie), aż tu podeszła do mnie staruszka. Machnęła laską i powiedziała: „Panie, nie jedz tego, toż to dzikie!”.

* * *

Im bardziej człowiek rozwija cywilizację, tym częściej pojawia się w mediach i sztuce temat powrotu do natury, naturalności i dzikości, jako wartości utraconej. Przeświadczenie, że obecne czasy są „gorsze” od przeszłości, jest stare jak sam człowiek. Już starożytni Grecy wierzyli w „złoty wiek ludzkości”. Potem jeszcze wielu innych myślicieli na czele z Rousseau studiowało temat dzikości, czując rozdźwięk między tym, co naturalne i tym, co „sztuczne”. Sam też wiele lat spędziłem na próbie zrozumienia tego zagadnienia, a w międzyczasie ostatnie szczepy zbieraczy - łowców na Ziemi poddawane były stopniowej eksterminacji.

Książka ta jest pomyślana jako zbiór notatek i rozmyślań pochwyconych na szybko po spacerze, w pociągu, samolocie, po śniadaniu. Tworzy tematyczną całość, ale może być czytana w dowolnym porządku - tak jak czyta się zbiór poezji czy encyklopedię. Pierwszą przymiarką do dzieła o „dzi-

kim człowieku” był dla mnie tekst, który napisałem kilka lat temu do internetowego magazynu ezoterycznego *Taraka*, zatytułowany „Okresowy powrót do paleolitycznego trybu życia jako nowy czas sacrum”.

Coraz to nowe badania z dziedziny medycyny i psychologii pokazują, jak korzystne dla dobrostanu człowieka jest zmaksymalizowanie w naszym współczesnym życiu takich elementów, które przypominają pierwotny sposób życia człowieka; jak wysokobiałkowa dieta oparta o dobrej jakości chude mięsa oraz bogate w mikroelementy dzikie rośliny, dieta uboga w cukier, skrobię i tłuszcz, jak duża ilość ruchu, długie karmienie dzieci piersią czy przynależność do niewielkiej grupy o silnych więziach emocjonalnych. Może niedługo i „naukowo” udowodni się wielkie znaczenie dla naszego dobrostanu okrutnych obrzędów inicjacji i szamańskich transów.

Słowa „naturalny” i „dziki” niosą w sobie wiele znaczeń, często sprzecznych. Rozważania nad nimi, pomimo że przypuszczalnie nie doprowadzą do jakiegoś wielkiego przełomu w skali całego świata, mogą poprawić jakość życia i stworzyć poczucie szczęścia u jednostek.

Książkę o dzikim i naturalnym napisałem, bo temat ten nurtował mnie przez całe życie. Starając się być bardziej dziki i naturalny, postępując za jakimś wewnętrznym instynktem, uświadamiałem sobie stopniowo jak trudne, skomplikowane i wieloznaczne to zadania. I pomimo że wiele rzeczy mi się nie udało, to poszukiwanie natury odkryło dla mnie szerokie życiowe horyzonty i wypełniło życie pierwotną radością.

W książce wiele jest odniesień do przyrody. I nie bez powodu. Jestem z wykształcenia biologiem - ekologiem i etnobotanikiem. Piszę ją jednak nie tylko z perspektywy naukowca, ale i człowieka, który poszukiwał dzikości naprawdę, mieszka na wsi, próbuje powrócić do różnych prehistorycznych technik i dużo czasu spędza po prostu na trawie, patrząc na chmury.

Into the Wild

Kiedy zaczynałem myśleć o napisaniu czegoś, niezwykłą popularność uzyskała książka *Into the Wild* Jona Krakauera, a potem oparty na niej film. Jest to dogłębna liryczna analiza historii życia niejakiego Christophera McCandlessa. Ten młody, skłonny do samotnych podróży człowiek w pewnym momencie postanawia na pewien czas zupełnie odciąć się od cywilizacji, z plecakiem, śpiworem, strzelbą i paroma jeszcze gadżetami wyrusza w głąb Alaski. Jego zwłoki zostały znalezione później w śpiworze we wraku autobusu pośród przepastnych alaskańskich lasów.

Ten nieszczęsny młody człowiek stał się dla ludzi symbolem tych, którzy szukają natury i dzikości. Jak wiele osób pisało do mnie albo mówiło: „Znasz książkę *Into the Wild*? To trochę jak ty!”. Tylko co to znaczy „trochę”? Przez jakiś czas marzyłem o takim posunięciu jak on, odseparowaniu się gdzieś w Bieszczadach, ale w tym momencie miałem już żonę i pierwszą córkę, miałem wentyl bezpieczeństwa i łącznik z ludzkością. Też fascynuję się zdobywaniem pożywienia w przyrodzie, a kiedy byłem w wieku McCandlessa miałem podobnej długości brodę i podobnie nawiedzony wzrok. Nigdy nie doszedłem do ekstremalnego przeżycia, jakim było spędzenie samotnie zimy w tajdze, będąc zmuszonym polować na zwierzynę. Robiłem rzeczy stopniowo. Więc i stopniowo uświadamiałem sobie swoją słabość. Wynikającą i z konieczności wieloletniej zaprawy, naturalnej słabości pojedynczego człowieka zdanego na dłuższe lata zmagania z żywiołem i... z własnych fizycznych ograniczeń - zawsze byłem najgorszy na lekcjach WF, w biegach potrafiłem prześcignąć tylko dwóch grubasów, piłki

w grach nigdy nie mogłem złapać, jedyne co potrafiłem, to celnie rzucać do kosza. Nigdy do końca nie zrozumiałem swojej przypadłości. Robiłem sobie nawet jakieś testy, podejrzewając wadę serca. A tu wszystko w porządku. Może to jakiś defekt na poziomie oddychania komórkowego?

Ludzi, z reguły młodych mężczyzn, próbujących w pewnym momencie życia uciec od cywilizacji, jest i było wielu. Wielu wracało po pierwszej nocy w lesie, inni po miesiącu, jeszcze inni po roku czy dwóch latach wędrówki. McCandless stał się sławny dzięki swojej śmierci, która wynikała w dużym stopniu z braku przygotowania i rozeznania terenu. Dzikie plemiona mieszkają w miejscach, które znają z reguły od dziecka. Od dziecka wyrastali ci ludzie w pewnym klimacie, chłodnym czy gorącym. Ich sprzymierzeńcami są też duchy przodków, którzy pomarli na tym terytorium. Gniewni młodzi ludzie zachodu uciekają zwykle (ale nie zawsze) w miejsca, w których nigdy wcześniej nie byli.

Chris McCandless uciekał od ludzi i systemu. Jednak zabrał ze sobą tak zbrodniczy jego fragment, jak broń palną. Zabrał też nowoczesny śpiwór i aparat fotograficzny, za pomocą którego uwiecznił swoje ostatnie dni.

Przynajmniej jeden rozdział książki Krakauera zajmują dywagacje, dlaczego McCandless zginął. Film przychyła się ku wersji, że jadł trujące rośliny. Jednak prawda jest bardziej skomplikowana i, jak pisze Krakauer, przypuszczalnie zadziałało tu kilka czynników na raz: jego kontuzja, wychłodzenie i może kumulacja trucizn z roślin, które jadł. Jako długoletni zjadacz dzikich roślin wiem jednak, że organizm, poza bardzo trującymi roślinami, zwykle stopniowo sygnalizuje nam, że coś nam szkodzi. Rośliny, po których źle się czujemy, stopniowo stają się dla nas jakby mniej smaczne. No ale McCandless był uparty i miał mały wybór. Warto pamiętać jeszcze o tzw. rabbit starvation, czyli śmierci z powodu odżywiania się chudym

mięsem - prawie samym białkiem. Organizm po kilku dniach takiego odżywiania się reaguje wymiotami i osłabieniem.

Człowiekowi niedoświadczonemu w zdobywaniu pożywienia może być trudno przeżyć, nawet kiedy ma broń palną. Dzikie zwierzęta mają w swoim ciele mało tłuszczu, a samo białko jest mniej kaloryczne niż tłuszcz. Dzikizna jest więc dużo mniej kaloryczna niż tłuste mięso hodowanych świń czy krów. Żyjąc w warunkach „naturalnych”, w ciągłym ruchu i narażeni na chłody, potrzebujemy z grubsza około 2 kg dziczyzny dziennie aby przeżyć. Łatwo przeliczyć, jak wiele zwierząt trzeba zabić, o ile nie mamy pod ręką żubrów, łosi czy słoni. Zresztą zabicie takiego dużego zwierza też nie gwarantuje sukcesu, gdyż potrzeba wiele pracy, aby zakonserwować tak wielkie ilości mięsa, na przykład przez suszenie czy wędzenie. Doświadczył tego Chris Mc Candless, który upolował łosia, ale znaczna część jego mięsa zmarnowała się, zjedzona przez larwy much.

Podobnych trudów polowania, tym razem głównie na drobne leśne ptactwo, i braku satysfakcji tym pożywieniem doświadczył Raymond Maufrais. Książka *Zielone piekło* jest wstrząsającym dokumentem jego dwóch samotnych podróży przez dżungle Ameryki Południowej. Drugiej z tych podróży nie przeżył. Znalaziono tylko jego pamiętnik. Bohater pamiętnika był potwornie wyczerpany częstymi opadami tropikalnego deszczu i innymi niedogodnościami środowiska. Na to narwało się niedożywienie, przypuszczalnie właśnie *rabbit starvation*, spowodowane przez odżywianie się wyłącznie chudym mięsem.

Należy sobie zadać pytanie, na ile ucieczka w głąb lasu z bronią wyprodukowaną w fabryce, z aparatem fotograficznym, śpiworem i kaloszami jest ucieczką od cywilizacji. Rozumieją to jedynie McPhersonowie, małżeństwo, autorzy książki o podobnym tytule: *Naked into the Wilderness*, czyli *Nago*

w dzikość. Nie jest to jednak pamiętnik ich drogi do śmierci, ani przeżywania dwóch lat w lesie, ale przewodnik, jak przeżyć i zrobić wszystko, nie mając nic, absolutnie nic. Autorzy są tak ortodoksyjni, że nawet gdy tłumaczą, jak rozpala się ogień łąkiem ogniowym, instruują jak zrobić cięciwę uplecioną z własnych (długich!) włosów lub z włókien roślinnych. Oczywiście jak nóż, to tylko z kamienia lub rogu...

Sama Alaska, słynąca ze swej dzikości, jest jednym z miejsc, gdzie wielu śmiałków próbowało samotnie uciec od cywilizacji. Krakauer przytacza na przykład przypadek śmiałka, który zbudował chatę w głębi alaskańskiej głuszy, zebrał prowiant na zimowanie, ale źle skalkulował ile mu potrzeba jedzenia i już w lutym zagłodził się na śmierć, podobno nie próbując zbytnio się ratować (trzy mile w dół rzeki była pusta chata zaopatrzona w prowiant).

Inny przykład Krakauera to historia niejakiego Gene'a Roselliniego. Ten niezwykle uzdolniony człowiek z bogatej rodziny chodził na studia uniwersyteckie, gdzie otrzymał bardzo dobre oceny, uczęszczając na kursy z antropologii, historii, filozofii i lingwistyki. Nie ukończył jednak studiów, bo nie widział takiej potrzeby, pomimo, że zaliczył większość przedmiotów. Studia porzucił i wybrał się na wędrowkę wzdłuż zachodniego wybrzeża, w stronę Alaski. W roku 1977 osiadł w lesie nieopodal miasteczka Cordova. W wywiadzie udzielonym dziennikarce dziesięć lat później tłumaczył, że żyje jak jego pierwotni przodkowie. Odrzucił prawie wszystkie zdobycze cywilizacji w przekonaniu, że ludzkość wraz z jej rozwojem ulega powolnej degeneracji. Eksperymentował z różnymi okresami rozwoju ludzkości, i w końcu osiągnął poziom rozwoju z epoki neolitu. Domyślam się, że chodzi o to, iż uprawiał jakieś rośliny (inaczej chwaliłby się, że jest paleolityczny).

Takie życie Roselliniego trwało kilkanaście lat. Pod koniec tego okresu, jak wynika z zachowanego listu do przyja-

ciela, zwątpił w możliwość pełnego sukcesu i postanowił wyruszyć w permanentną podróż dookoła świata, na piechotę. W końcu jednak nigdy nie opuścił „swojego” lasu. Popenił samobójstwo w roku 1991.

Okresowy powrót do paleolitycznego trybu życia jako nowy czas sacrum

Referat na I Zjeździe Autorów i Czytelników TARAKI w Ryni 21-23.IV.06, opublikowany na stronie www.taraka.pl

Człowiek u swojego zarania był zbieraczem-łowcą. Wielkie wspólnoty prowadziły nomadyczny lub semi-nomadyczny tryb życia. Ludzie żyli w prostych, często tymczasowych schronieniach, gromadzili niewiele dóbr i zapasów, a żywili się tym, co znaleźli i złapali. Kultura człowieka pierwotnego była nomadyczna, egalitarna i w małym stopniu oparta o własność. „Własnością” były relacje społeczne, wpasowanie się w ekosystem oraz relacje ze światem duchowym. Pierwotna duchowość człowieka to animizm i szamanizm. W rzeczywistość duchową nie trzeba było „wierzyć”, ona istniała. Powszechna była wiara w ożywioną i obdarzoną duszą naturę przedmiotów. Łatwiejszemu kontaktowi z nią i łatwiejszemu przechodzeniu w stany zmienionej świadomości sprzyjały następujące czynniki: sam animistyczny światopogląd, okresowy brak pożywienia („posty z konieczności”), często niewygodne szalasy, zaburzające okres snu w ten sposób, że zacierały różnice między jawą a snem (przeciwieństwo budzika), pożywienie oparte o mięso i niskokaloryczne rośliny, co zapobiegało racjonalizującemu działaniu wysokiego poziomu cukru we krwi, a także wysoka znajomość roślin i grzybów psychoaktywnych. Do-

datkowo etos myśliwego promował okrutne inicjacje i inne próby fizyczne, stawiające człowieka na granicy śmierci. Samo ubóstwo narzędzi i środków promowało bezpośredni „kontakt z rzeczywistością”, zarówno w aspekcie fizycznym („krew”), jak i bezpośredni kontakt ze światem duchów.

Zmiany, które nastąpiły w większości społeczeństw w ciągu ostatnich kilkunastu lub kilku tysięcy lat, objawiające się udomowieniem roślin i zwierząt, osadzeniem wspólnot ludzkich w stałych siedzibach, ostatecznie zwiększeniem komfortu życia i spania, zwiększeniem ilości dóbr materialnych i wielkości wspólnot, miały silny, w dużym stopniu racjonalizujący wpływ na zachowania ludzkie.

O ile w małych, tradycyjnych wspólnotach zbieraczy-łowców i prymitywnych rolników święto, czas sacrum, w opozycji do profanum, jest, za wyjątkiem obrzędów inicjacyjnych, czasem większych zgromadzeń ludzkich, odpoczynku po polowaniu czy zbiorach, ewentualnie czasem przygotowania do nich, to zupełnie inna sytuacja zachodzi w bogatych społeczeństwach postindustrialnych. Tutaj wakacje, dłuższy czas wolny, w przeciwieństwie do na przykład Bożego Narodzenia, reliktu świąt tradycyjnych, stają się okresem swego rodzaju „intensyfikacji przeżyć”.

Monotonia codziennej pracy i czynności z nią związanych jest zamieniana na stanie się kimś innym. Wigilia Bożego Narodzenia w Polsce kręciła się w dużym stopniu wokół jedzenia. Społeczeństwa niedożywione jedzenie sakralizowały. Nasze dosyć dobrze odżywione społeczeństwo w coraz większym stopniu przenosi siłę ciężkości ze schematycznych i rytualizowanych świąt tradycyjnych, na święta oparte o możliwość samoekspresji, powrotu do trybu życia, który nam najbardziej odpowiada ewolucyjnie albo okazję do nadrobienia inicjacyjnych zapóźnień.

Ośmielam się stwierdzić, że wiodącą tendencją w sposobie spędzania tego wolnego czasu, nowym wyrazem święta,

jest powrót do pierwotnego trybu życia człowieka. Jest to powrót czasami świadomy, jak na przykład na różnego rodzaju survivalowych czy indianizujących warsztatach lub spotkaniach, zwykle jest to jednak proces odruchowy, nieświadomiony. Tutaj wymienić należy nomadyzację wakacji, chęć przemieszczania i podróżowania, szczególnie połączoną z obozowaniem pod namiotem czy w przyczepie kampingowej. Wszelkie wyprawy wędkarskie czy grzybobrania (czysta forma zbieractwa i łowiectwa) oraz formy bardziej zawaolowane (safari, rafy koralowe, wycieczki do zoo itp.). O dziwo, wyrwaniu z dużych organizmów społecznych (korporacje, szkoły, biura) towarzyszy intensyfikacja kontaktów interpersonalnych - nowe znajomości, przyjaźnie, romanse. Człowiek powraca do niewielkich, kilkunasto-kilkudziesięcioosobowych struktur społecznych (obozy wędrownie, wycieczki autokarowe, wyjazdy „ze znajomymi”).

Obecnie w antropologii pojawiają się dwa główne hipotetyczne pierwotne habitaty *Homo sapiens*. Jeden z nich to sawanna, a drugi to bogate w mięczaki i ryby wybrzeża rzek, jezior i mórz. I sawanna, i owe wody są oczywiście w klimacie gorącym. I co roku Europa jest świadkiem wielkiego exodusu do tych pierwotnych habitatów człowieka. Zjazdy rockowe, hippisowskie, indianistyczne, a także z innej beczki - złoty średniowiecznych rycerzy, motocyklistów, rajdowców, a nawet miejsca spotkań z papieżem, mają wspólną cechę - to wielkie sawannopodobne amfiteatralne trawiaste miejsca, zwykle z pojedynczymi drzewami. Ci, którzy nie udali się na owe złoty, stoją w korkach na autostradach (lub w kolejkach na lotniskach) w drodze na gorące plaże południowej Europy i Ciepłych Krajów. Tam półnaczy lub nadczy, zajadając małże, smażone ryby, winogrona czy mango, tańcząc na dyskotekach po jakiejś tam extasy, są może trochę bliżsi swoim przodkom niż za ekranem komputera lub przy szkolnym biurku, w ponury śnieżny styczniowy dzień.

Rozwijająca się ostatnio tzw. medycyna ewolucyjna stara się zapobiec chorobom właśnie poprzez nauczenie ludzi, jak we współczesnym świecie żyć zgodnie z wypracowanym ewolucyjnie pierwotnym sposobem życia człowieka. Oznacza to między innymi dużo, dużo ruchu oraz liście, owoce i chude mięso w diecie.

Ale co to ma wspólnego z duchowością? Otóż ma. Po pierwsze często samouświadamiane odczucie bycia człowiekiem bardziej pierwotnym, bliższym wymagowanym „korzeni”, odczucie powrotu do złotego wieku staje się celem w samym sobie, a wakacje czasem świętym. Po drugie ten święty wolny czas jest prerokwizytem przemian świadomości. Czas wolny to czas, kiedy odpoczywają budziki. Nasz naturalny rytm snu nie jest drastycznie przerywany, a sny się często właśnie wtedy pamięta. Sny sobotnie to sny często najbardziej znaczące. To czas na wyciszenie, medytację, modlitwę, jogę, pielgrzymkę. Ale i czas szaleństwa. Kiedy można pozwolić sobie na siedzenie przed monitorem przez 24 godziny, odwiedziny dyskotek, wędrowkę po Europie autostopem. Czas wolny, to czas poszukiwania czegoś nowego, odnowy spontanicznej więzi z ludźmi, przyrodą i duchowością. Czas kiedy podświadomie poszukuje się sytuacji liminalnych, na granicy, otwartych, ryzykownych, nieokreślonych. Autostop, podróże, narkotyki czy nawet rozłąki ze środowiskiem społeczno-przyrodniczym, które otacza nas na co dzień, są przynajmniej po części takimi sytuacjami. Czasem sytuacjami groźnymi - najczęściej wypadków samochodowych zdarza się właśnie podczas wakacji.

Do tej pory w artykule przewijały się sytuacje, kiedy sakralny i liminalny aspekt wakacji był czymś nieświadomym. Ale gdyby tak podejść do tego świadomie? Z nastawieniem, trochę teatralnie. Mądrze łącząc lub oddzielając inicjacyjno-deprywacyjne i orgiastyczno-karnawałowe aspekty

święta. Sam nie wiem czy to poprawi, czy zepsuje zabawę. Gdyby tak doprowadzić do tego, że piesze (odchudzająco-transformacyjne) pielgrzymki do Afryki na safari połączone z wędkowaniem, seksem grupowym i techno-party, poprzedzone sadosmachistycznym wątkiem inicjacyjnym staną się czymś tak świętym i tradycyjnym jak wigilia? I o tym chętnie podyskutuję.

Co to znaczy naturalny?

Przymiotnik naturalny ściśle wiąże się z przymiotnikiem pierwotny. Naturalny to zgodny z naturą, pierwotny - taki jaki był pierwotnie, na początku. Jeśli zakładamy, że człowiek jest coraz mniej „naturalny”, to wzorca człowieka naturalnego powinniśmy szukać w człowieku „pierwotnym”.

I tu przypomina mi się pewne naukowe seminarium (37 Seminarium Geobotaniczne), które odbyło się w roku 1992 w Warszawie, w ramach zebrania Sekcji Geobotanicznej Polskiego Towarzystwa Botanicznego, zatytułowane „Pierwotność przyrody polskiej”. Jego organizator, profesor Janusz Faliński, uznał je za na tyle doniosłe, że jego zapis magnetofonowy opublikowano w piśmie *Phytocoenosis*¹. Dyskutanci - ekolodzy roślin i archeolodzy - debatowali o tym, od kiedy przyroda Polski przestała być pierwotna. Czy dwanaście tysięcy lat temu, kiedy ostatnie zlodowacenie zaczęło ustępować i wzrastać zaczęło zaludnienie? Tylko wtedy jeszcze była tundra... Czy lasy, które ukształtowały się potem, w pierw typy tajgi brzo-zowo-sosnowej, a potem dopiero z udziałem innych gatunków: dębu, lipy czy wiązu, były jeszcze naturalne? A może

¹ Faliński JB (red.) 1993. Pierwotność przyrody. Zapis dyskusji geobotaników, archeologów, paleoekologów, gleboznawców, hydrobiologów i ekologów zwierząt na XXXVII Seminarium Geobotanicznym, Warszawa, 29 lutego 1992 r.. *Phytocoenosis. Seminarium Geobotanicum* 5 (N.S.)

oddziaływanie człowieka było u nas jeszcze 2-3 tys. lat temu na tyle małe, że las wtedy, przynajmniej w części kraju, można by uznać za pierwotny? Czy naturalny jest Białowieski Park Narodowy, ostatni prawie nietknięty ręką człowieka obszar lasu na Niżu Europy?

Pamiętam, jak zastanawiałem się, gdzie robić moją pracę magisterską. Profesor Andrzej Batko poradził mi, abym robił ją w właśnie w Puszczy Białowieskiej, u profesora Falińskiego, bo pomijając niesamowitą postać tego drugiego, „będę miał przez całe życie punkt odniesienia”, „będę wiedział, co to znaczy naturalny las”, „nikt mi nie wmówi, że byle lasek jest naturalny” - mówił Batko. I posłuchałem go.

I pojechałem do Puszczy. Miałem dziewiętnaście lat. Wcześniej łąziłem trochę po Karpatach i po lasach Mazowsza, widziałem wiele pięknych fragmentów lasu. A Puszcza zaskoczyła mnie. Po pierwsze martwym drewnem - wszędzie wpół zgnite pnie. Na nich paprocie, mchy, grzyby, nawet młode drzewka. W miejscach po przewróconych świerkach wielkie doły z wodą. Las gospodarczy żyje eutanazją - wszystkie drzewa umierają tak samo - pod piłami, kiedy przychodzi ich czas. Tutaj drzewa umierały różnie. Jedne gatunki, jak sosny, zasychały i stały jeszcze latami jak duchy. Inne, jak lipy i osiki, łamały się. Wreszcie świerka wiatr wyrывał z korzeniami. W tym lesie mniej było wertykalności, drzewa nie wyglądały jak wojsko stojące na baczność na placu defilad. To było pole bitwy, a może pijany taniec w jakimś prymitywnym obrzędzie. Drzewa pionowe, drzewo martwe poziome. Drzewa prawie poziome, z których odrastały pionowe, nowe pnie. Drzewa pod skosem. Drzewa wyrastające na drzewach. Choinki na zgniłych pniach wysokości jednego metra. Dziury po wykrociach, w których można się utopić, martwe lipy, puste w środku, w których można spędzić noc.

Jakby policzyć rośliny rosnące w tym lesie, ich gatunki, okazałoby się, że jest ich podobna ilość jak w lesie „prawie

naturalnym”, jakimś byle rezerwacie czy dobrze utrzymanym drzewostanie gospodarczym. Ale ten las ma inną geometrię... No i więcej saprofitycznych grzybów na martwym drewnie, więcej pędraków i innych larw toczących pnie. Tych aspektów naturalnego lasu jest więcej. Zwierzęta. W tej Puszczy żyją żubry i dziki, i jelenie, wilki, lisy i rysie. Ale nie ma niedźwiedzi. Wyginęły wiele lat temu. Czy dziki las, nietknięty siekierą, z wilkiem i żubrem, ale bez niedźwiedzi, jest naturalny? Podobno kiedyś mogły też tu żyć rosomaki, dziś ograniczone do dalekiej północy. Może dopiero Puszcza Białowieska z rosomakami jest kompletna, naturalna? Zwierzęta potrafią też odcisnąć bardzo silne piętno na roślinności. Dziki buchtują co roku znaczny procent Puszczy, miejscami wygląda ona jak pole orne z pojedynczymi drzewami. Na swoich ryjach przenoszą kłaczka leśnych kwiatów. Z żubrzych „placków” kiełkują nasiona niektórych roślin. Bobry wycinają w pień całe nadrzeczne drzewostany.

Jeszcze sto lat temu większość obszarów leśnych oddalonych od zadymionych wiosek pokryta była kożuchem porostów - brodaczek (rodzaj *Usnea*). Obecnie brodaczki można znaleźć jako rzadkość w północno-wschodnim rogu Polski, reszta kraju pozbawiona jest tych porostów. Relatywnie dużo porostów można znaleźć na oceanicznych wybrzeżach Zachodniej Europy, na przykład w Bretanii. Powietrze przynieszone znad morza przez zachodnie zwykle wiatry jest tam bardzo czyste. Większość gatunków porostów jak wiadomo jest wybitnie wrażliwa na najdrobniejsze nawet zanieczyszczenia powietrza.

Sawanna, morze i dzieci

W ostatnim dziesięcioleciach ukształtował się stereotyp sawanny jako pierwotnej ojczyzny człowieka. Zamknijmy oczy. Wielka trawiasta przestrzeń, pojedyncze drzewa i zakrzaczenia, lwy, słonie, antylopy...

Jeden z ojców antropologii kultury, badacz początków religii, twórca pojęcia *animizm*, Edward Tylor, bardzo interesował się naturalnymi skłonnościami dzieci. Uważał, że w niektórych zachowaniach i skłonnościach dzieci zachowane są początki ludzkości. Miał tu przede wszystkim na myśli różne dziecięce formy myślenia i zachowania magicznego. A może skłonności dzieci wskażą nam też ekologiczną ojczyznę człowieka? Zarówno dzieci i dorośli lubią otwarty krajobraz z pojedynczymi drzewami. Więc parkowy krajobraz sawanny na pewno należy do jednego z preferowanych landszaftów. Dzieci lubią chodzić do parku... W parkach i miejskich zieleńcach często jest piaskownica. Dzieci kochają piasek. Kochają morski piasek, plaże, morze i w ogóle wszelką wodę.

Hipotezę związku ewolucji człowieka z wodą stworzył już kilkadziesiąt lat temu oceanograf Alister Hardy. Teorię tę wymyślił w roku 1930, ale przedstawił ją dopiero 30 lat później. Jego głównym argumentem była obecność u ludzi grubej warstwy tkanki tłuszczowej, jak u wielu ssaków morskich. Jego oponenti jednak bronią teorii sawanny, mówiąc, że i na sawannie tłuszcz był potrzebny, żeby ogrzać nagie ciało podczas zimnych nocy. Inną zwolenniczką teorii wodnej małpy jest Elaine Morgan. Przytacza ona jeszcze więcej argumentów za wodno-ładowością: szczałkowe błony pławne między palcami, gruczoły łzowe jak u zwierząt wodnych, umiejętność pływania

i kontrolowania oddechu. Zaznaczyć należy, że przypuszczalnie hipotezę sawanny i wodnej mały można jakoś połączyć. Może w pierw ewoluowaliśmy nad wodami, a potem przenieśliśmy się na sawanny. A może jesteśmy istotami przystosowanymi do dwóch środowisk?

Zakładając, że człowiek jest wszystkożercą, skraj morza powinien być dla niego najkorzystniejszym środowiskiem. Żyjąc w takim miejscu może penetrować nie tylko środowisko łądów, na przykład las czy sawannę, ale pozyskiwać bardzo cenny pokarm ze zwierząt morskich, na przykład ryby, skorupiaki, małże, jak również morskie wodorosty. Na niektórych brzegach mórz tropikalnych występują na dodatek namorzyny, lasy z drzewami o pniach podniesionych przez wystające korzenie, co umożliwia wzrost drzew w strefie zalewów. Lasy te, na przykład w Indochinach, są bardzo bogatym źródłem pożywienia, siedliskiem wielu gatunków zwierząt morskich.

Hipoteza wodnej mały i związku człowieka pierwotnego z wodą była przez wiele lat wyśmiewana przez większość archeologów. Większość znalezisk przodków człowieka pochodzi z głębi łądu, głównie wyżyn wschodniej Afryki. Jednak istnieje przecież możliwość, że nadmorskie szczątki ludzkie zostały zniszczone wskutek podniesienia poziomu mórz. Bardzo ważnym argumentem przemawiającym za znaczeniem mórz w pierwotnej ekspansji człowieka są nowe poglądy na zasiedlenie Ameryki. Ameryka została zasiedlona niedawno, sami Indianie są mało zróżnicowani genetycznie. Jak więc w ciągu krótkiego czasu mogli skolonizować tak olbrzymi kontynent? Zakładając, że ich przodkowie dostali się z Azji przez Alaskę i cieśninę Beringa, aby dojść do Ziemi Ognistej, musieliby kolonizować bardzo różne środowiska: tajgę, lasy liściaste, stepy, półpustynie, lasy zwrotnikowe i równikowe. Okazuje się, że są ślady tego, że kolonizacja Ameryki odbywała się w pierw wzdłuż brzegu. Ławice jadalnych małży, na przykład szczególnie licznych i łatwych do zbierania omułków,

występują wzdłuż całego brzegu Ameryki, od Alaski po Ziemię Ognistą. Rozrastające się pierwsze indiańskie rodziny przemieszczały się po prostu kilkadziesiąt kilometrów albo i dalej, gdzie - nie zmieniając technologii zdobywania pożywienia - mogły docierać do coraz to nowych zasobów małży i ryb. Środowiska ekotonów - skrajów dwóch ekosystemów - są niezwykle bogate i atrakcyjne dla człowieka. Kanadyjscy badacze, Nancy Turner, Iain J. Davidson-Hunt i Michael O'Flaherty, twierdzą, że Indianie z zasady wybierali jako miejsce przebywania właśnie ekotony: brzegi mórz, jezior i rzek oraz strefy styku terenów zalesionych i otwartych². Wszakże brzegi mórz to nie tylko małże i ryby, ale jagody rosnące w lasach czy nadmorskie ptaki i ich jaja. Także jaja żółwi, kraby i wiele innych organizmów. Skaliste brzegi mórz mogą się wydawać bardzo niedostępne, ale to właśnie one są schronieniem wielu gatunków. W nadmorskich klifach gnieźdzą się ptaki, w polowaniu na które specjalizowali się zarówno mieszkańcy szkockiej wyspy St. Kilda (najbardziej izolowanego obszaru Wysp Brytyjskich), jak mieszkańcy Ziemi Ognistej.

Jako przykłady pierwotnych zbieraczy-łowców zwykle przytacza się żyjących w sawannie Hadza oraz południowoafrykańskich tzw. Buszmenów (ludzi mówiących językami z grupy Khoi-San, dla odróżnienia odrębności poszczególnych grup używa się obecnie ich własnych nazw, na przykład !Kung, Ju/'hoansi, /Gui, //Gana, Tyua, dziwne znaczki !, / i ' oznaczają klikli, dziwne dźwięki z ich języka). Tymczasem wśród ludów przynajmniej do niedawna uprawiających zbieracko-łowiecki tryb życia są także ludy nadmorskie: Inuit (dawniej zwani Eskimosami) z Arktyki, Cyganie Morscy (Moken) z wybrzeży Birmy, Tajlandii i Malezji oraz Andamańczycy z Wysp Andamań-

²Turner N, Davidson-Hunt I, O'Flaherty J 2003. Living on the Edge: Ecological and Cultural Edges as Sources of Diversity for Social-Ecological Resilience. *Human Ecology*, 31: 3

skich (pomiędzy Indiami i Półwyspem Malajskim). Tereny nadmorskie były zawsze najatrakcyjniejszymi terenami do życia, więc często żyjące tam prymitywne kultury były eksterminowane na korzyść większych społeczeństw, a potem państw. Prawdą jest, że pierwsze miasta były wynikiem wynalezienia rolnictwa. Ale pierwsze ludne wsie i osiedla zbieraczy-łowców to mieszkańcy brzegów wód. Indianie wybrzeża Pacyfiku w sposób chyba najbardziej intensywny i czasochłonny ze wszystkich Indian oddawali się działalności przypominającej współczesną sztukę dzięki bogatym ławicom łososia wpływającym z oceanu do rzek Gór Skalistych i dzięki obfitości innych „owoców morza”. Ich „niedalecy” sąsiedzi na wschód od pasa gór oddzielającego ich od oceanu żyli już w wielkim rozproszeniu, w ciągłej wędrówce za skąpą zwierzyną, kłaczami roślin i nasionami sosny.

Zima

Kiedy próbowałem żyć okresowo jak dziki człowiek w karpackich lasach, zawsze głęboko dotykał mnie problem klimatu. Śnieg leży zwykle przez 3-4 miesiące, między listopadem i kwietniem, temperatury spadają prawie co roku na kilka dni do ponad -20°C , częste są przymrozki i mniejsze mrozy. Nawet w lecie noce są zimne, a wilgotny klimat i zimna rosa o poranku dodatkowo potęgują uczucie letniego chłodu. Kilka lat temu, drząc z zimna w zbudowanym przez siebie z gałęzi i traw szałasie, okopcony dymem z ogniska, czasem wręcz do poziomu wymiotów, wciąż zmarznięty mimo tylko -3°C na zewnątrz i ciepłej kurtki, zacząłem się zastanawiać czy naturalne życie w ogóle ma sens w tym klimacie. Moi przodkowie wywędrowali z wyżyn wschodniej Afryki 100 tys. lat temu i pewnie gdzieś dopiero 50 lub 20 tys. lat temu dotarli do miejsc,

gdzie czasami pada śnieg. Jaki sens ma szukanie natury w lesie w zrobionej w chińskiej fabryce kurtce czy nawet w kożuchu, choćby z zabitej przez siebie owcy? A może powinienem siedzieć w tym szalasie nago, nawet w zimie? Próbować zahartować się? Oczywiście zwiększyłoby to moje zapotrzebowanie na pożywienie, a na dodatek zadziwiłoby sąsiadów wiozących drewno z lasu. Ciało człowieka ma wielkie zdolności adaptacyjne. Charles Darwin, podczas swojej słynnej podróży na okręcie Beagle obserwował Indian Ziemi Ognistej, którzy w temperaturze zbliżonej do zera stopni chodzili nago, bo nie znali ubrania. Opisuje nawet karmiącą piersią matkę, na którą spadają płatki śniegu.

Zresztą nie tylko Indianie Ziemi Ognistej świetnie znosili zimno. Także mieszkańcy Australii, nieużywający ubrania, zmuszeni byli w zimne, pustynne noce grzać się własnymi ciałami lub ciałami swoich psów. A żeby nie szukać daleko, mój kolega J, kiedyś mieszkawiec samotnej chaty na peryferiach podkarpackiej, dziś mieszkawiec nie mniej dzikiego przysiółka w Beskidzie Niskim, od wielu lat prawie nie pali w piecu. W Kopytowej spał w śpiworze razem z psem. Teraz pies mu zdechł i, chyba, śpi sam. Goście, którzy trafiają zimą do jego chaty, wytrzymują w niej kwadrans, a godzinę wówczas, gdy gospodarz poczęstuje ich którąś ze swych nalewek.

Tolerancja niskich temperatur to sprawa aklimatyzacji. Do tropikalnej Tajlandii wyjechałem w grudniu i wracaliśmy przed Nowym Rokiem. Trzy tygodnie wystarczyły, aby się kompletnie odzwyczaić od zimy. Pierwsze wyjście w temperaturze minus trzy stopnie wydawało się jak wyrok śmierci, zimno kłuło po twarzy i osaczało. Po dwóch tygodniach w tej samej temperaturze bez kłopotu wytrzymuję pięć minut w samym swetrze, przechadzam się po ogrodzie.

Przystosowanie się do zimna widać też na moich wiosennych warsztatach polowych. Na przełomie kwietnia

i maja, kiedy je organizuję, temperatura w dzień wynosi już 10-20 °C, ale w nocy spada czasem do minus trzech lub czterech. Pomimo tego, że nie wszyscy mają ciepłe śpiwory, narzekań na zimno jest mało. Sam spałem kiedyś na tych warsztatach pod trzema kocami, na otwartej przestrzeni, przy -3 °C, bo oddałem swój śpiwór córce. Zmarzłem, ale się nie przeziębilem. Na warsztatach jesiennych, w połowie września, nocne temperatury między 0 i 5 °C wydają się letalne, a rozmowy toczą się głównie na temat zimna. Różnica jest taka, że jesienią zimno dopiero nadchodzi, wiosną ciała są już po sześciu miesiącach niskich temperatur, zahartowane jak stal.

Przykład hartowania można dać jeszcze inny: Anglicy. Anglia słynie z zimnych domów. Temperatury w tym kraju w zimie utrzymują się zwykle między plus pięć i plus dziesięć. Czasem w nocy występują przymrozki, a mróz w dzień ogranicza się do jakiegoś epizodycznego dnia lub kilku w roku. Angielskie domy są jednak z reguły potwornie zimne. Anglicy chętnie oszczędzają na ogrzewaniu, do bólu. Nie zostawiając sobie nawet jednej ciepłej izby, poza okazjonalnie palonym kominem. Centralne ogrzewanie ma zegar i włącza się na chwilę rano i wieczorem. Czymś zupełnie normalnym jest temperatura 15-16 stopni, a w nocy i mniej. W domach w Polsce i Rosji jest cieplej. Pomimo szalejących mrozów, czasem jest w nich jak w saunie. Nawet jeśli oszczędza się na ogrzewaniu, z reguły jest jedna ciepła izba, przynajmniej kuchnia, gdzie można się ogrzać, w najgorszym wypadku jakiś elektryczny czy gazowy grzejnik. W blokach ludzie zwykle spędzają zimę w temperaturze 24-25 °C. Prawie tropiki! Skąd ta różnica? Wydaje mi się, że dlatego, iż w Anglii trudniej zamarznąć. Wystarczy odrobina opału, dwa swetry, żeby wegetować, spędzić zimę trzęsąc się, ale nie grozi nam śmierć. Na wschodzie i północy Europy zima to sprawa poważna, przy trzaskających mrozach śmierć z wychłodzenia zdarzała się dawniej często. Ludzie są

przygotowani: mają kożuchy, futra, czapki na uszy, kalesony, efektywne piece. I używają tego, ile się da, na ile ich stać, na zasadzie odwrócenia ekstremalnych temperatur na zewnątrz. W związku z tym są przyzwyczajeni od dziecka do spania w cieple, a przynajmniej pod ciepłą pierzyną. Malutkie dzieci ciepło się ubiera i dokładnie przykrywa na noc. W Anglii dzieci śpią w temperaturze 15 °C przykryte cieniutkim kocykiem. A dawniej chłopcy chodzili nawet w zimie w krótkich spodniach do szkoły. Przymuszcza się, że powstaje pewna fizjologiczna odporność na zimno, jak u ludów pierwotnych. W nauce o rozwoju biologicznym człowieka opisano wiele przykładów wpływu na organizm środowiska przyrodniczego z dzieciństwa, wpływu, który pozostaje na całe życie. Na przykład ludzie z terenów wysokogórskich mają większą objętość klatki piersiowej w stosunku do reszty ciała³. Zakładać należy, że fizjologia Anglików na skutek „zimnego chowu” jest także odmieniona na całe życie. Oczywiście próbować przystosować się można i później. Pewien Niemiec spotkany na ekologicznym festiwalu *Big Green Gathering* opowiadał mi, że od kilku lat mieszka w tipi (w Wielkiej Brytanii, nie w Niemczech, gdzie jest bardziej mroźno). Mówi, że minęło wiele miesięcy zanim się naprawdę przystosował do zimna, ale teraz nie ma już z tym kłopotów.

Ubranie i ogrzewanie. Element cywilizacji, którego się pozbywamy na końcu, próbując żyć jak „dzicy”. Z przyjemnością próbujemy polować jak dzicy, budować szałas, odprawiać animistyczne rytuały, ale najtrudniej pozbyć się śpiwora, szczególnie jeśli nie możemy go zastąpić zwierzęcym futrem. Co pozostaje? Zakopać się w stogu siana, grzać przy ogniu, przytulić się do innych.

³Wolański N 2005. *Rozwój biologiczny człowieka*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.

Grzybiarze

W Polsce ostatnią i najsilniejszą ostoją pierwotnego zbieracko-łowieckiego trybu życia jest zbieranie grzybów. Zioła lecznicze zbierają jedynie nieliczni, zbieranie owoców na konfitury i soki, po okresie dwudziestowiecznej fascynacji, uległo zmniejszeniu z powodu wzrostu stopy życiowej społeczeństwa, które w zapracowaniu woli kupować tanie dżemy i soki w supermarketach. Dzikie owoce zbierają, i to rzadko dzieci, jedząc je na surowo, albo nieliczni entuzjaści. Ale z grzybami jest inaczej. Oczywiście, nie zbierają ich wszyscy. Ale znaczny procent polskiego społeczeństwa, nie wiem, może jedna czwarta, z lubością oddaje się temu zajęciu. I przynajmniej raz w roku wybiera się na grzybobranie.

Grzybobranie to nie zbieranie owoców. Chyba każdy, kto ma do wyboru grzybobranie i owocobranie, wybiera to pierwsze. Zbieranie owoców jest odtwórcze. Każda poziomka, każda borówka jest prawie taka sama. Zbieranie owoców jest jak mantra, jeśli jest ich pod dostatkiem. Zbieranie grzybów jest jak podchody, poszukiwanie skarbu, polowanie. Nie dość, że grzyby pojawiają się okresowo, to pojawiają się miejscami, trzeba ich szukać. Mówi się, że ludzi najbardziej lubią grać w gry, w których losowość równoważy się z umiejętnością, logiką. Tak jest z grzybami. Wiedza o tym, gdzie lubią rosnąć kozaki (że pod brzożami i osikami w trawie), prawdziwki (w starych drzewostanach, często na słonecznych górkach), maślaki (w młodnikach sosnowych i modrzewiowych), rydze (w jodłowych, sosnowych i świerkowych młakach), jest dokładnie tyle samo warta, co szczęście i... wytrwałość. Oraz pewien szósty grzybowy zmysł. Żeby być dobrym grzybiarzem, trzeba być dobrym obserwatorem, piechurem i wróżem.

Ludzi zachwyca chyba też bogactwo form grzybów. Nie dość, że poszczególne gatunki tak różnią się od siebie, to w obrębie tego samego gatunku owocniki są często tak różne: smukłe i pękate, proste i krzywe, małe i duże.

Narody różnią się postawą wobec grzybów. Antropolog Gordon Wasson wprowadził klasyczny już podział na narody mykofilne i mykofobowe⁴. Mykofile lubią grzyby, zbierają je lub hodują, nie boją się ich, cenią je. Grzyby są ważnym elementem w kulturze takich krajów jak Polska, Rosja, Chiny, Meksyk czy Włochy. Grzybów z reguły mało używają Niemcy. Szczególnie unikali ich Anglicy, którzy kojarzą je raczej z czymś trującym, demonicznym i niebezpiecznym. W języku angielskim panuje wielkie ubóstwo ludowych nazw grzybów i niska znajomość gatunków. Tymczasem przeciętny wiejski dziesięcioolatek w Polsce czy w Rosji rozróżnia kilka lub kilkanaście gatunków jadalnych. W ilustrowanych bajkach angielskich pojawiają się zwykle grzyby niejadalne: muchomory, jakieś zasłonaki, w polskich - muchomorowi zwykle towarzyszy prawdziwek i inne grzyby jadalne, na przykład kozłarze czy kurki.

Grzyby nie mają zbyt wielu składników odżywczych. Składają się głównie z wody. Jak w „Akademii Pana Kleksa”: czarodziejsko nadmuchane potrawy, które nie napelniały brzucha. Mogłyby być świetnym przykładem indyjskiej Mai, ułudy. Mają dużo chityny, której - podobnie jak błonnika - nie trawimy. Jedne, jak kurki, nie dają nam żadnej energii, inne, jak rodzina prawdziwków, szczególnie borowik szlachetny, zawierają pewne ilości białka i tłuszczu, które miały znaczenie w pokarmie niedożywionych chłopów. Grzyby to kopalnia mikroelementów. Chińczycy wierzą powszechnie, że regularne jedzenie niewielkich ilości grzybów sprzyja zdrowiu. Także nasz jasnowidz, Ojciec Klimuszek, twierdził, że grzyby działają korzystnie na układ nerwowy. Ostatnio mamy coraz więcej

⁴Wasson RG 1957. Seeking the magic mushroom. *Life*, 42:100-120.

dowodów na to, że jedzenie grzybów może stymulować nasz układ odpornościowy. Z drugiej strony grzyby są bardziej zdradliwe niż rośliny. Częściej wśród nich trafiają się grzyby trujące, które nie są gorzkie (na przykład muchomor sromotnikowy *Amanita phalloides* czy surowy podgrzybek szlachetny *Xerocomus badius*). Grzyby pojawiają się nagle w lesie, znikąd, spod ziemi. Stąd częste skojarzenia z diabłem, z nieczystymi siłami. Wyrastają w nocy, są oślizgłe, szczególnie często owocniki pojawiają się w pełni księżyca, kojarzoną z czarami.

Z dostępnej mi literatury wynika, że ludy pierwotne też były podzielone i miały różnorodny stosunek do grzybów jadalnych. W Ameryce Północnej stopień, w którym Indianie wykorzystywali grzyby w potrawach, był zróżnicowany, ale ogólnie nie stanowiły one ważnego składnika kuchni. W Ameryce Północnej w bardzo niewielkim stopniu korzystano też z halucynogennych, „magicznych mocy” muchomora czerwonego *Amanita muscaria*, w przeciwieństwie do Syberii, gdzie miał wielkie, kulturotwórcze znaczenie.

Grzyby nie są więc stałym elementem diety, lecz pewnego rodzaju wyborem, opcją. Opcją obecną jednak w kulturach zamieszkujących tereny leśne już od prehistorii.

Technologia zbioru grzybów na grzybobraniu w XXI wieku niczym nie różni się od technologii zbieracza-łowcy. To czyste zbieractwo wielu gatunków naraz. Cała radość niespodzianki, tajemnicy, mini-polowanie. Miliony Polaków każdej jesieni do lasu pcha atawistyczna siła, instynkt zbieracki. Nie z głodu, zwykle nie dla zysku, czasem nawet przez osoby, które grzybów nie jedzą. Grzybobranie to wielka gra przygodowa.

W pozbawionej zbyt wielu uciech małej karpackiej wiosce, w której mieszkam, wetkniętej pomiędzy kilka wzgórz, grzyby, oprócz alkoholu oraz okazjonalnego seksu z sąsiadami albo polowania, są jedyną i główną rozrywką. Każdy chwali się swoją zdobyczą. Niesie dumnie kosz lub reklamówkę ulicą. Wylicza wpierw ile *prowdziwków* znalazł, potem ile ry-

dzów, *liszówek* (kurek), *puodgrzybków*, *kozoków* i *maślaków*. Czasem trafi się i kania. Aż prosi się ustalić punktację. Kiedyś na moich warsztatach w taką grę nawet zagraliśmy. Za prawdziwka i kanię było pięć punktów, za rydza i podgrzybka trzy punkty, za kozaka dwa, za maślaka i pomniejsze (na przykład lakówkę ametystową *Laccaria amethystina*) lub mniej cenione grzyby (na przykład muchomor czerwieniejący *Amanita rubescens*) po jednym. Zabawa była przednia, a moja kilkuletnia córka Nasim wypisywała wtedy ręcznie robione dyplomiki. Czasem zdarzały się tylko kłótnie, czy można liczyć lekko robaczywe grzyby, bo całkiem robaczywe były dyskwalifikowane. Szkoda tylko, że szalę zwycięstwa przeważa zwykle przypadkowe znalezisko setki jakichś ledwo jadalnych bełek. Może trzeba udoskonalić punktację?

Przedmiotem gry mogą być i inne organizmy żywe. Kiedy byłem studentem biologii, na zaliczenie praktyk wakacyjnych z bezkręgowców wodnych na Mazurach musieliśmy zebrać komplet około trzydziestu taksonów różnych zwierząt wodnych. Specyfikacja była dość dokładna, na przykład trzy gatunki pijawek, cztery gatunki ślimaków, jeden gatunek gąbek itd. Gdy inni studenci babrali się po pas w jeziornym szlamie, ja zebrałem tylko jeden gatunek, pijawkę końską, trafiłem akurat na sześć osobników, które powoli udało mi się z zyskiem prehandlować na 30 innych taksonów. Zbierałem odpady zebrane przez innych, na zasadzie, ja ci dam pijawkę, której nie masz, a ty mi dasz dwie widelnice. Taki prymitywny biznesik.

W Rzepniku grzyby mają jeszcze jedno znaczenie. Wyparły zwrot „dzień dobry”. Zresztą, może nigdy go tu nie było. Naród rzepnicki, a szczególnie ci, co pochodzą z okolicznych polskich wiosek, jak Łęki czy Wysoka, nie pukają do drzwi, nie dzwonią, nie mówią „dzień dobry” ani „do widzenia”. Po prostu pchają się w drzwi, z całą siłą, nawet jeśli zamknięte, mają nadzieję, że pod naporem ciała zamek czy zasuwka ustąpi,

szarpia za klamki, a jak wychodzą, to wstają i idą. Bez słowa. Wyjątkiem są tu dawni przesiedleńcy zza Buga, o bardziej „pańskich” manierach. Nie dajmy się jednak zwieść. Funkcję słowa „dzień dobry”, a właściwie też i „jak tam?”, na okres lata i jesieni przejęło pytanie: „Som grzyby?” i odpowiedź, zależnie od stanu lasu: „som” albo „nima” albo też „som, ino wszystkie robaczywe”. Zawsze też jest nadzieja na grzyby, bo jest albo przed pełnią, albo po pełni, przed nowiem, albo po nowiu. Najgorsze te robaki.

Naturalny seks

Co to znaczy naturalny seks? Jaki seks uprawiał statystyczny, modalny dziki? Pewnie uzyskać można by wiele różnych odpowiedzi od różnych antropologów i etnografów. Osobiście myślę, że podstawową cechą seksu dzikich było to, że był krótki. Nie czytało się wtedy poradników o tym, jak zaspokoić kobietę, a wynalazki tantry i taoizmu są zaawansowanym dorobkiem ludzkości. Talayesva, Indianin z plemienia Hopi, bohater książki *Wódz Słońce* stwierdził, że wojownik z jego plemienia współżyje z kobietą w sposób szybki, niczego nie opóźnia, poddaje się popędowi⁵.

Talayesva opowiada jeszcze o innym koncepcie plemienia Hopi. Aby być czystym, przed uroczystościami religijnymi mężczyzna musi powstrzymać się od seksu przez cztery dni. Przypomina to trochę wierzenia z religii żydowskiej - mężczyzna jest nieczysty w dniu, w którym uprawiał seks lub wystąpiła u niego polucja. W katolicyzmie rzymskim i buddyźmie występuje natomiast skrajna koncepcja celibatu - kapłani, mnisi

⁵Simmons LW (red.) 1964. *Wódz Słońca. Autobiografia D.C. Talayesy, Indianina z plemienia Hopi*. PIW, Warszawa.

muszą całkowicie powstrzymać się od seksu. Czyż nie bardziej naturalne wydaje się okresowe powstrzymanie od niego? W społecznościach zbieraczy-łowców regułą jest to, że szamani posiadają rodziny, dopiero w pierwszych cywilizacjach, gdzie pojawia się podział zawodów, pojawiają się częściej beżenne kasty.

Widząc nagą i atrakcyjną osobę, której fizycznie pragniemy, nie mamy wątpliwości, że to pierwotne pożądanie i popęd, wspólne wszystkim zwierzętom. Na ile jednak to, co dzieje się dalej, zmienia kultura? Na ile? Przecież już pocałunek należy do kultury, a nie natury - tak wiele ludów się nie całuje! Czy są ludy, które nie wsadzają członka do pochwy? Na razie nie znalazłem, ale może są? Może były jakieś dziwaczne plemiona, w których dzieci poczynały się przez prysznic ze spermy wszystkich mężczyzn, którzy spuścili się sami (albo nawzajem) do skorupy orzecha kokosowego? Coś jak totalizator sportowy. Kiedy miałem kilkanaście lat, mój kolega zapytał mnie: „Jak oni to wymyślili, żeby pchać penisa do dziury, kto na to wpadł?”. Rzeczywiście, w purytańskich komunistycznych Chinach (i nie tylko tam) były przypadki, że bezpłodność leczono u par, które nie wiedziały, że trzeba „wsadzić”. Zresztą, jakie to skomplikowane! Czy nie łatwiej byłoby być rybą. Trąca się w ławicy, polewającą spermą jaja opadające w oddali na dno...

Czy masturbacja jest naturalna? Współcześnie teoretycy seksu twierdzą, że tak. A egipski Bóg Ra stworzył podobno świat z samotnego wytrysku... Tymczasem Malinowski w swoich badaniach nad seksualnością Trobriandczyków wspomina, że krajowcy uznają onanizm za smutny i dziwaczny. Przecież zawsze znajdzie się druga chętna strona.

Moken

Wyspy Surin to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Niewielkie wysepki otoczone rafami koralowymi, kilkadziesiąt kilometrów na zachód od brzegów Tajlandii. Morze Andamańskie. Zastąpiło katastrofą spowodowaną przez tsunami w roku 2004. Po drugiej stronie Morza Andamańskiego - Wyspy Andamańskie z ostatnimi relikatami zbieraczy-łowców, półnagich tubylców tych wysp, kryjących się w cieniu tropikalnej puszczy. Tu, po wschodniej stronie tego morza, żyje zupełnie inna grupa zbieraczy-łowców. Moken, zwani też Chao Ley, w porównaniu do najbardziej pierwotnych Andamańczyków nie wyglądają jak stereotypowi dzicy. W ręcznie robionych łodziach, ubraniach kupionych lub otrzymanych od kogoś, od wieków wędrują po wyspach Archipelagu Sundajskiego i Morza Andamańskiego. Od Birmy po Indonezję. Świat dowiedział się o nich po katastrofie Tsunami. Stracili wtedy swoje łodzie, ale w większości przeżyli dzięki zmysłowi obserwacji. Niektórzy z nich do roku 2004 nie kupowali ryżu, tak ważnego w kulturach Azji. Żyli rybami, mięczakami, krewetkami oraz dzikimi warzywami i owocami. Część rodzin z tej grupy uległa już daleko idącej transformacji. Osadzeni w wioskach odbudowanych przez różne agencje lub przez siebie samych w mniejszym stopniu żyją z ryb, czasem pracują dla turystów lub coś sprzedają.

W Tajlandii najbardziej niezależni Moken żyją na Wyspach Surin. Na jedną z tych wysp, gdzie mieści się siedziba parku narodowego, przybywam jako zwyczajny turysta w motorowej łodzi, przy okazji mogąc z rurką i maską oglądać oszalałymi rafy koralowe. Spaceruję po wyspie. Cała pokryta

jest równikową puszcza. Wyspy wyglądają jak niedostępne, owalne kopuły. Brzegi w dużym stopniu skaliste, trudno dostępne, ale i pełne małż i morskich ślimaków stanowiących wspianały pokarm. Do samej wioski-przystani Moken nie docieram. Z powodu wzrastającej fali mijamy wioskę (widzę ją z daleka) i wracamy do Kurraburi. Zbiera mi się na wymioty. Głowę trzymam schyloną nad plastikową torbę, połknąłem dwa awiomariny. Samych Moken spotykam jednak na plaży parku narodowego, gdzie zacumowali kilka łodzi. Bardzo ciemnoskórzy w porównaniu do Tajów. Kilku mężczyzn i chłopców w łodziach. Kilka kobiet, które według naszego przewodnika pracują jako sprzątaczkę dla parku narodowego.

Lista

W wielu rozdziałach tej książki zastanawiam się, co jest dzikie, a co nie, co jest naturalne, a co nie. Zagłębiając się w szczegóły, widzimy, że wiele rzeczy nie jest oczywistych, to, czy na przykład bardziej naturalne jest oparcie się w dużym stopniu na mięsie (jak zbieracze-łowcy), czy raczej powrót do pożywienia małp - owoców i liści... Albo to, czy nasz początek jest na sawannie czy na brzegach wód...

Ale może by odwrócić rozumowanie i pomyśleć, co jest nienaturalne?

Trampki? No w sumie nasi tropikalni przodkowie ich nie nosili. Pisząc te słowa, siedzę przy restauracji w tajlandzkiej dżungli i widzę, że nawet i teraz królują tutaj japonki i różnego rodzaju klapki, stopy są nagie, opalone, „świadome”, przewietrzane. Obuwie stało się konieczne w zimnym klimacie. Bez skórzanych mokasynów czy futrzanych zimowych butów ciężko żyłoby się pierwszym mieszkańcom Ameryki Północnej. Ale stało się siedliskiem grzybów.

Ubranie? Trampki to też ubranie, więc właściwie można by powiedzieć to samo: im więcej tropiku, tym bardziej naturalne. Problem w tym, że i teraz w tropikach ludzie, pomimo że często chodzą w japonkach lub bosy, zwykle zakrywają znaczną część swojego ciała. No ale jak popatrzymy na Indian Amazonii czy co bardziej izolowanych mieszkańców Afryki, widać, że nagości jest więcej.

Telefon? Telefon ani internet nie są naturalne. Ilość bodźców i łatwość dotarcia do każdego powodują, że czujemy się zalewani informacją, propozycjami, bodźcami, pokusami. Z drugiej jednak strony poczucie bycia w jednej globalnej wiosce zbliża nas do siebie, pomniejsza świat. Dużo pisał o tym McLuhan zanim jeszcze powstał internet.

Samochód? Samolot? Tak, to dzieła szatana. Sztuczne materiały, importowane paliwa, zbyt szybka podróż, zbyt duże koszty, złudne poczucie wolności, totalna izolacja od otoczenia.

I tak przykłady można by mnożyć. Odartym z techniki pozostają nasze ciała, nasi bliscy i przyroda. Jej żywioły, jej gatunki i najprostsze narzędzia: kij i kamień (nie licząc skorup z orzecha kokosowego, ale to tutejszy bonus).

Totalna sterylność

Czy dziki to znaczy brudny? Pełen bakterii i robaków? Osrany? Poszarpany? Tak zwykle wyobrażali sobie dawniej dzikusów mieszkańcy Europy. Pomimo że wyobrażali sobie ich jako bardziej brudnych od siebie, zwykle nie mieli racji. Pojęcie czystości jest względne. Liczne tabu zapobiegają roznoszeniu chorób i zarazków, a różnią się często z powodu klimatu lub historycznych uwarunkowań chorób. We wczesnośredniowiecznej Europie, oprócz tego że panował, jak i później, brud, panował też pewien luz. Ludzie nie wstydzili się

swojej nagości, obie płcie kąpały się razem, a prostytutki spółkowały z klientami w publicznych łaźniach. Jednak epidemie dżumy i syfilisu oraz innych pomniejszych chorób odizolowały od siebie ludzi. W rozrastających się miastach kontakt z drugim człowiekiem oznaczał niebezpieczeństwo. Odzież i ograniczenie kontaktów fizycznych były świetnym środkiem zapobiegawczym. A więc odzież, widelce, prezerwatywy.

Szczególnie obraźliwe wydaje się powszechne u Europejczyków postrzeganie muzułmanów z Bliskiego Wschodu jako brudnych. Islam nakazuje mycie się przed modlitwą, pięć razy dziennie, nawet mycie małżowin usznych. Także używanie wody do podmywania po defekacji (a nie papieru) oraz częste używanie łaźni parowej hamam czyni muzułman najczystszymi ludźmi na świecie. Natomiast prawdą jest, że na Bliskim Wschodzie w wielu krajach poziom sanitarny otoczenia jest niższy, ale wynika to z innego postrzegania przestrzeni publicznej, a w największym stopniu ze zwyczajnej biedy.

Dzisiaj wydaje się brudne, ale nie zawsze jest brudne. Dywan we współczesnym domu ma więcej organizmów chorobotwórczych niż dno bukowego lasu. W lesie panuje równowaga, różne gatunki grzybów i roślin wytwarzają substancje, które działają zabójczo na inne gatunki. A w mieszkaniu ta równowaga jest mniej stabilna. Coś, co się wydaje czyste, może raz być czyste, a raz pełne chorobotwórczych zarazków korzystających z biologicznej pustki. Wiele gatunków szkodliwych bakterii nie uchowałyby się w pełnym życia lesie. Znaczną część naszej masy ciała stanowią bakterie żyjące w organizmie. Z definicji nie możemy być sterylni, sterylność to śmierć.

W utrzymywaniu czystości oczywiście przydaje się podejście umiarkowane. Jest jakaś optymalna ilość bakterii, która pozwala na w miarę zdrowe życie - pewnie tyle, ile ich trzeba, jest w niezbyt czystym wiejskim domu albo w lesie, za mało - w supermarkecie i aptece, za dużo - w kupie gnoju i na miejskim targowisku albo w poczekalni lekarskiej przychodni.

Naturalność i gnoza

Myślenie o naturalności i dzikości przywodzi nas jeszcze do jednego wątku. Tradycji. Z jednej strony możemy traktować powrót do natury jako powrót do „tradycji przodków”, jak robią to neopoganie, na przykład zwolennicy powrotu do szamanizmu, religii Słowian czy Germanów. Z drugiej strony może to oznaczać odwrót od wszelkiej tradycji, wszelkiego obyczaju. Co, oczywiście, w formie czystej jest niemożliwe (sam nasz język jest wytworem tradycji, wartością zbiorową). Jednak samo zagadnienie jest warte eksploracji.

Co mają robić ludzie, którzy nie chcą wracać do natury, czytając przewodniki surwiwalowe i książki o szamanizmie? Przecież można z nich wyczytać, jak rozpałić ogień, zbudować schron, polować czy używając „technik prymitywnych” wprowadzać się w inne stany świadomości. Na dłuższą metę nie ma sensu odrzucanie wszystkiego i budowanie wszystkiego od zera, to wszak nawet w bardzo przyjaznym klimacie i środowisku byłaby praca na pokolenia. Jednak w niektórych sytuacjach zabawa „w odrzucenie wszystkiego”, poszukiwanie przekazu niemego w samej przyrodzie i w głębi nas to świetna zabawa. To wielkie odkrywanie świata. Kiedy zbudowałem swój pierwszy szałas z traw i gałęzi, nie miałem żadnej instrukcji. Widziałem tipi zrobione z płócien, które często robią miłośnicy kultur Indian Prerii, i zawsze zastanawiało mnie co by zrobili, gdyby nie mogli kupić płócien. Polowaliby? Na co? Na bizona? Żubry? Jelenie (ich skóry są mniejsze...). Eureka! Suche trawy! I zacząłem składać tipi z patyków i pokrywać je zerwanymi rękoma długimi trawami. Oprócz oglądanych w wieku dziecięcym filmów o różnych dzikich nie miałem żadnej instrukcji, jak taki szałas zrobić. Ale potem, kiedy już

doszedłem do wprawy w ich budowie (tak, że dobrze chronią przed deszczem), zacząłem spotykać dokładnie takie same szałas na kartach różnych książek - podręczników survivalu, w atlasie etnograficznym Syberii, na stronach internetowych o Buszmenach czy w rozdziale o architekturze Apaczów. Model wielokrotnie objawiony.

Równie naturalny jak idea takiego szałasu wydaje się pomysł ustawienia większej ich liczby w okręgu, no i już mamy wioskę.

Myślę, że wiele, wiele rzeczy można odkryć „na nowo”, zwyczajnie żyjąc w warunkach choć trochę zbliżonych do pierwotnych. W lesie, w szałasie, pod jakimś daszkiem. Odżywiając się jak najbardziej tym, co tu i teraz. Można by stworzyć nową kulturę. Bo i nazwy miesięcy można by wymyślić od nowa. Same pachają się różne, obecnie niewykorzystane nazwy, jak miesiąc zawilców, kukających kukulek czy kwitnącego czarnego bzu. Kiedy śpi się pod gwiazdami, działanie faz księżyca odkrywa się bez biodynamicznych kalendarzy, tak jak i potęgę elementów: wody, ognia, ziemi, powietrza, można jeszcze i dodać chińskie - drewno i metal.

Malowanie ciała, smarowanie się gliną, krwią, węglem drzewnym, soki roślin samo też się narzuca, dużo prędzej niż ubiór.

Wystarczy popatrzeć na zabawy dzieci, szczególnie te „w Indian”, żeby zobaczyć ile kreatywności i niewykorzystanych pomysłów czai się w każdej najmniejszej grupce ludzkiej. Trzeba jednak uważać - nawet dzieci są okrutne. Kiedy przypominam sobie różne pomysły moje i moich kolegów, ciarki mnie przechodzą (przywiązywanie do drzewa przy mrowisku, rzucanie kamieni w samochody w konkursie, kto pierwszy zabije kierowcę).

Tipi i powrót do natury

Znam wielu ludzi, dla których symbolem powrotu do natury stało się tipi. Tipi to słowo z języka jednego z plemion amerykańskich Prerii, Lakotów. Używane na określenie stożkowatego szałasu o konstrukcji z długich, cienki żerdzi, przykrytego skórami lub płótnem. Tipi była domostwem dla wielu Indian Prerii. Co prawda, potrzeba wielu bizonich skór, aby zrobić jedno tipi, ale jest to schronienie, które jest bardzo przestronne. W tipi o średnicy pięciu czy sześciu metrów mieści się wokół ogniska kilkadziesiąt osób. Tipi jest czymś przenośnym, przestawnym, autentycznie nomadycznym. Zarazem daje poczucie bycia „w domu”, cień, ochronę przed wiatrem, prywatność. Tipi oczywiście ma wiele wad, jak większość prymitywnych schronień - łatwo się do niego włamać, łatwo je zniszczyć, szybko się zużywa. Z żerdzi, jeśli nie są idealnie równe, zwykle skapuje podczas deszczu woda, co bardzo utrudnia życie w nim (tyczki do indiańskich tipi były wybierane ze specjalnego gatunku sosny, bardzo cienkie i proste...). Tipi nie jest też zbyt ciepłe, trudno się w nim ogrzać zimą bez ciężkiego podsycania ognia.

Schronienia typu tipi budowali nie tylko Indianie Prerii - także wiele ludów Północy, zarówno w Kanadzie, jak i na Syberii. Tipi północe były jednak zwykle niższe, ustawione bardziej na płasko. Wysokie tipi Prerii pozwala na szybkie usuwanie dymu i wody deszczowej, jest jednak marnotrawieniem skór. Trudniej też ogrzać tak wielkie pomieszczenie, więc ludzie Północy gnieździli się w małych, niskich szałasach, w silnym zadymieniu.

Nie zawsze to, co pierwotne, jest przyjemne. Dym jest substancją rakotwórczą, może zwiększać zachorowalność na

nowotwory. Ludzi pierwotnych to nie obchodziło, bo żyli średnio około trzydzieści lat, warto jednak o tym pamiętać. W przyrodzie jest wiele naturalnych substancji rakotwórczych. To bujda, że produkuje je tylko człowiek. Rakotwórcza jest paproć orlica, której pędy jadają i Chińczycy, i Japończycy, i jadał Indianie. Rakotwórczy jest betel żuty jako używka przez mieszkańców Azji Południowej. Podobno rakotwórczy jest też nawet barszcz, roślina, która była i u nas kiedyś używana jako pokarm.

Dlaczego tipi stało się tak popularne współcześnie wśród miłośników natury? No cóż, myślę, że jego popularność wzrosła w momencie popularyzacji samochodu. Tipi jest wielkie i ciężkie. Nie można go zabrać do plecaka. Można jednak wrzucić do samochodu. Tipi kojarzy się z Indianami Prerii, ci z kolei - z wolnością, męstwem, dzikością. Tipi jest ładne i duże. Kilka tipi w kręgu wygląda monumentalnie. Tipi o średnicy pięciu czy siedmiu metrów jest jak wielki salon, pozwala na zebranie się wielu osób, jest przestrzenią zbliżoną do naszych mieszkań, a nie norą, jak mały namiot czy wigwam.

Czy tipi jest naturalne? Nie w swojej konstrukcji. Mówię o tipi pokrytych płótnem zrobionym w fabrykach. Przynajmniej kije wyciosane są z prawdziwych drzew. Jest jednak „bardziej” naturalne w swojej funkcji. Umożliwia życie nomadyczne i bliżej elementów powietrza, ziemi, ognia i wody.

Bambus

Bambus to obok banana inny (sub)tropikalny cud natury. Też bylina o wyrazistej geometrii. W części Azji powszechny, banalny, czasem podstawowy surowiec budowlany. Zarazem symbol piękna. Z bambusem od środka zetknąłem się dopiero w Tajlandii. Na południu tego kraju jest duży park

narodowy Khaosok, który wraz z kilkoma przyległymi połączonymi lasu stanowi jeden z największych chronionych obszarów lasu w Azji południowo-wschodniej. Obecność łatwo dostępnego z krajowej drogi w miarę naturalnego lasu przyciąga trochę turystów, tych zorientowanych na naturę. Oczywiście mam na myśli gibony i tygrysy, a nie dziewczyny z klubów w Bangkoku. Jest to las fragmentami dziewiczy, bo rosnący na trudno dostępnych wielkich skałach wapiennych, miejscami wtórny, naruszony przez ludzi, czego oznaką jest znaczna ilość gigantycznych bambusów, który dopiero za jakiś czas osiągnie swą pierwotną wielkość.

Przy pierwszej przechadzce po tej wiosce, mniejszej od Białowieży, ale bardzo ją przypominającej, bo i park narodowy i przewodnicy, i pewna izolacja, otoczenie lasem i jego obecność, a zarazem subkultura turystyczno-barowa - jakiś tuzin restauracyjek, guesthausów - zaczepia nas kilku przewodników oferujących różne „trips” i „trekkings”. Przejazdki po jeziorze, spływy tratwami, łażenie po jaskiniach, poszukiwanie największego kwiatu świata - rosnącej tam raflezji.

Nazywają się różnymi „nickami” jak Jungle Man albo jakiś inny Jungle, prawdziwy Jungle Guy. Część oferty wydaje mi się kiczowata. Facet proponuje łażenie po puszczy i *bamboo cooking*, „bambu kukiing” z akcentem na iing. Chcę jednak spędzić noc w dżungli, specjalnie się nie boję, ale nie chcę spać na ziemi, nie mam hamaka, poza tym myślę, że może w tej prostej ofercie jest coś więcej? Umawiam się z jednym sympatycznym kolesiem, mówiącym trochę po angielsku. Wychodzimy w jeden dzień, łażymy po lesie, rozbijamy mały obóz, on robi swoje „bambu kukiing”, a na drugi dzień wracamy. Nie podsuwam mu pomysłu na polowanie, toż to Park Narodowy. Mój przewodnik zabiera więc różne akcesoria do swojego curry i maczetę. Po kilku godzinach łażenia pokazuje miejsce w lesie, nad rzeką, gdzie rozbijamy się. Zawiesza mi hamak przy samym ogniu. „No, thank you”. „Nie chcę się upiec”

- dodaję po polsku. Lyng, bo tak ma na imię, z niesamowitą precyzją w ciągu 10 minut obciosuje maczetą całą zastawę: kubeczki, łyżkę oraz rury wyglądające jak części organów z kościoła. W rurach gotuje obiad. Pędy bambusa mają co kilkadziesiąt centymetrów przegródkę, co pozwala na łatwe przerabianie ich na naczynia. Rury oparte są o poprzeczkę zawieszoną na dwóch pionowych kijkach. Ogień je smaga, więc są to oczywiście naczynia jednorazowego użytku. Prosta rzecz, a cieszy, szczególnie oko. Jak Lyng wlewa swoje potrawy do rozpołowionych, rozłupanych wzdłuż korytek, obiad wydaje się królewski i jest oczywiście piekielnie ostry. Zajadając zupę, staję się coraz bardziej głodny. Próbuje wytłumaczyć, że w sumie fajnie byłoby zjeść coś dzikiego. Znajduję wielkie owoce wyglądające jak niedojrzałe jabłka. Drzewo o czerwonej korze, dużych ciemnych liściach (*Dillenia indica*).

- Good? - pytam.

- Very good - odpowiada Lyng. Skrawa plasterek. Próbuje. Ohyda, gorzkie i kwaśne, i twarde.

- Very good with this⁶ - i miesza chilli z solą.

- Yes, better⁷ - dodaję.

W sumie nawet gówno z chilli i solą ma ciekawy smak. Wchodzę do wody. Setki ryb czmychają, ale zaraz wracają. Kilkunastocentymetrowe brzanki (chyba rekinie) szczypią mnie po nogach. Próbuje jedną złapać. Lyng rzuca się do wody i za chwilę wyławia dwie. Przy próbie oglądania wrywają mi się z ręki. Przez godzinę robię jakieś mostki, wkładam bambusowe rury do wody. Może to je zwabi? Nic. Lyng mówi:

- No problem - wyciąga haczyk i linkę.

Nabija kawałek z obiadu i zarzucam. Zarzucam, zarzucam, nic.

- Wait, no problem⁸.

Zostawiamy przynętę i idziemy.

⁶ang. bardzo dobry z tym

⁷ang. tak, lepsze

⁸ang. zaczekaj, nie ma problemu

- Now trekking animal, good time⁹.

Przez dwie godziny w ciemności przetrząsamy dżunglę, widzimy tylko kilka pajaków i patyczaka. Chwilę po powrocie przyręnię łapie dwudziestocentymetrowy sumik. Rzucam się na niego z łapami.

- No touch, poison¹⁰ - pokazuje, że ma jakiś kolec jadowy. Patrzę rybie w oczy. Ma wielkie koralowe oczka jak miś. Ciężko rusza skrzelami. Łapię się za brzuch. Jestem dosyć najedzony, ale taki sumik, upieczony, super. Znów patrzę mu w oczy, patrzę na jego skrzela i przypominam sobie bajkę o złotej rybce. Proszę go, żeby spełnił moje życzenie, że nigdy nie będzie mi gorzej niż teraz, i wypuszczam. Chlup. Lyng się nie poddaje. Mówi:

- Too small („Za mały”).

Rzuca znowu. Pięć minut - podobny sumik, trochę większy. Biorę go do ręki i wrzucam w wodę. Zjadam go wirtualnie. Zapomniałem wymówić następnego życzenia: „Żebyś tu kiedyś powrócił na dłużej”.

Pedro i Weronika

Mój znajomy Pedro pochodzi z pewnego zachodnioeuropejskiego kraju. Ma prawie dwa metry wzrostu, długie, jasne włosy i promienny uśmiech na twarzy. Kilkanaście lat temu trafił w polskie góry i zakochał się w nich. Poczul, że tu może odnajdzie „swój” powrót do naturalnego świata. Piszę o nim, bo jest idealnym bohaterem tej książki. Ciągłe używa słowa „naturalne”. Ściany barakowozu, w którym mieszka, nie są wypełnione węglą mineralną, ale, jak mówi, są „naturalne”,

⁹ang. teraz trekking zwierząt, dobry (na to) czas

¹⁰ang nie dotykaj - trucizna

zrobione z trocin i wapna. Ubranie też ma naturalne - lniany garnitur i filcowy kapelusz. Pedro czci naturę. Nie chciał mieszkać w nienaturalnym domu. Przez wiele lat pomieszkiwał w tej karpackiej dolinie w swoim tipi. Nie cały czas, ale spędził tam wiele miesięcy, nawet w zimie. Gości zadziwiał często stopień, w jaki znosi on chłód. Niewielka garść chrustu wystarczała mu, aby rozgrzać się i ugotować herbatę, ale przypadkowi goście drżeli z zimna...

Pedro nie zabija zwierząt, jest wegetarianinem, wierzy, że będzie tu mógł żyć z natury. Z dzikich owoców czy hodowanych przez siebie warzyw. Na razie żywi się też ryżem i innymi zbożami, które kupuje w pobliskim sklepie. Kilka lat temu opowiadał mi, że wystarczy zbić trochę nasion różnych roślin w kulkę z nawozem, porozrzucić je dookoła, a warzywa będą potem rosły same. Nie wiem czy to robił, ale nie wierzę w tak cudowne rozmnożenie pożywienia.

Pedro, jak większość poszukiwaczy natury, jak ja, pozostaje ze sobą w sprzeczności. Ucieka od świata Babilonu, w dziką głąsę, gdzie wybiera pewne elementy dzikości, za którymi tęskni... Szałas, cisza, potok. Pewne inne rzeczy z cywilizacji przyjmuje, ale minimalistycznie. Nie ma przecież prądu ani samochodu. Ma już jednak piłę motorową i laptopa, którego ładuje w pobliskiej wsi. Kilka lat temu nie pozwalał ścinać drzewek, wszystko miało być robione ręcznie, dzisiaj życie zmusza go do pewnych uproszczeń.

Pedro jest jednak mistykiem. Pomimo, że tak wiele łączy go ze znienawidzoną przez niego cywilizacją, jest daleko przed innymi. Tyle wytrwał w skrajnych warunkach, zachowując ludzkie ciepło i pociąg do ludzi. Założył rodzinę, znalazł kobietę, która chce żyć jak on. Wychowują dwoje dzieci. Bez prądu, ale z laptopem. Bez domu, ale w ciepłym barakowozie, nad szumiącym leśnym potokiem.

Jestem ciekaw jak potoczą się jego losy, ale ufam, że zachowa tę wspaniałą „naturalną” część siebie. A sam jestem

mu winien wdzięczność za pokazanie mi pewnego cudownego urządzenia. Było to dawno temu, kilka lat wstecz, kiedy prawie nikt nie słyszał o pendrive'ach, a na pewno nie ja. Pedro, jako nomada, nosił go na szyi na rzemyku, razem z jakimś amuletem. Miał tam wszystko, wszystkie swoje pliki. Kiedy odwiedził mnie, zapomniał go. Zostawił u mnie na biurku. A ja, głupi, myślałem, że to amulet, kawałek jakiejś przedpotopowej maszyny elektrycznej. Kiedy pojawił się znowu, krzyknął: „To u Ciebie zostawiłem tego pendrajwa!”.

A co ciekawe, Pedro przybył do naszego kraju na piechotę, członek cechu wędrownych cieśli był zobowiązany odbyć swoją wędrowkę, nie mając samochodu. Jak to mówią Niemcy: *langsam fahren, lange fahren* („wolno jedziesz - daleko zajedziesz”).

Rok po napisaniu powyższych słów opowiadam Pedrovi i jego żonie, Weronice, o tym, co tu o nich napisałem. Weronika obrusza się:

- A ja? Co prawda to Pedro był tu pierwszy, ale to właśnie ja noszę z lasu gałęzie, gotuję i piore w zimnej wodzie z potoku!
- Sorry Weronika! Dedykuję ten rozdział Wam obojgu, ale z wrodzonego lenistwa nie będę zmieniał zaimków...

Waldek

Waldek mieszka zaraz koło Pedra, przez potok. Są jedyni w opustoszałej okolicy. Waldek też szuka tu powrotu do natury. Ma chałupę, konia i krowę, może i kozę, nie pamiętam, za słabo się znamy. Nie ma prądu. Jest prawie samowystarczalny, przynajmniej tak głosi legenda. Coś tam sieje, uprawia, ma mleko. Pracuje jak prawdziwy rolnik. Osiągnął pewną perfekcyjną niezależność, której szuka wielu. W sensie tego, jak bardzo się od świata odciął, prześcignął wszystkich. Jego

niezależność sięgnęła zenitu. Denerwują go i hipisi, i zbłąkani turyści, a nawet zagląający do niego dawni przyjaciele. Powinien oficjalnie ogłosić się pustelnikiem. Bo po co to wszystko, dla samego siebie? A tak przynajmniej ogłoszą go świętym i będzie dawał przykład.

Podróż

Pisząc te słowa, lecę nad południową Azją. Samolot wyleciał z Phuketu na południu Tajlandii i mknie nad Oceanem Indyjskim. Minęliśmy jedną z Wysp Andamańskich, przecięliśmy Indie, Pakistan, Afganistan, Morze Kaspijskie, w końcu dotrzemy do Monachium.

Czy podróżowanie jest naturalne? Czy dziki człowiek podróżował? Jak daleko? Był przecież nomadą...

Słowo nomada rodzi skojarzenia z człowiekiem targanym przez los w coraz to nowe kraje. Jednak, jak pokazują dane archeologiczne i antropologiczne, większość wędrówek pierwotnych nomadów była raczej pewnymi orbitami krążenia w ich rodzinnej ziemi, gdzie leżały kości lub prochy przodków. Gdzie żyły ich duchy oraz rośliny, które znali i zbierali, i zwierzęta, na które umieli polować. Wielkie migracje były głównie dziełem przypadków, katastrof lub szaleńców. Poszukiwanie nowych łowisk w okresie głodu. Syn skłócony z ojcem, zabierający część plemienia w wędrówkę, może zagubiona łódź.

Ostatnio modny jest concept „air miles” - mil podróży. Ludzie, którzy latają daleko, potwornie zanieczyszczają środowisko, w ciągu jednego transkontynentalnego lotu spalają tyle, co dojeżdżając do pracy przez rok. Spoglądam z okna samolotu na spowity w mgłę Pakistan. *Mea culpa, mea culpa*, ostatni raz.

No ale jak mam podróżować? Pociągiem, autem, motocyklem, rowerem, koniem? Pieszko?

W dziewiętnastym wieku pewien Węgier obszedł cały świat dookoła. Wyszedł z Budapesztu kierując się na wschód. Przez Mongolię, statkiem, przez całą Amerykę. Zabrało to parę lat.

Mój znajomy pojechał rowerem z Polski na Syberię. Ludzie, jeśli tylko akurat sytuacja na Bliskim Wschodzie pozwala, jeżdżą autami z zachodu Europy do Indii czy Tajlandii. Moja prababka wróciła, częściowo na piechotę, z Irkucka do Polski. Częściowo na piechotę, częściowo „autostopem” - na czołgach i ciężarówkach.

Najdłuższy dystans, który pokonałem pieszko w ciągu jednego dnia, to tyle, co maraton, czterdzieści dwa kilometry. Więcej nie wyrabiam. Ale są tacy, którzy chodzą po sto. Więc i zasięg podróży pierwotnych ludzi był pewnie mierzony takimi czterdziestokilometrowymi jednostkami, odpowiadającymi długości marszu przez jeden dzień, z długim wieczornym odpoczynkiem, a potem snem.

Czytając o plemionach zbieraczy-łowców mam wrażenie, że można ich podzielić na różne kategorie. Po pierwsze tych, którzy przemieszczali się w środowisku w miarę jednolitym, ale często na większe odległości, wędrując za zwierzyną. Jak Indianie Prerii, poszukujący bizonów. Oraz tych, którzy kursowali jak wahadło między dwoma środowiskami dającymi inny rodzaj pożywienia, ale którzy nie musieli daleko podróżować, jak plemiona Indian zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej. Przez część roku polujący na łososie, a przez część zbierający dzikie rośliny, głównie jagody i cebulki w lasach. Zbieracko-łowiecka wersja osiadłości i miejskości. Jak pokazują różne badania, większe i bardziej osiadłe grupy zbieraczy-łowców skupiały się na wybrzeżach, w miejscach szczególnie obfitujących w pokarm. Miejsca monotonne przyrodniczo lub uboższe w pokarm zmuszały do wędrówek. Wreszcie

rytm wędrówek mógł być skomplikowany, ale powtarzalny. Coroczny cykl życia Paiutów świetnie streściła Emma Lou Davis¹¹. Jak opisuje, Indianie z okolic jeziora Mono, u podnóża gór Sierra Nevada, żywili się zielonymi częściami roślin, korzeniami, owocami, nasionami traw, poczwarkami muchówek *Hydropyrus hians*, gąsienicami ciem *Coloradia pandora* żerujących na sosnach, gryzoniami, jaszczurkami, królikami i okazjonalnie większą zwierzyną. Podstawowym pożywieniem zimowym były duże nasiona sosen. W zimie Paiutowie rozdzielali się, tak że każda rodzina obozowała oddzielnie. Wybierali do zimowania lasy sosnowe lub inne ciepłe miejsca po wschodniej stronie jeziora. Żywili się zgromadzonymi zapasami (głównie nasionami sosen) i upolowanymi gryzoniami. W marcu przenosili się na zachodni brzeg do świetlistych lasów sosnowych, gdzie polowali na jelenie i zbierali młode zielone pędy roślin. Potem na początku lata przenoszono się na otwarte przestrzenie, szczególnie wokół jeziora, gdzie zbierano nasiona, owoce, kłaczka. Gdy nastawał czas zbierania poczwarek muchówek gromadzących się na brzegu jeziora, przypominało ono wielkie pole kempingowe, a szałas ciągnęły się kilometrami. I wreszcie jesienią przenoszono się do lasów sosnowych, gdzie zbierano w olbrzymich ilościach zielone jeszcze szyszki z orzeszkami występującego tam gatunku sosny (trochę jak orzeszki limbowe), a gdy plon był odpowiedni, tam też zimowano w szałasach z gałęzi, o lekko wkopanych w ziemię podłogach.

¹¹Davis EL 1962. Hunter-gatherers of Mono Lake. *The Masterkey*, 36(1): 23-28.

Pierwotne Społeczeństwo Dobrobytu

Pierwotne Społeczeństwo Dobrobytu (woryginalie *original affluent society*) to termin ukuty przez amerykańskiego antropologa Marshalla Sahlinsa, zaprezentowany na sympozjum *Man the Hunter* w Chicago w roku 1966.

Sympozjum to miało doniosłe znaczenie. Nastąpił wtedy przełom w patrzeniu na życie prymitywnych zbieraczy-łowców. Dotąd kojarzono ich z ubóstwem, głodem, prymitywizmem. Teraz stali się pewnym ideałem „złotego wieku”, bo podobno nie byli tacy głodni, a ich kultura duchowa była często bardzo wyrafinowana (jak też mniej widoczne aspekty kultury materialnej).

Sahlins nazwał ekonomię społeczeństw zbieracko-łowickich „ekonomią Zen” (*Zen economy*). Sahlins argumentuje, że zbieracze-łowcy mogą uzyskać poczucie dobrobytu mało potrzebując i zaspokajając w różnorodny i w każdy możliwy sposób swoje podstawowe potrzeby¹².

Sahlins cytuje Lornę Marshall¹³:

„Gdy !Kung¹⁴ będą coraz bardziej wchodzić w kontakt z Europejczykami, a to już się dzieje - będą drastycznie czuć brak naszych rzeczy i będą potrzebować i chcieć więcej. Tworzy to

¹²Sahlins M 1968. Notes on the Original Affluent Society, [w:] *Man the Hunter*. RB. Lee, I. DeVore (red.). New York, Aldine Publishing Company, ss.85-89.

Sahlins M 2003. The Original Affluent Society [w:] *Stone Age Economics*, M Sahlins (red.), Routledge, Kentucky.

¹³Marshall L 1961. Sharing, Talking, and Giving: Relief of Social Tensions Among „Kung Bushmen”. *Africa*, 31:231-49. Tłum. Ł.Ł.

¹⁴Wykrzyknik przed Kung oznacza dźwięk-klikięcie nie występujący w innych rodzinach językowych.

poczucie niższości u nich, być bez ubrań, kiedy stoją obok ubranych obcych. Ale w ich własnym życiu i z ich wytworami byli oni relatywnie wolni od presji materialnej. Oprócz jedzenia i wody (ważne wyjątki!), których Nyae Nyae Kung wystarcza - ale ledwo, sądząc z faktu, że wszyscy są szczupli, choć nie wychudzeni - mieli oni to, co potrzebowali lub mogli zrobić to, co potrzebowali, jako że każdy mężczyzna potrafi robić i robi rzeczy, które mężczyźni robią, a każda kobieta potrafi robić i robi rzeczy, które kobiety robią. !Kung mogliby zawsze używać więcej skorup strusich jaj na koraliki do noszenia lub sprzedaży, ale jest tak, że każda kobieta znajduje wystarczająco, żeby mieć tuzin lub więcej skorup do noszenia wody, tyle ile uniesie - i dobrą liczbę ozdób koralikowych. W ich nomadycznym życiu zbieracza-łowcy, podróżując od jednego źródła do drugiego poprzez pory roku, zawsze wędrując od jedzenia do wody, w te i z powrotem, noszą swoje dzieci i dobytek. Z dostatkiem materiałów pod ręką, aby wymienić swoje wytwory w miarę potrzeby, !Kung nie rozwinęli sposobów przechowywania i powielania. Nie chcą nawet nosić po jednym ze wszystkiego. Pożyczają to, czego nie mają. Z tym luzem, nie gromadzą, a akumulacja obiektów nie jest związana ze statusem.”

Szczególną uwagę Sahlins zwraca na znaczną ilość czasu dostępną dla zbieraczy-łowców. Bazując na pracach McCarthy'ego i McArthur'a w Ziemi Arnhema i Richarda Lee u południowoafrykańskich !Kung, twierdzi, że zbieracze-łowcy pracują jedynie przez około dwadzieścia godzin na tydzień, czyli połowę tego, co ludzie współcześni.

Ból

Jedną z najmniej eksplorowanych cech ludzi pierwotnych jest odporność na ból. Tak jak bohater jednej z książek Hermana Hessego mówi, że potrafi pościć, medytować i czekać, człowiek pierwotny mógłby powiedzieć: „Potrafię polować, zbierać, pościć i znosić ból”. Ból, nieodłączny składnik życia każdego człowieka, był dużo bardziej obecny w czasach bez strzykawek, paracetamolu i szpitali. Człowiek, co prawda, już w prehistorii odkrył substancje narkotyczne, które pomagały znosić ból, jak opium czy niektóre rośliny psiankowate, jak lulek i bielun, jednak wychowanie było nastawione na znoszenie bez narzekania nawet ekstremalnego bólu. Widać to na przykład w powszechności niezwykle okrutnych obrzędów przejścia.

Jeden z najokrutniejszych obrzędów przejścia wymyślili australijscy Aborygeni¹⁵. W wielu szczepach Australii u młodych, kilkunastoletnich ledwo chłopców dokonywano tak zwanej „subincyzji”, czyli nacięcia penisa. Jakby rozszerzonej wersji obrzezania. Penisa nacinano wzdłuż jak hot-doga, tak, że niszczone nasieniowód, ale pozostawiano moczowód. Więc siusiu szło normalnie, a nasienie szło u nasady członka (co mogło mieć znaczenie w ograniczeniu płodności...). Oczywiście było to bolesne. Obrzędu dokonywano ostrym kamieniem lub muszlą, a potem także różnymi odpadkami cywilizacji białych (na przykład szkłem). Chłopcy cierpieli tygodniami z powodu trudnych do zagojenia ran, a wcześniej matki przeżuwały na pletki swoich synów, śpiewając rytualne pieśni.

¹⁵Szyjewski A 2000. *Religie Australii*. Nomos, Kraków.

Dym

Wynalazek ognia jest starszy niż wynalazek rolnictwa, pasterstwa i metalu. Jest przypuszczalnie starszy niż sam człowiek. Z zachowanych śladów wynika, że już *Homo erectus* mógł używać ognia. Nie jest pewne, czy umiał go rozpalać, ale pewnie podtrzymywał w sposób nieprzerwany przez lata.

Gdzie jest ogień, jest dym. Dopóki ludzie żyli w ciepłym klimacie i ogień był używany tylko do gotowania czy odstraszania dzikich zwierząt, dym nie był kłopotem. Dym zaczął dawać się we znaki w ciasnych szałasach, podczas długich zimowych dni. Z jednej strony odstraszał robactwo, z drugiej utrudniał oddychanie, pewnie był jednym z niewielu rakotwórczych czynników w życiu pierwotnego człowieka, i szkodził oczom. Choroby oczu spowodowane przez dym to jedna z tych dziwnych, pradawnych przypadłości, które ustąpiły chorobom cywilizacji, rakowi, cukrzycy i chorobom układu krążenia.

Na zachodzie Europy, gdzie zimy nie są zbyt ostre, obszerne kominy i kominki odprowadzały dosyć efektywnie ciepło już kilkaset lat temu. Jednak wschodnia Europa, aż do przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, była ostoją kurnych, zadymionych chat. Jak to się stało? Ano bez komina ciepło wolniej uciekało z chałupy, a dym konserwował ściany chat. Dym uciekał przez otwór w powale, a potem snuł się przez strzechę. Kiedy w XIX wieku panowie zaczęli wymagać od chłopów budowy kominów, ci ostatni myśleli, że ci pierwsi oszaleli, nie rozumiejąc jak można wyrzucać z domu ciepło. A dziś denerwuje nas mały dymek papierosa na przystanku.

Zlot

Kiedy miałem 19 lat i z powodu trochę „przyspieszonego” kursu edukacji wróciłem właśnie z Puszczy Białowieskiej, gdzie zbierałem materiały do pracy magisterskiej, mój szkolny kolega Krzysiek pokazał mi zdjęcia z pewnej imprezy, która odbyła się dosłownie o godzinę jazdy samochodem od mojego rodzinnego Krosna. Był to zjazd Rodziny R.

Nieformalne zjazdy R zaczęły się w roku 1972, ale po kilku latach idea przeniosła się do Europy, gdzie od roku 1983, każdego lata, w jakimś odludnym miejscu odbywa się „Europejski Zlot Rodziny R”.

R ma wiele hipisowskich cech. Wygląda jak zjazd hipisów i po części nim jest. Jednak powstało u schyłku tamtej epoki. Ideą zlotów jest szerzenie miłości, braterstwa, uzdrawiająca wymiana energii, życie przynajmniej przez krótki okres poza Babilonem, jak uczestnicy nazywają normalny komercyjny świat.

Kiedy zobaczyłem zdjęcia Krzyśka, nie wiedziałem o tym, przedstawił to po prostu jako zjazd „ekologów”, „miłośników Indian”, „takich fajnych dziwaków z Zachodu”. Był to drugi pod rząd zjazd w Polsce. Pierwszy odbył się w Bieszczadach, ten odbywał się w pobliskich Polanach Surowicznych. Był to jednak wyjątek, zwykle co roku zjazd jest w innej części Europy.

Krzysiek opowiadał mi o ludziach plujących dymem, o ludziach rozdających za darmo jedzenie, smarujących się błotem oraz o chodzących nago laskach. Bardzo żałowałem, że nie byłem wtedy, tak blisko domu, na R, i przez kilka lat próbowałem dowiedzieć się, jak tam trafić. Mało miałem kontak-

tu z tym środowiskiem, a internet dopiero raczkował. Kiedy wreszcie R namierzyłem, już trochę więcej wiedziałem o jego ideałach, a sam byłem prawie trzydziestolatkiem z żoną i trzyletnią córką.

Pierwsze R, na którym byłem, odbyło się w Chorwacji. Do końca nie było wiadomo gdzie, bo miejsce w ostatniej chwili przeniesiono. Pojechaliśmy tam autem. Było to świeżo po wojnie w Jugosławii. Po drodze mijaliśmy wsie z podziurawionymi murami, porzucone lodówki, sprzęty, opuszczone domy. Impreza odbywała się blisko bośniackiej granicy, w przepięknej dolinie zwanej Pagan, czyli Patelnia.

R, rzeczywiście zgodnie z tym co mówił Krzysiek, rodzi nie tylko hipisowskie skojarzenia, ale i indiańskie. Wygląda jak wielki rytualny zlot jakiegoś plemienia. Wrażenie to wzmacnia duża ilość płóciennych tipi i różnego rodzaju ad hoc stworzonych wigwamów, sprawiająca, że znacznie liczniejsze daszki z tarpolin i komercyjne namioty jakby nie są widoczne.

Powiązanie R z „Indianami” jest silne, ale i rozmyte. To nie jak w przypadku ruchów indianistycznych zabawa w kopiowanie Indian, zabawa w konkretne plemię. Według mnie bliskie jest to harcerskiej, settonowskiej idei Indian. A więc pióropuszków nie widać, choć w różnych amuletach co raz widzi się orle pióra. Broni też nie ma, bo zlot jest ze swojej idei wegański. Widzi się jednak ludzi o pomalowanych twarzach, ubranych „inaczej”, owe wspomniane już tipi. Wiele osób siedzi i mówi „jak” Indianie. W kręgu, siedząc na ziemi, w skupieniu, powoli. Czasem, choć nie często, bo do tego potrzeba dużo pracy, a większości osób ciężko przychodzi intensywne działanie, odbywają się różne ceremonie i warsztaty, na przykład obrzęd indiańskiej sauny (najpopularniejsze są jednak warsztaty masażu).

Oczywiście, mówiąc o Indianach, mam na myśli Indian Prerii, gdyż to wyidealizowany ich obraz, podobnie jak harce-

rze i indianiści, kopiują niektórzy uczestnicy Zjazdów. Robienie czegoś „jak to robili Indianie” jest najwyższym stopniem pozytywnej oceny czegoś. Czasem zdarzają się też odniesienia do innych plemion, a najważniejszą legendą R - przepowiednia wodza z plemienia Hopi (podobno zmyślona, choć naprawdę piękna).

Jedzenie na R jest za darmo. Dwa razy dziennie odbywa się tak zwany „food circle”. Na głównym placu zlotu, gdzie powiewają cztery „indiańskie” kolorowe flagi czterech kierunków świata, ludzie zbierają się w kręgu, a jedzenie jest wnoszone w dużych garach i rozdawane przez wolontariuszy. Jedzenie jest dosyć proste, zwykle jakaś zupa, podplomyki (czapati) i owoce. Wegańskie. Niesolone. Często przypalone - bo gotują wolontariusze - którzy lubią się zagadać. Poza tym kiedy gotuje się dla kilku tysięcy ludzi, tak, kilku tysięcy ludzi, czasem są wypadki. Sam kiedyś zrobiłem tysiąc podplomyków.

Kiedyś też, krojąc w kostkę cukinie wypełniające przyczepę od traktora, byłem świadkiem strasznej kłótni. To na R rzadka rzecz, bo wszyscy starają się zachować styl, luz, dystans, „love attitude” i „non-violence”. Pewna uczestniczka została przyłapana na soleniu zupy. A przecież w kuchni było wiele osób, dla których sól to wielki wróg. Została więc słownie prawie zlinczowana, a wieczorem w kręgu odbyła się wielka narada: solić czy nie solić.

Słuchając argumentów zacząłem zastanawiać się, co powiedziałby lub zrobił mój wyidealizowany Człowiek Pierwotny (w mojej głowie nie ma wyidealizowanego Indianina czy Aborygena, stworzyłem sobie w głowie Wyidealizowanego Ogólnego Człowieka Pierwotnego Strefy Leśnej Klimatu Umiarkowanego). Wiele ludów żyjących daleko od morza, na przykład południowoamerykańscy Yanomami, nie znało soli i jej nie używało, mimo to ich organizmy świetnie funkcjonowały, mając pod dostatkiem soli mineralnych zawartych w mięsie,

warzywach i w popiele z ogniska, którym zanieczyszczone było pożywienie. Jednak obecność soli jest naturalna dla ludzi żyjących nad morzem. Nadmorskie dzikie warzywa, na przykład dzikie buraki na wybrzeżu Anglii (naprawdę warto ich spróbować), są bardzo słone. Samo ich jedzenie dostarcza nam dużych ilości soli. Jeśli hipoteza Wodnej Małpy, o której piszę w innym fragmencie tej książki, jest prawdziwa, to człowiek miał częsty kontakt z solą. Może to nie jest takie ważne, słone czy nie?

Siedząc wieczorem przy ognisku i słuchając starych przebojów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z Bobem Marleyem na czele, słuchając rozmów o autostopie, w jakim kraju można zarobić na pracy w sadach czy o tym, że wreszcie odbędzie się pielgrzymka-karawana wozów R do Indii (śpiewka, którą słyhać od wielu lat, ale nikt jej jeszcze nie zorganizował), po kilku tygodniach można się zanudzić na śmierć. Jednak od czasu do czasu można wychwycić wspaniałych i ciekawych ludzi, więc sam osobiście nie obrażam się na tę pozorną nudę. Zresztą zawsze można się odwrócić i pójść do lasu.

Organizatorzy R mają jakiś szósty zmysł. Pomimo że z reguły prowadzą dosyć luźne i próżniacze życie, mają w sobie dużo ciszy, spokoju i wrażliwości, która pozwala na wyczucie ducha miejsca, genius loci. Miejsca są z reguły odludne i trudno dostępne dla podróżujących autem, co tworzy osobną kastę, tych którzy mają duże auta, wany i ciężarówki, i w nich mieszkają, i już nie fatygują się jeszcze godzinę marszu do właściwego obozu. A więc dzięki szóstemu zmysłowi miejsca R są dzikie, piękne i zwykle położone tam, gdzie są jakieś górskie pastwiska, ale i las. Prawdziwy Indianin by się nie powstydział. Gorzej jest z wodą. Bo miejsca nad dużymi rzekami są zwykle spalone z powodu ich mniejszej dzikości i łatwiejszej dostępności. A więc pozostają górskie siklawy, jeziorka, źródełka. Jedynie na Tworylnem w Bieszczadach udało się umiejscowić R nad Wielką Rzeką Sanem. Drugie polskie R

też było w dolinie. Ale na przykład R we Włoszech i Bułgarii odbywały się wysoko w górach, we Włoszech były to jałowe buczyny i borówczyska, w Bułgarii regiel górny ze świerkami, jak w Tatrach! Ciekawie jest marznąć w nocy i drzeć z zimna w krajach, do których jeździ się w lecie na wybrzeże, bo mają gwarantowaną pogodę.

Idea wielkiego plemienia, w którym jedzenie jest za darmo (kupuje się je z datków) i nie ma przemocy, jest fikcją. Złot odbywa się w warunkach idealnych lub sub-idealnych. W lecie, w miłym miejscu, bez konieczności obrony (w Europie, bo w Ameryce są ciągle kłopoty z policją i leśnikami). Żywność jest kupowana od miejscowych rolników i w miejscowych sklepach (co zyskuje wielką przychylność tubylców) z pieniędzy przywiezionych z zewnątrz, z Babilonu. Obóz trwa cztery tygodnie i się zwija. Jest to więc utopia okresowa. Jedna z niewielu utopii, która się spełnia, bo nie ma pretensji do bycia utopią permanentną.

Utopią byłaby próba ogołocenia otaczającej przyrody z dostępnego pokarmu. Nie da się trzech tysięcy ludzi wyżywić leśnymi jagodami i korzonkami na obszarze stu hektarów. Ciężko byłoby nawet jednej małej rodzinie. Siedząc w obozach R myślałem nad tymi sprawami jednak często. Jedzenie było, jak na moje podniebienie, podle, za dużo niedogotowanej kapusty, za dużo półsurowych płatków owsianych. Za mało. Więc dożywiałem się. Na chorwackim były to liście: szczaw, ostrożeń, pokrzywa. We Włoszech kłącza kuklika górskiego, kwiatostany dziewięciszów bezłodygowych, cebulki storczyków, jaszczurki, jagody borówki czernicy i koniki polne. A w Bułgarii znowu koniki polne i różne listki, jak w Chorwacji. Właściwie to jedzenie koników było niezgodne z wegetariańskim przesłaniem R. Wydawało mi się jednak niewinne oraz promujące samowystarczalność i jedzenie ekologiczne. Dziwnie musiałem wyglądać: nago, z twarzą pomalowaną w czer-

wone pręgi, z wielką papierową torbą (na koniki, żeby nie wyskakiwały, papierową, bo ekologia) w lewej ręce i z metalowym kubkiem w prawej, na borówki. Kiedy pytano mnie: „Co robisz, bracie?”, mówiłem, że zbieram owoce. W istocie przynosiłem cały kubek jagódek, ale i torbę z sześciuset czy siedmiuset konikami. Rano robiłem małe ognisko, rozgrzewałem rondelkę, wysypywałem koniki z torby, które po kilku minutach potrząsania nad ogniem przestawały skakać i robiły się gorące jak raki. Potem wrzucałem jagody i trochę cukru. Mięso z jagodami na słodko. Niestety nie chciało mi się tego robić na obiad i kolację, więc potem jadłem kapustę.

We Włoszech rozpocząłem karierę jako prowadzący warsztaty. Przekazywanie wiedzy o dzikich roślinach jadalnych wydawało mi się czymś bardzo pasującym do R - wahałem się czy tego nie robić już w Chorwacji. Jednak we Włoszech zebrałem się na odwagę. Trzeba było wrzeszczeć do trzech tysięcy ludzi podczas obiadu, którzy siedzieli w czterech koncentrycznych kręgach, co sto metrów powtarzając ogłoszenie, więc w sumie wiele razy: „Organizuję warsztaty odżywiania się dzikimi roślinami jadalnymi, spotykamy się po obiedzie na głównym placu”. Pora była mało czytelna, no ale cóż, to „R time”, godzina w tę czy w tę... Więc czekałem. Pojawiło się nie długo koło tuzina osób, ale mówili, że jeszcze idą, jeszcze idą, drugi, tuzin, trzeci, siódmy, dziesiąty... Uzbierało się sto pięćdziesiąt osób. Więc przez resztę dnia prowadziłem boso przez lasy i pola tłum, w połowie nagi, wielojęzyczny, wykrzykując nazwy w językach, które znałem, po polsku, angielsku, rosyjsku, oczywiście po łacinie, dodawałem do łacińskich nazw końcówkę „o” zamiast „um”, bo to zwykle robi to, że od razu jest po włosku albo hiszpańsku, parę nazw znałem po francusku i niemiecku. Polacy krzyczeli: „O, gołąbki”, Rosjanie „Wot, surojeżki”, a Niemcy pytali: „Was ist das?”. Jak pokazywałem pałkę wodną, jakaś Austriaczka zaczęła się martwić, że to spr-

wa kryminalna, bo w Austrii to jest pod ścisłą ochroną. Miałem jej tłumaczyć, że we Włoszech nie, a poza tym Włochy to wiadomo, wszyscy mają to w d..., mafia i w ogóle. Kiedy doszliśmy do jeziora, zacząłem mówić o mięcie wodnej, tłum się nagle obnażył i rozpierzchnął w toni jeziora. A ja zerwałem tę mięte, włożyłem do książki, zapomniałem o niej. W zawilgłym plecaku przeżyła jeszcze tydzień, wsadziłem ją do szklanki, puściła korzonki, do dziś rośnie w ogrodzie. Bujnie.

R to wspaniałe pole do socjologicznych obserwacji, że tak powiem pan-europejskich. Widać narodowe przyzwyczajenia. Żydzi z kawałka płachty zrobili świątynię, gdzie można było przyjść i pomedytować, obojętnie jakie wyznania. Niemcy trzęsą organizacją obozów. Krzyczą, żeby kopać ubikacje, *shit-pits*. Francuzi piją cafe we własnym gronie, zamknięci w *un tipi*. Austriacy zrobili *coffee-shop* otwarty, kawa za darmo dla każdego. Głównymi ich klientami są Polacy, którzy raczej nastawieni są na darmowe posiłki i kawę, szczególnie młódź. W Bułgarii spotkałem dwóch punków, gdzieś z Podhala: „Stary, już jesteśmy ustawieni. Tam mieszka koleś, co ma kozę. Mleko nam daje, rakiją nas poi, na razie ją za darmo daje. We wsi na dole chodzimy do jednej babci. Kupiliśmy od niej koguta. Jak się to R zakończy, to zarżniemy go uroczyście i rosół się zrobi. Ziemiaki nam daje. Bo my „bracia Słowianie”.

Kiedy doszedłem do R we Włoszech, padał deszcz. Ale braterstwo było. W *welcome center* napoili mnie ciepłą herbata, a trójka Włochów wzięła mnie do małego namiotu dwójki. Zakopali się w śpiwory i wyciągnęli bagietki napchane szynką i cyk, utworzyli wino.

- Chcesz? - pytają.

- To R - mówię. A jeden:

- To Włochy. U nas wszyscy jedzą szynkę i piją wino, to bardzo zdrowe!

Zarazem spotykam ludzi wiernych R diecie. Żywiących się latami czapati, owocami, płatkami. Wegetarian, wegan, fru-

tarian i witarian. Imponuje mi to, bo lubię mięso, ale nie lubię myśleć o śmierci zwierząt. Ale organizm tego nie akceptuje. Jakieś mięso lub choćby nabiał musi być. Rozmawiam z dziewczyną, która od roku je jabłka i marchew. Nawet nie wygląda, żeby miała anoreksję. Ależ ci frutarianie są pierwotni! Bardziej niż ludzie pierwotni (50% mięsa w diecie), bardziej nawet niż szympansy (10% owadów w diecie), stadium goryla.

Buszmeni

Buszmeni, od angielskiego *bush* (pierwotnie „krzew”, przez kolonizatorów Afryki przeniesione na gęstwiny, las) oraz *men* (ludzie). Termin pejoratywny, pogardliwy, a sama wiedza o tych ludziach wśród przeciętnych ludzi zachodu jest żadna, pozbawiona takich stereotypów jak Indianin Prerii w pióropuszu, malutki Pigmej skaczący po zwałonych kłodach tropikalnego lasu czy nagi Aborygen australijski na pustyni.

Buszmeni, razem z Hotentotami, należą do grupy językowej Khoi-San i obecnie, aby podkreślić i uszanować odrębność poszczególnych grup używa się zwykle ich własnych nazw na siebie. W tym rozdziale opowiem o /Gui, //Gana, Ju/'hoansi i Tyua, ludziach, którzy do niedawna wędrowali po suchych terenach południowo-zachodniej Afryki, żyli w małych, krótkotrwałych osadach zbudowanych z półkulistych szalasów przykrytych suchymi trawami. Znaków takich jak „ʼ” i „!” używa się w pisowni języków Khoi-San na oznaczenie dźwięków-kliknięć, charakterystycznych dla tej grupy językowej.

/Gu i //Gana żyją na terenie Botswany. Dla nauki odkrył ich w roku 1958 Laurens van der Post w swojej książce „The Lost World of the Kalahari”, opartej na jego kilku ekspedycjach do tych ludzi, ludu, który uważano wcześniej za już wymarły.

Do roku 1979, czasu ich osiedlenia, omawiane ludy były praktycznie czystymi zbieraczami-łowcami. Przeciętna wędrująca grupa składała się z około czterdziestu osób. Ich wędrówki były silnie zdeterminowane przez obecność rzadkiej na „pustyni” Kalahari wody i dzikich warzyw. Pustynię należy rozumieć tu w szerokim znaczeniu, raczej jako bardzo suchą sawannę, porośniętą przez trawy oraz pojedyncze krzewy, a także drzewa z rodzaju *Acacia*, *Albizia* i *Bauhinia*¹⁷.

W pożywieniu dominują, jak u większości Buszmenów, rośliny, różnorodne ich części. Najważniejsze to bulwy *Cucumis kalahariensis* i *Coccinia rehmannii*, orzechy *Bauhinia petersiana* i *Tylosema esculentum*, owoce *Grewia flava*, *G. retinervis* i *Ochna pulchra*, w tym dzikie melony *Citrullus lanatus* i *Acanthosicyos naudiniana*, rośliny cebulowe z rodzaju *Ledebouria*. Jedzą także grzyby, szczególnie trufle z rodzaju *Terfezia*.

Choć mężczyźni spędzają na polowaniu trzy do pięciu dni tygodniowo, od pięciu do dwunastu godzin, czyli porównywalnie tyle, co kobiety zbierające dzikie rośliny jadalne codziennie przez jedną do pięciu godzin, ich udział w wyżywieniu upolowanym mięsem stanowi jedynie 20% spożywanych kalorii. Mężczyźni polują na około pięćdziesiąt gatunków zwierząt. Techniki polowania są różne: łuk i zatrute strzały, kij z hakiem, włócznie, pułapki, nagonka z psem oraz wręcz ściganie zwierząt i łapanie ich w ręce. Są to głównie ssaki i ptaki, różnej wielkości.

Choć jak u większości zbieraczy-łowców u ludu tego dominują małżeństwa monogamiczne, to poligamia jest częsta, prawdziwą ciekawostką ich życia seksualnego jest instytucja *zaaku*. Są to powszechnie występujące związki pozamażeń-

¹⁷ Informacje o tym ludzie na podstawie monografii: Tanaka J & Sugawara K 1999. The /Gui and //Gana of Botswana. [w:] RB Lee & R Daly (red.), *The Cambridge Encyclopaedia of Hunters and Gatherers*. Cambridge University Press, Cambridge.

skie. Na początku są potajemne. W dalszej fazie prowadzą, jak na Zachodzie, do rozvodu albo do poligamii, albo do instytucjonalnej wymiany partnerów i dóbr między dwoma „monogamicznymi” małżeństwami.

Niestety od lat siedemdziesiątych XX w. z powodu katastrofalnych susz, zwiększenia populacji plemienia, programów osadniczych, zwiększonego dostępu do wody pitnej i alkoholu permanentnie odmieniło się życie tego ludu.

Dalej na północny zachód, na pograniczu Botswany i Namibii żyją Ju/'hoansi¹⁸. Do niedawna zbieracze-łowcy, teraz głównie rolnicy i pasterze, mieli także to szczęście, że ich pierwotny tryb życia uchwycili w swej schyłkowej fazie antropododzy. To właśnie w oparciu o informacje o życiu tego ludu Sahlins sformułował swoją hipotezę pierwotnego społeczeństwa dobrobytu, gdyż ich dieta, ilość ruchu i niski poziom chorób zaliczały ich do najzdrowszych ludzi na świecie. Dopiero wprowadzone później choroby, jak gruźlica, pogorszyły ich dobrostan.

Podobnie jak poprzednio omawiane szczepy Buszmeńców, Ju/'hoansi swoje pożywienie czerpali z roślin. Szczególnie cenne były dla nich owoce drzewa mongongo (*Ricinodendron rautanenii*). Wpierw rozgotowywano mięsz tych owoców, robiąc polewkę, a potem prażono zawarte w środku, bardzo smaczne podobno, nasiona.

Przemiany cywilizacyjne drugiej połowy XX w. i działalność rządów doprowadziły do przymusowego osiedlenia tego szczepu, nędzy, alkoholizmu i chorób. Jednak niektóre rodziny w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zaczęły wracać do zabranych im terytoriów, a z zewnętrzną pomocą, szczególnie Nyae Nyae Development Foundation of Namibia,

¹⁸Biesele M, Royal-/o/oo K 1999. The Ju/'hoansi of Botswana and Namibia. [w:] RB Lee & R Daly (red.), *The Cambridge Encyclopaedia of Hunters and Gatherers*. Cambridge University Press, Cambridge.

rozpoczęli drogę do zatrzymania totalnej dezintegracji poprzez łączenie zbieractwa, łowiectwa, pasterstwa, a nawet ekoturystyki.

Szczep Tyua żyje na wschód od Ju/'hoansi, na skraju Botswany i Zimbabwe¹⁹. Nazywany jest czasem Rzecznyymi Buszmenami. Lud ten od wieków wchodził w relacje ekonomiczne z rolnikami Bantu, a już w roku 1929 spora jego część została wygnana ze swoich terytoriów przez utworzenie przez władze Zimbabwe Wankie Game Reserve (obecnie Park Narodowy Hwange). Pomimo że obecnie Tyua żyją głównie z rolnictwa, pasterstwa i pracy najemnej, uzupełniają swoje pożywienie o polowanie i zbieractwo. Polowanie, co prawda, zostało dla nich zdelegalizowane już kilkadziesiąt lat temu i zawsze rodziło wiele konfliktów, włącznie z aresztem. W roku 1979 rząd Botswany wydał im specjalne licencje zezwalające na polowanie, mimo tego dochodziło wciąż do nadużywania władzy przez urzędników i policję. Tyua do niedawna odżywiali się 83 gatunkami roślin, 52 gatunkami ssaków, 18 gatunkami ptaków, siedmioma gadów, ośmioma owadów i trzema gatunkami ryb.

¹⁹Hitchcock RK 1999. The Tyua of Northeastern Botswana and Western Zimbabwe. [w:] RB Lee & R Daly (red.), *The Cambridge Encyclopaedia of Hunters and Gatherers*. Cambridge University Press, Cambridge.

Oszustwo Tasaday

Pisząc o zbieraczach-łowcach oraz ich współczesnych naśladowcach, warto też wspomnieć zbieraczy-łowców sfałszowanych. Jest to historia tak zwanej *kontrowersji Tasaday*, dotycząca plemienia z Filipin, które miało żyć do niedawna jak ostatni jaskiniowcy, a jest przypuszczalnie oszustwem²⁰.

Lud Tasaday odkrył w roku 1971 Manuel Elizalde Junior, prezes Panamin, organu powołanego przez prezydenta Marcosa do zajmowania się mniejszościami etnicznymi na Filipinach. Donosił on o istnieniu grupy zbieraczy-łowców żyjących w lesie Cotabao koło Mindanao. Grupa ta liczyła około 25 osób. W ciągu następnego miesiąca wywołało to duże zainteresowanie światowych mediów, a wielu dziennikarzy i antropologów, zawsze pod „opieką” Elizalde, miało okazję podziwiać to plemię w jego jaskiniach. Odkrycie to podważył jedynie filipiński antropolog Zeus Salazar, ale zabroniono mu dostępu do plemienia. Od roku 1972 aż do obalenia dyktatora Marcosa w roku 1986 zakazano kontaktów z plemieniem i ustanowiono ściśle strzeżony rezerwat mający je chronić.

Pierwszymi, którzy po śmierci Marcosa próbowali demaskować to oszustwo, byli szwajcarski antropolog Oswald Iten, niemiecki dziennikarz Walter Unger i fotograf Jay Ullal. Ci dwaj ostatni, kiedy przybyli do rezerwatu zapowiadani, zastali ludzi prawie nagich, jedynie w spódniczkach z traw. Tydzień później, niezapowiedzeni, sfotografowali tę samą rodzinę w normalnych europejskich ubraniach.

²⁰Berreman GD 1999. The Tasaday controversy. [w:] RB Lee & R Daly (red.), *The Cambridge Encyclopaedia of Hunters and Gatherers*. Cambridge University Press, Cambridge.

Tasaday są prawdziwą małą grupą etniczną i rzeczywiście wykazują wiele prymitywnych cech w swoim sposobie życia. Są prymitywnymi rolnikami - kopieniaczami, którzy bardzo wiele czerpią z lasu. Jednak wykorzystano ich do swego rodzaju oszustwa, przedstawiając ich jako pierwotnych, nie znających rolnictwa jaskiniowców. Sprawa Tasaday poruszała wielu antropologów, tym bardziej, że wielu na początku dało się nabrać i pisało w tonie poważnym o odkryciu Tasaday. Trudno też było przez lata podważyć na sto procent cyniczną manipulację, jak twierdzi Barreman. Dopiero duża masa dowodów, lingwistycznych i antropologicznych nieścisłości, powoli podważyła sławę Tasaday. W jednym z programów telewizyjnych BBC padło nawet pytanie, czy jeśli Tasadayom udało się „nabrać” prawie każdego antropologa, to na ile w ogóle warte zaufania są ich badania i odkrycia. Trudności z obaleniem mitu Tasaday były też czysto praktyczne: strach przed procesami o zniesławienie czy zemstą, na przykład polegającą na odmowie wjazdu do Filipin. Kontrowersji wokół Tasaday poświęcono i konferencję na Filipinach, i specjalny tom American Anthropological Association, w którym dosyć łagodnie oceniono to domniemane oszustwo. A redaktor tomu T.N. Headland podkreślił, że to sami Tasadayowie nie oszukiwali antropologów świadomie.²¹

Bananowiec i tatarak

Oprócz podobnych do siebie tysięcy gatunków roślin, są takie, które trudno pomylić, charakterystyczne, a zarazem niezwykle użyteczne. Na przykład bananowiec. Bananowiec

²¹Headland TN (red.) 1992. *The Tasaday Controversy: assessing the evidence*. Washington, DC: American Anthropological Association.

to duża roślina, dorastająca do kilkunastu metrów, lecz nie drzewo, ale gigantyczna bylina.

Ogólnie znany jest jako roślina o jadalnych owocach. Jadalne są także jego kwiaty, sprzedawane w Tajlandii jako warzywo. A liście używane są na wiele sposobów, jako naturalne talerzyki pod potrawy (Indie), do zawijania pieczonych w żarze potraw czy nawet jako krótkotrwałe pokrycie szaląsów. Banan wydaje się czymś trudnym do zastąpienia. Mączyste owoce o unikalnym smaku oraz wielkie, nietrujące liście stanowią o jego wielkiej wartości. W naszym klimacie zamiast liści bananowca można by używać do podawania innych wielkich liści. Kiedy jednak rozglądamy się dookoła, nie ma wcale wielu gatunków roślin o dużych liściach. Chrzan - rzeczywiście świetnie się sprawdza. Zresztą, tradycyjnie jest w Polsce używany jako podkładka do pieczenia chleba oraz zawija się jego liśćmi ryby pieczone w ognisku. Moja córka uwielbia jeść pieczone kielbaski trzymając je w liściach chrzanu.

Jakich innych jeszcze liści używano w Polsce jako podkładki do pieczenia chleba? Jak pokazały badania Polskiego Atlasu Etnograficznego, oprócz chrzanu powszechnie używano też kapusty, a na północnym wschodzie także wonnych liści tataraku. Dużo rzadziej w niektórych wsiach klonu, jaworu i dębu. A ze słyszenia wiem o używaniu do tego też liści winorośli, co jest pewnie nowszą modą, ale może jest tradycyjnie praktykowane na południu, no bo i Bałkany oraz Bliski Wschód słyną z gołąbków z liści winorośli. Tak jak my używamy do owijania gołąbków kapusty, południowcy - winorośli, to Rumuni i Huculi robią gołąbki z gorzkich liści podbiału, a w Mołdawii natomiast używano do tego nawet liści kaczeńców.

Dlaczego pisząc o naturalności, piszę o gołąbkach? Bo liść jako produkt architektoniczny albo substytut papieru czy naczyń, jest czymś naturalnym, głęboko pierwotnym. Zanim zaczęto robić chleb, gotować ryż czy zanim wymyślono gołąbki w liściach, na żarze pieczono mięso, ryby, owady, bulwy.

Oprócz pieczenia na powierzchni ziemi, szeroko rozpowszechnione wśród prymitywnych szczepów bardzo nawet odległych części świata jest pieczenie pokarmu w dołach ziemnych. Tak robili i Maorysi, i Aborygeni australijscy, i Indianie z wybrzeża Pacyfiku.

Wykopywano dół, często obkładany kamieniami, w którym palono ognisko, a potem, przynajmniej po części, usuwano żar. Dół wykładano warstwą zielonych liści, a w środek wkładano bulwy lub mięso. Tak ugotowane potrawy mają wspaniały aromat i zwykle pieką się równo (piekąc na ognisku wiele rzeczy łatwo przypalić). Dodatkowym atutem (zarazem wadą) tej metody jest długi czas przygotowania potrawy. Wkładamy produkty wieczorem, a rano czeka na nas śniadanie. Zakopywanie żywności w ziemi jest też pierwotną metodą konserwowania żywności. Także i w Polsce kiszono dawniej kapustę bezpośrednio w dołach ziemnych, podobnie jak to robiły z dzikimi roślinami ludy Syberii. Znane są też przypadki konserwowania mięsa przez zakopanie całego zwierzęcia w podłożu. Tu szczególnie przydatny jest torf. Wiele razy odnajdywano na Syberii zakonserwowane w torfie mamuty, które można by pewnie skonsumować. Dobry żołądek znieśie wiele... Kiedyś, na zajęciach z botaniki, podkradłem koledze kawałek kokosa. Zdziwiłem się, że miąższ jest taki twardy (ale smakował kokosem). Dopiero potem zobaczyłem pieczętę na łupinie - Carskij Imperatorskij Uniwersitet. To był okaz muzealny.

Zbieracze-łowcy za kasę

Dziki człowiek zbieracz i łowca nie zawsze zdradza swoje pierwotne sposoby życia odkrywając rolnictwo. Wiele jest przypadków we współczesności, kiedy dziki człowiek bez-

pośrednio wskazuje do gospodarki towarowo-pieniężnej. I chyba to łatwiejsze. Z łowcy-nomady staje się nomadą, poszukiwaczem pracy w świecie „Babilonu”. Tak często dzieje się na przykład z morskimi nomadami Indochin. Istnieje jeszcze opcja pośrednia. Zbierać i polować za kasę, utrzymać swój styl życia, ale zdobyć nowe produkty - strzelby, paciorki, wodę ognistą, ryż, cukier czy mąkę. Tak handlowali dawniej z białymi i Indianie, i mieszkańcy Syberii. Ludy zbieracko-myśliwskie z Borneo od kilkuset lat dostarczają handlarzom różnych produktów. Wyspecjalizowali się natomiast wędrowni Raji z Nepalu²², którzy zbierają dziki miód i przehandlowują jego część za ryż, dożywiając się dziką zwierzyną. Handlować mogły te ludy, które nie były odizolowane od rolników, ale w Australii takich możliwości nie było (chyba zaczęliby jeździć na Nową Gwineę). Wracając do nepalskich Raji, inna pokrewna grupa dawnych zbieraczy-łowców z Nepalu, Raute, handluje drewnianymi misami, wydlubanymi z pni leśnych drzew. Przynoszą je do wioski i wymieniają za tyle ryżu, ile mieści się w misie. A mięso? Polują na małpy - makaki i langury. Nie pokazują jednak obcym ani jak polują, ani nie lubią pokazywać, jak jedzą małpie mięso. Jest to swego rodzaju zabezpieczenie przed oglądaniem ich w sytuacjach obrzydliwych dla ich sąsiadów - rolników, którzy małpiego mięsa nie jedzą²³. No cóż, aby żyć we współczesnym świecie, na skraju terytorium rolników, najlepiej jeść to, czego oni nie jedzą, żeby im nie wchodzić w drogę. Znaleźć swoją niszę - myszy, szczury, małpy czy - jak europejscy Romowie - jeże. Myślę, że o ile we współczesnej Europie jeżozerca prędzej czy później byłby ścigany przez jakieś organizacje ochrony przyrody, to szczurozerca byłby człowiekiem cieszącym się wzięciem. Niestety takich brakuje,

²²Raji *Honey Hunters from Nepal*, National Geographic, June 1998.

²³Reinhard J 1974 The Raute: Notes on a Nomadic Hunting and Gathering Tribe of Nepal. *Journal of Himalayan Studies* 2(4): 233-271.

a w wielkim mieście łatwiej jest wyżyć z jedzenia dobrej jakości pożywienia wyrzucanego do śmietników, którym się żywią szczury, niż jeść same gryzonie.

Odejście od pierwotnej zbieracko-łowieckości może być okresowe. Afrykańscy Pigmeje przez część roku pracują na plantacjach murzyńskich, a część roku spędzają na polowaniach w lesie.

Niewiele więc pokarmowo te ludy, na poły dzikie, różnią się od zawodowych polskich kłusowników oraz szeroko komentowanych w mediach mieszkańców rozwiązanych PGR-ów na Ziemiach Odzyskanych, którzy często po upadku komuny żyli jedynie ze sprzedaży leśnych jagód i grzybów... i pewnie z kłusownictwa. Do tego nurtu „zbieractwa za kasę” zaliczyć się może i piszący te słowa. Znaczącą część moich dochodów stanowi sprzedaż nasion dzikich roślin, których ani sam nie zjadam, ani też moi klienci, którzy raczej sięją je w ogrodach, jako że są to nasiona pięknych polnych i łąkowych kwiatów. Co prawda, niektóre z nich były używane na pożywienie. Drogie to jednak by było pożywienie. W przypadku większości gatunków zbieram pół kilograma albo kilogram dziennie. To jak praca za kilo razowej mąki za dniówkę. Chyba nie warto by dla tego porzucać cywilizacji. A które z nasion kwiatów, jakie zbieram mógłbym jeść (niektóre są trujące)? Te zjadliwe to na przykład wyka ptasia i brudnożółta, z których po namoczeniu i długim gotowaniu robiłem zupę o smaku grochówki, mak polny dający całkiem niezły mak do kanapki, wiesiołek też na kanapkę, rdest wężownik i szczaw, dobre na kaszę.

To zamienianie na pieniądze części swoich łowów i zbiorów jest dobrą, „nowoczesną” strategią. Dalej się można przemieszczać i zachować kulturę związaną z łowami i zbieractwem. Można stać się kastą, czasem nawet tolerowaną, albo i cenioną. Zbieracze-łowcy wpadają czasem na nowe sposoby użytkowania swojego środowiska. Choćby Cyganie Mor-

scy Moken, z wysp Surin na pograniczu Tajlandii i Birmy, którzy swego czasu zaczęli nurkować i zbierać wielkie muszle na sprzedaż dla turystów, czego im obecnie zakazano.

Paleodieta

Kiedy kilkanaście lat temu zaczęła się moja fascynacja zbieraczami-łowcami, uzupełniałem wtedy swoją dietę dzikimi kłączami, liśćmi czy rozjechanymi przez samochód żabami i jeżami, bo chciałem się uniezależnić od systemu, pieniędzy i całego tego łańcucha zobowiązań międzyludzkich. Dopiero wiele lat później zacząłem doceniać zdrowotne aspekty pierwotnej diety człowieka i dostrzegać niebezpieczeństwo zbytniego odbiegnięcia od niej.

Na początku wierzyłem, że kiedyś, kiedy osiągnę już mistrzostwo w zdobywaniu dzikich roślin jako pożywienia, w końcu uniezależnię się. Kiedy zaczynałem, założyłem właśnie rodzinę, mieliśmy pierwszą córkę i nie tak dużo czasu i sił, żeby przez sześć godzin wykopywać i myć drobne kłącza. Więc większość moich kalorii pochodziła z makaronu, chleba czy ziemniaków, wokół których tworzyłem różne potrawy złożone z łatwych do pozyskania dzikich liści. Kiedy w listopadzie 2004 r. przyjechałem do Białowieży na pogrzeb jednego z moich największych mistrzów, mojego dawnego promotora, profesora Falińskiego, dzięki spotkaniu ze swoją dawną znajomą z czasów pomieszkiwania w stacji badawczej Profesora zostałem przedstawiony profesorowi Markowi Konarzewskiemu, który swoją pracę dzielił wtedy między Białowieżę i Białystok. Profesor Konarzewski udostępnił mi wtedy roboczą wersję swojej wydanej niewiele później książki *Na początku był głód*, świetnej ewolucyjnej historii diety człowieka i zdrowotnych powikłań, jeśli się od niej odchodzi (na przykład jedząc chleb).

Jego książka jest bardzo antywegetariańska. Wiele w niej jest argumentów na rzecz znacznego udziału mięsa w naszej diecie (zdrowego mięsa, ma się rozumieć, a nie fabrycznych produktów serwowanych w sklepach). Ja wtedy byłem bardzo prowegetariański (pomimo że nigdy wegetarianinem nie byłem). Pod wpływem kilkunastuminutowej rozmowy z profesorem Konarzewskim stałem się świeżo nawróconym mięsożercą (w sumie mięso zawsze lubiłem, tylko wydawało mi się to niepotrzebnym, kosztownym sponsorowaniem śmierci zwierząt). A argumenty były dla mnie proste, miałem coraz większą nadwagę oraz silne, dziedziczne obciążenie możliwością rozwoju cukrzycy. Dieta „a la dziki człowiek” podobno te dwa problemy rozwiązuje. Do tej pory szedłem tropem na poły tylko dobrym. Dzięki liście tak. Ale chleb i makaron trzeba zastąpić dziczyzną... Zakładając, że akceptujemy przynajmniej w pewnym wymiarze zabijanie zwierząt i zgadzamy się z tym, że powrót do pierwotnej diety człowieka oznacza powrót do jedzenia mięsa okraszonego warzywami i owocami, bez takich zepsutych produktów cywilizacji jak chleb, alkohol i słodczyce. Dieta taka uzyskała już swoją nazwę - znana jest zwykle jako dieta paleolityczna - i ma rzeszę zwolenników. Najbardziej znanym jej propagatorem jest Lorain Cordain, autor książki *The Paleo Diet*²⁴.

Porównania składu diet różnych grup zbieraczy-łowców pokazują, że średnio ponad połowę energii zdobywali oni z mięsa. Jedynie u kilku grup tropikalnych i subtropikalnych udział mięsa to około jedna trzecia uzyskanych kalorii. Nie jest to jednak takie mięso, jakie kupuje się zwykle w sklepie: kiełbasa, boczek czy kureczak. Są to ciała dzikich zwierząt. Mięso takie jest chudsze niż „sklepowe”. Jest w nim zdecydowanie więcej białka. Chcąc się odżywiać mięsem bardziej zbliżonym

²⁴Spis książek i artykułów tego autora znajduje się na stronie www.thepaleodiet.com

do dzikiego, najłatwiej jest... kupić sarnę w składzie dziczyzny. No ale to mięso jest drogie. Innym rozwiązaniem jest spożywanie takich produktów, jak pierś z kurczaka lub wątróbka, czy inne podroby, zawierających znikome ilości tłuszczu. Tu jednak możemy wpaść w pułapkę. Tłuszczu w nich jak na lekarstwo, ale są to zwykle produkty masowego chowu zwierząt karmionych antybiotykami i sztucznymi mieszankami. Podobnie jest z rybami, jak: panga, pstrąg, karp, tilapia, hodowanymi w stłoczeniu, karmionymi specjalnymi paszami. Ale i ryby pełnomorskie nie są wolne od zanieczyszczeń, wszak oceany stają się coraz większym śmietnikiem. Niebezpieczne jest także ciągłe jedzenie wątroby. W tym organie może gromadzić się szczególnie dużo trucizn środowiskowych, najwięcej, gdy jemy zwierzęta żyjące długo - więc nie młode kurczaki, ale na przykład produkty końskie (wszak zabija się głównie stare konie).

Nie cieszcie się jednak, że pomoże Wam kurczak ekologiczny albo, jak się mówi w innych krajach, produkty *organic* czy *bio*! Nawet ekologiczne kurczaki są zwykle przynajmniej w zimie karmione głównie zbożem. A w zbożu nad korzystnymi dla nas tłuszczami omega-3 przeważają tłuszcze omega-6, sprzyjające chorobom układu krążenia. Mięso zwierząt karmionych zbożem i ich jajami, nawet jeśli zwierzątka żyły na świeżym powietrzu, biegały i były szczęśliwe, nie jest dzikie. Dzikie kurczaki to kurczaki, którego możemy spotkać w dżungli Indochin - skacze sobie po drzewach i zajada się dżdżownicami. Jeśli chcesz sam mieć takiego ptaka, zamieszkać na skraju lasu, zrób w nim wielką wolierę i wpuść wiosną kurczętą. Jesienią będziesz mieć super-mięso na kilka garnków rosółu. Szkoda tylko, że wszędzie teraz czyhają lisy i we wsi, w której mieszkam, dziki chów „przyleśnych” kur zamiera... Widać to po smaku jajek.

No, dziki drób można też znaleźć na poboczu drogi, w formie nieżywego bażanta. W Anglii, gdzie bażantów jest więcej, wiele osób zaczęło zbierać zabite ptaki, u nas trudniej

na tym polegać, taki rarytas trafił mi się tylko dwa razy. Oczywiście bażanty żrą też zboże, które kradną rolnikom, czego dowodem było to, co znalazłem w wolu takiego zabitego bażanta, jednak znaczną część ich diety stanowią bezkręgowce i dzikie rośliny. W rosole z bażanta, po dwu godzinach gotowania, pojawiło się jedno oko tłuszczu - i to jest dziki ptak!

Pierwszego „drogowego” bażanta jadłem w Anglii. W domu w Norwich, w którym mieszkaliśmy, było okropnie zimno i dogrzewaliśmy się kominkiem. Pozyskiwałem do niego drewno w postaci chrustu z miejskiego parku i z Thetford Forest. Po drodze do Thetford Forest znalazłem właśnie owego bażanta. Zabrała go jednak znajoma, sam za dużo naczytałem się o botulizmie, efektach zatrucia jadem kiełbasianym. Bakterie jadu kiełbasianego pojawiają się czasem w starym mięsie i starych przetworach warzywnych, powodując dosyć nieprzyjemną śmierć. Oczekałem trzy dni, nasza znajoma dalej żyła. Bażant był duży, stwierdziła, że jej się znudził i dała mi resztki swojego gulaszu. Po tym jak dowiedziałem się, że dziczyzna jest tak twarda, że bażanty powinno się trzymać dwa tygodnie w piwnicy, żeby skruszały, chętniej sięgam po *road-kill*, drogowe rarytasy.

Kuszącym pokarmem są też rozjechane przez auta jeże. Pyszne brązowe mięso (stąd angielska nazwa *hedgehog* - żywo-płotowy wieprz). Boję się jednak trochę wścieklizny. No cóż, nigdy nie wiadomo czy przydrożna ”jeżyzna” nie jest produktem wściekliznowego szału. Pierwszy raz takiego jeża opracowałem w grubych, gumowych rękawicach - co dało 30 dkg pysznego gulaszu. Za drugim razem smażyłem całego na rożnie, kolce śmierdziały, ale trochę mięsa było. A Cyganie robią jeże w glinie. Należy się jeszcze zastanowić, czy przydrożne jeże i bażanty nie mają za dużo ołowiu. Zawsze coś jest nie tak...

Pewnie najczystszy mięsem w Polsce są koniki polne. Jeśli łapiemy je w górach, daleko od drogi. Żywiły się dziką,

górką trawą, po upieczeniu pachną cudownie, jak szprotki. Są jednak czystsze od szrotek żyjących w brudnym morzu. Tylko tak trudno się je łapie. Nawet złapanie dwustu na godzinę nie pokryje naszych potrzeb energetycznych. O ile się nie pomyliłem w kalkulacjach, trzeba by na nie polować ponad 24 godziny dziennie. Chyba, że się udoskonali metody łowów. Koniki polne cieszyły się wielkim wzięciem u niektórych szczepów Indian zachodniej części USA. W stanie Utah wiatr znoślił je z rozległych prerii do słonych jezior, w których topiły się i można je było zbierać wiadrami.

Hadza

Hadza, plemię złożone z około tysiąca członków, żyjące na wzgórzach północnej Tanzanii. Wysocy, smukli, czarnoskórzy zbieracze-łowcy. Zauważeni przez białych dopiero na początku XX wieku. Do niedawna, do lat sześćdziesiątych, żyli wyłącznie z łowów i zbieractwa, teraz wspomagają się już poletkami kukurydzy i słodkich ziemniaków. Dalej jednak polują, jeśli mają na co, bo konkurencję robią im komercyjni kłusownicy, którzy wybili już nosorożce i większość słoni.

Hadza żyją w kraju, który odpowiada stereotypowym wyobrażeniom o początkach ludzkości. Sucha afrykańska sawanna, wzgórza pełne zwierzyny. Pod strzałami z ich łuków giną impala, zebry, bawoły, eland i zebu. Nie ograniczają się jednak tylko do zabijania. Chętnie zjadają padlinę, zabierają ją na przykład lwom. Hadza nie używają strzelb ani pułapek. Są jednak wytrawnymi „chodziarzami”. Potrafią zamęczyć zwierzęta kopytne ciągłym pościgiem. Antylopy są bardzo szybkie na krótkie dystanse. Nie mogą jednak wytrzymać przegrzania spowodowanego ciągłym tropieniem. W tym czasie kobiety zbierają pędy podziemne roślin i owoce, szczególnie

owoce baobabów. Jeśli się spojrzy na ich ulubione pokarmy, Hadza są koneserami mięsa ssaków. W przeciwieństwie do wielu innych ludów Afryki praktycznie nie jedzą owadów, gadów, ryb i mięczaków słodkowodnych.

Hadza obecnie żyją częściowo w stałych osadach, przymuszani przez władze, częściowo wciąż wędrują. W latach sześćdziesiątych wszyscy wędrowali, w małych kilkunastoosobowych grupach. Przenosili obóz co dwa lub trzy tygodnie. Hadza odznaczają się szczególną pogardą do akumulacji dóbr, dzielą się jedzeniem i przedmiotami. Uprawiają też hazard, grę *lukucuko*, w której stawką są strzały, noże czy fajki. Hazard wydaje się towarzyszyć człowiekowi od jego zarania, a różne gry, których stawką jest broń, symboliczne przedmioty czy pożywienie można odnaleźć w wielu prymitywnych kulturach. U Indian Thompson, żyjących w górach północno-zachodniej Ameryki Północnej, kobiety uprawiały hazard, używając wykopanych przez siebie jadalnych bulw psizębu (*Erythronium*). Rezultatem tego było to, że jedne kobiety wracały podwójnie objuczone pożywieniem, inne z niczym.

Hadza to społeczeństwo ultraegalitarne, o wyrównanej pozycji poszczególnych jednostek, niezależnie od wieku i płci. Pewien komunistyczny ideał. Hadza dzielą jedynie obrzędy, jak u wielu innych ludów, mężczyźni i kobiety mają swoje odrębne, sekretne rytuały, na przykład obrzezanie kobiet. Ceremonią łączącą obie płcie jest natomiast taniec *epeme*, odprawiany w ciemności. Antropologów fascynują jednak głównie przez swoją wierność łowiectwu w środowisku tak bliskim początkom człowieka, no i przez swoje padlinożerstwo.

Nagość

Nagość to jedna z rzeczy, które, jak wynika z rozmów prowadzonych z różnymi ludźmi, najbardziej kojarzą się z dzikością. Ów motyw wstydu i okrycia nagości pojawia się też w Księdze Rodzaju. Czy rzeczywiście nagość jest taka ważna? Co w tym tkwi?

Człowiek powstał nagi i w pierw jego ewolucja to była ewolucją nagiego człowieka. Wciąż w niektórych cieplejszych obrzeżach świata istnieją kultury „bardziej” nagie od europejskiej, gdzie ludzie nie wstydzą się obnażać swoich piersi i genitaliów.

Nagość jest tematem ekscytującym dla Europejczyka, bo zawsze dla tych bardziej ubranych, to co ubrane mniej jest na początku bardziej podniecające. Jak dla gości z bardziej konserwatywnych krajów muzułmańskich widok włosów, kolan, ud czy ramion Europejki. Przypomina mi się też podniecenie, jakie czuję na widok kobiecych nóg, widocznych na ulicach miast w pierwsze ciepłe, wiosenne dni, przez zimę zakrytych.

Odkrywanie prawie wszystkiego nie jest zupełną nagością. W niektórych kulturach dopiero pozbawienie człowieka biodrowej przepaski albo jakiejś ozdoby głowy czyni człowieka nagim.

Pierwszy argument, który przeciw nagości jej wrogowie zwykle przytaczają, to jest istnienie pewnego naturalnego wstydu, który możemy jednak obalić, patrząc na zachowanie się ludzi w kulturach „nagich”.

Drugi argument jest typu „ochrona prywatności”, trochę jak ochrona danych osobowych. „Dlaczego ktoś ma patrzeć na mojego małego/dużego penisa?” - powiadają niektó-

rzy. I znów sprawa względna. Zwolennik islamskich zasłon dla kobiet może powiedzieć: „Dlaczego ktoś ma patrzeć na twarz mojej żony?”! Może gdzieś jest złoty środek? Może w nim teraz się znajduje nasza cywilizacja, z pewną częściową tolerancją, a pewnie i nie. Złoty środek jest jednak bardziej pośrodku niż na samym skraju, a na pewno nie na skraju saudyjskim.

Prawdziwe powody zakrywania ciała są jednak dużo bardziej konkretne. Ludzie w krajach zimnych, jak tylko nauczyli się ściągać ze zwierząt skóry i je przerabiać na odzienie, zaczęli odzienia używać. Podbój Syberii nie jest możliwy nago. Kultury dalekiej Północy oraz wszelkich krajów, gdzie jest mroźna zima, a więc na przykład przynajmniej dwóch trzecich Europy, od zarania swych dziejów utraciły kontakt z totalną nagością, za wyjątkiem Finów, Estończyków i Rosjan kulturowych saunę. Jako że człowiek w zimnej Europie jest już kilkadziesiąt tysięcy lat, a chleb je dopiero od nieco ponad dziesięciu tysięcy, kozuch wydaje się być bardziej zrosnięty z naszą mentalnością niż rolnictwo. Człowiek nagi na mrozie naraża się na śmierć. Człowiek nagi w temperaturze dodatniej, ale niskiej, na przykład 5 czy 12 °C naraża się, nawet jeśli się do tej temperatury zahartuje, na dodatkowy, wysoki wydatek energii z pokarmu. A więc musi dużo jeść, więcej niż ci ubrani.

A co z okazjonalną nagością, od czasu do czasu? No cóż, jak się chodzi ubranym cały czas, ta wpierw naturalna nagość staje się bardziej podniecająca, staje się momentem szczególnym i obwarowanym pewnym tabu. Istnieją jednak duże kulturowe różnice w podejściu do nagości okazjonalnej w krajach zimnych. We wspomnianych wcześniej Finlandii i Estonii, w krajach gdzie popularna jest łaźnia parowa, a ludzie umilają sobie zimę grzejąc się w niej, i rozgrzawszy się, baraszkują od tysiącleci nago po śniegu, nagość nie jest szokująca, jest jedynie pewnym stanem okresowym, czasem zabawy i higieny. Tymczasem zimne kraje, takie jak Polska czy Anglia,

które sauny nie znają, w swojej kulturze sprezentowały swoim mieszkańcom całe pokłady zahamowań, przełamywane dopiero współcześnie.

Okrycie to też pewien sposób zabezpieczenia przed seksualną agresją. Każda warstwa odzieży to i u napastnika, i u ofiary dodatkowe sekundy dla osoby napastowanej.

Jest jeszcze jeden rzadko przytaczany argument za ubieraniem się. Pasożyty. Siadając nago, łatwiej jest przenosić jaja robaków na niedomytym tyłku niż siedząc w ubraniu.

Ludzie próbują zmienić zakres tabu nagości. Sam jestem wielkim jego wrogiem. Bo oprócz praktycznych niedogodności w klimacie zimnym, w klimacie ciepłym nagość ma sens. Ciało dobrze oddycha, łatwiej utrzymać je w czystości. A zresztą wielu ludzi ma nieodpartą potrzebę oglądania nagich ciał. I to wcale nie wiąże się tylko z seksualnymi fascynacjami. To potrzeba oglądania ludzi w pewnej całości, a nie poszatkowanych przez odzież. Coś naprawdę odświeżającego. To tak jakby powiedzieć, że nie wolno patrzeć na kwiaty. Niby wielkich praktycznych problemów to nie rodzi, ale szkoda by było...

Oczywiście biali potrzebują ubrania w tropikach, żeby nie spiekli się na raka. Ciągłe wystawianie się na słońce zwiększa zapadalność na nowotwory skóry, i to poważnie.

Indywidualna próba przesuwania tabu nagości w wielu krajach może skończyć się grzywną, karą więzienia albo agresją ze strony innych ludzi. Ale nie zawsze.

Kilka lat temu mój kolega przyszedł do mojej siostry pytając, czy może sfilmować jego chrzest na bieszczadzkiego pustelnika. Ona, czując, że święci się jakaś rozróżba, wzięła mnie ze sobą. Wszystko miało odbyć się na krośnieńskim rynku. Luty, temperatura około zera. Kolega przyszedł dosyć obnażony. Jedyne jego biodra okrywał wieniec z jedliny. W rękach trzymał brzozywy kij, a zamiast ubrania, jak nam wyznał, wysmarował się baraním gównem. Miał nadzieję sprowoko-

wać filistrów, wszcząć akcję straży miejskiej przeciw niemu. Tańczył, kładł się na ziemi. Ludzie nie zwracali na niego uwagi, straż też. Jedna mała dziewczynka zapytała mamę:

- Dlaczego ten pan jest tak dziwnie ubrany?

- Jaki pan? - zapytała mama - nie widzę żadnego pana.

Kolega bardzo zmarzył i pomimo swej fascynacją naturalnością, nagością i wielkiej chęci poruszenia tłumów, musiał przyjąć ich ubraną opcję.

Przypuszczam, że na plażach nudystów, tych gdzie wszyscy muszą być rozebrani wielu dylematów behawioralnych nie ma. Problemem dla niektórych panów może być niepożądana erekcja. No, ale to tylko komplement dla pań, poza tym potem zdarza się to rzadko.

Problemy behawioralne, że tak powiem *savoir-vivre'u*, pojawiają się w sytuacjach mieszanych. Weźmy na przykład zjazd R, o których piszę w innej części książki. Te zjazdy organizowane są pod szczytnymi hasłami miłości i wolności. A więc mało na nich agresji, a wolność panuje w ubiorze, co objawia się dużą ilością nagich ciał. A więc nagich ludzi widuje się i krzających się po obozie, i jedzących nago w kręgu, i służących jako roznosiciele jedzenia. Osobną sceną jest grupa nagich ludzi czekających na prysznic. Kolejka do węża, w którym wodę poprowadzono z położonego wyżej źródła. Widać wielką gradację w postawach różnych ludzi i nacji. A więc są ci, którzy idą myć się osobno, sami, do jakiegoś pobocznego potoczku, zawsze ubrani. Ci, co rozbiegają się tylko w tym wielkim publicznym prysznicu, ale nigdzie indziej. Ci, co chodzą nago po obozie, ale ubierają się do kręgu z jedzeniem (to była opcja, którą nie wiem dlaczego ja wybrałem, pewnie w poszukiwaniu „złotego środka”). Są wreszcie tacy, którzy przychodzą nago jeść, ale do serwowania jedzenia ubierają się. No i ci zawsze nadzy. Wśród bardziej nagich nadreprezentowani są Niemcy, wśród zawsze ubranych - Polki i Angielki. Zresztą to tylko nieistotna statystycznie obserwacja...

Ciekawe, że wśród chodzących nago dominują na R mężczyźni o długich członkach i kobiety o płaskich piersiach. Tych o małych członkach jest wyjątkowo mało, pewnie się wstydzą? A dlaczego brakuje kobiet o dużych piersiach? Może bardziej czują spojrzenia? Może to niewygodne i męczące? A może te o płaskich piersiach chcą się swoją nagością dowartościować? Kobiety o bardziej męskiej urodzie, o drobnych piersiach mają też pewnie więcej testosteronu, który pozwala na determinację w przybyciu do trudno dostępnych górskich miejsc, gdzie złoty się odbywają. Więc może wielkopiersne kobiety w ogóle na R nie przybywają ;)? Ja widziałem tylko jedną. Zresztą w nagości te różnice - duże piersi, małe piersi itp. - się niwelują. Zdrowe i młode ciała są po prostu piękne. Ludzie, wszyscy jesteście piękni!

Naturalna rodzina

Jak wygląda pierwotna, zgodna z naturą rodzina? Goryle mają haremy, w których silny samiec pilnuje swoich samic. Orangutany żyją parami. Szympansy uprawiają seks każdy z każdym, bez względu na płęć. A ludzie? Jesteśmy genetycznie bliżsi szympansom, więc można by się spodziewać podobnego seksualnego chaosu. Coś zresztą takiego sugerowało wielu pierwszych teoretyków historii rodziny i małżeństwa, na przykład amerykański antropolog Lewis Henry Morgan.

Tymczasem antropologów badających zbieraczy-łowców zastaje zwykle „zwyczajność” relacji męsko-damskich i powszechność monogamii (modelu jedna żona - jeden mąż). Różnica między monogamią plemion pierwotnych a współczesnym społeczeństwem zachodnim jest jednak taka, że u nas poligamia jest nielegalna, a u zdecydowanej większości pierwotnych plemion jest powszechna, tyle że większość mężczyzn

ma jedną żonę. Więc model pierwotny to raczej model muzułmański: islam przyzwala na posiadanie czterech żon, ale doświadczają tego nieliczni. No bo kobiet i mężczyzn jest zwykle prawie po równo. Częstość poligamii wzrosła w społecznościach rolników. Pewni mężczyźni po prostu stawali się bogatsi od innych, mieli więcej ziemi, a potomstwo kolejnych żon mogło ją uprawiać. Społeczności zbieraczy-łowców są bardziej egalitarne, stąd większy udział monogamii.

Trzeba jednak przyznać, że większość zbieraczy-łowców swoje obyczaje zamążpójścia ma uboższe niż rolnicy. Jakieś prezenty, przeniesienie rzeczy czy okresowa służba u teściów. A i rozwody są częste. Mistrzami są tu Indianie Aché, gdzie jedna kobieta ma w swoim życiu kolejno po kilkunastu małżonków.

Czy nie przypomina to czasów współczesnych? Seryjnej monogamii? Może wbrew biadolaniu starszych pokoleń tak ma być? Różnica oczywiście jest taka, że przy obecnych rozwodach rodzice czasem wyjeżdżają do odległych miast lub krajów, w plemionach pierwotnych dzieci pozostawały w rodzinie rozszerzonej, a rozwiedzeni rodzice żyli w tej samej lub skoliigaconej grupie.

Rowerzysta

Nazywają go rowerzysta. Mieszka w niewielkim mieście na południu Polski. Na prywatnej działce zbudował drewniane tipi i szopę z desek, jak na narzędzia na działce. Nie ma ogrzewania. Od wielu lat mieszka w nieogrzewanej budzie, chudy jak szczapa, zdrow jak ryba. Jak mi kiedyś powiedział, chleb i margaryna to jego główne pożywienie. No i pije herbatę, ziołową, zależnie od sezonu inną, nawet z kory wierzby jak jest chory. No więc potrzeba mu jeszcze kasy na gaz do butli

- na herbatę i na części do roweru, którym zjeździł pół Eurazji. Jeśli ludzie pierwotni byli bardzo minimalistyczni, to rowerzysta ma z nimi wiele wspólnego. Jeśli na jednego Buszmena przypada już dwóch antropologów, to i on powinien dostać jakąś parę do opieki.

Aché

Kochamy ruch, w jednym miejscu śpimy tylko raz, ale gdy pada, możemy spać tam kilka razy zanim wyruszymy dalej. Kiedy przestaje padać, naszymi nienapiętymi łukami uderzamy w gąszcz, aby strząsnąć krople deszczu i przestraszyć jaguary. I znów jesteście na szlaku.

Bepurangi, Indianin Aché, 1978²⁵

Indianie Aché, zwani też Guayaki, to jedni z ostatnich zbieraczy-łowców Ameryki Południowej. Zamieszkują lasy wschodniego Paragwaju. Ci skryci, leśni ludzie mieli dawniej opinię kaniwali²⁶. O plemieniu tym mówiło się mało aż do połowy XX wieku, kiedy stali się jednym z czołowych obiektów dokładnych badań antropologicznych nad zbieraczami-łowcami.

Większość terytorium, na którym żyją, to subtropikalny las z temperaturami w lecie około 35° C, a w najzimniejszym miesiącu około 10° C. Kilka razy w roku notuje się nawet mrozy.

Guayakowie żyją w małych grupach, w jednej jest zwykle 7-9 mężczyzn. Żywili się do niedawna głównie mięsem ssa-

²⁵Hill K & Hurtado AM 1999. The Aché of Paraguay. [w:] RB Lee, R Daly (red.), *The Cambridge Encyclopaedia of Hunters and Gatherers*. Cambridge University Press, Cambridge. Tłum. z ang. Ł.Ł.

²⁶Informacje o plemieniu za: Hill K & Hurtado AM 1999. The Aché of Paraguay. op. cit.

ków. Mięso stanowi u nich 78% energii w diecie, głównie jest to mięso pancerników, małą kapucynek, pekari, paca, coati i jeleni. Następnym produktem jest miód - 8%. Te dwa pokarmy zdobywane są wyłącznie przez mężczyzn, natomiast głównie kobiety zajmują się pozyskiwaniem takich produktów, jak rdzeń palm, skrobia palmowa, larwy chrząszczy z rdzeni palm i owoce. To zadziwiające, jak mało w diecie tych ludzi stanowią owoce, tym bardziej, że lasy te obfitują w nie, powszechnie rosną tam nawet zdziczałe pomarańcze!

Jako że tak świetnie skwantyfikowano ten lud, podam jeszcze więcej liczb z ich życia. Mężczyźni spędzają na pracy (głównie polowaniu) około siedem godzin dziennie. Kobiety zbierają pożywienie jedynie przez około dwie godziny dziennie, ale poświęcają jeszcze dwie godziny na przeniesienie obozu, a resztę czasu na opiekę nad dziećmi. Aché przenoszą obóz każdego dnia, chyba że bardzo pada. Według opowieści starszych dawniej częściej pozostawali na kilka dni w tym samym miejscu.

Ta wędrowność i ciągła zmiana przekładają się też na... życie osobiste. Małżeństwa są niezbyt trwałe. Jeszcze do niedawna przeciętna kobieta miała dwunastu mężów w swoim życiu! Według antropologów, którzy badali to plemię, prawie żadne małżeństwo nie trwało całego życia małżonków, a przeciętna kobieta rodzi dzieci dla dwóch do pięciu mężów.

W ostatnich latach życie Aché ulega silnym przemianom: ich język zanika na korzyść Guaraní, powszechnego w użyciu języka Paragwaju. Jak podają Hill i Hurtado, starsi plemienni zdecydowali zachować jedynie część zwyczajów: jak rodzaj ojca chrzestnego, dominacja mięsa i miodu w odżywianiu, silna identyfikacja ze spożywaniem larw owadów (dla odróżnienia od „bardziej cywilizowanych” szczepów) i wysokie kulturowe znaczenie dzielenia się pożywieniem. W rezerwach Aché działają też misjonarze katoliccy i protestanccy, co oczywiście jeszcze bardziej przyspieszy zagładę ich kultury.

Burning Man

Na Burning Man nie byłem, jeszcze nie byłem. To wielki festiwal organizowany na odległej pustyni na zachodzie USA. Pojawiają się tam tysiące ludzi, szczególnie artystów, aby na koniec festiwalu spalić swoje dzieła oraz wielką figurę człowieka, stąd „płonący człowiek” czyli Burning Man.

Festiwal jest w miejscu jakby sterylnym. Niegościnnym, bo jest gorąco i nie ma wody, i gościnnym, bo zwykle świeci słońce. Suche gorąco umożliwia zaś luz jeśli chodzi o ubranie lub jego brak, nie trzeba parasoli, a wodę można przywieźć ze sobą. Podobny festiwal na wschodzie Stanów nie jest już takim sukcesem, bo... zbyt często leje deszcz.

Burning Man jest imprezą komercyjną i bardziej nadzorowaną niż R. Jednak i tu i tam zachwyca zdolność ludzi do samoorganizacji. Obie te imprezy są przykładem twórczego chaosu.

Burning Man to psychodelia wcielona w życie. To prawie że ruch społeczny, internetowo-artystyczno-newageowo-trybalistyczny. Tworzone tam konstrukcje przewyższają najśmielsze obrazy po LSD, a sposób, w jaki niektórzy ludzie malują swoje ciała, jest chyba szczytem osiągnięć body-artu w świecie. Na ileż różnych sposobów można pomalować penisa! Albo go wręcz skryć, jeśli jest mały i łatwo się gubi w łące namalowanej na udach. Na ileż sposobów można zawiesić na ciele kawałki tkanin, koraliki i paski, oczywiście w sposób mało praktyczny w codziennym życiu. I na ileż sposobów można zamienić kobiece piersi w spirale, koncentryczne kręgi, motyle, kwiaty, mandale i ukwiały.

Życie współczesnego człowieka, zawiniętego w ubranie, pędzącego gdzieś przed siebie, tworzy w nim tęsknotę za

pierwotnymi obrzędami modyfikacji i malowania ciała. Potrzeba ta wydaje się dosyć powszechna. Jest częściowo zaspokajana przez makijaż kobiet, u mężczyzn wyłazi rzadziej, na przykład podczas meczów piłkarskich, kiedy kibice przyozdabiają twarze narodowymi flagami.

Na moim leśnych warsztatach często malujemy ciało, drastyczna zmiana wyglądu rodzi naturalne gurdziejewskie ćwiczenie „stop”. Kiedy nagle przez niezwykłość naszego położenia jesteśmy bardziej świadomi, tu i teraz.

Wzory malowania ciała są różne. W sumie malowanie ciała przypomina w swojej funkcji i różnorodności modę odzieżową. We wzorach, które widziałem, szczególnie fascynują mnie te, które biegną od pachwin, bokiem ciała wzdłuż tułowia, pośladków i nóg, aż do stóp. Ubiór, ze swoimi spódnicami, paskami, T-shirtami i spodniami, bardzo podkreśla podział ciała na część górną, część środkową - tabu i część dolną - nogi. Tymczasem mnie w ciele fascynuje jedność jego funkcji, a podkreśla to właśnie taki podłużny wzór, na przykład grupa linii lub rząd kropek. Wyglądamy wtedy bardziej jak wodne zwierzęta, ryby, jaszczury, traszki. Inny wzór, który robi na mnie wrażenie i który sam stosuję, to jasna, biała albo żółta linia wzdłuż linii nosa.

Lila

Lila ma lniane włosy i długi warkocz. Uciekła z miasta na peryferie Polski. Na swej górcie pod lasem zbudowała, sama, małą chatkę. Nie taką z prospektów biur projektowych, nie taką z bali jak w przeciętnym skansenie, ani nie taką z pierników, na kurzej stopce jak Baba Jaga. Chata Lili powstała tak. Wpierw związała żerdzie i ustawiła je jakby na tipi. Wierzchołek, około połowy tej kopuły, pokryła trzcina ściętą w przy-

drożnym rowie. Jak już powstał ten dach, to pod nim, na planie okręgu zrobiła ściany. Powbijała pionowe koły, oplotła je wikliną i oblepiła gliną. Musiały być dosyć grube, prawie pół metra szerokie. Wygląda to więc tak, jakby mała bajkowa chatka pod strzechą była wpisana w tipi, bo ich dolne końcówki wystają poza chatkę. Zwykle się tego jednak nie zauważa, widzi się chatkę, z jej ręcznie wymodelowanymi ścianami i okienkiem w kształcie serca. Przez małe drzwiczki, owalne u góry, wchodzi się schylając. W środku klepisko z płaskich kamieni, po brzegach z gliny. Palenisko. Kosze pełne zapasów ziaren i fasolek. Tak mieszka słowiańska czarownica.

Po co uciekła od świata, na jego skraj? Po co dziewczyna z miasta na kilka lat zamieszkała w lesie? Nie wiem. Pewnie potrzebowała, pewnie przynajmniej na jakiś czas jest do tego stworzona. Zachwyciło mnie to, co robi. Zawsze zachwyca mnie, kiedy ludzie nie gadają, nie opowiadają, nie obiecują, nie snują wielkich planów, tylko idą do przodu.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę chatę, pomyślałem: „Dziewczyna żyje w dziczy, w szalasie, ale soczewicę kupuje w sklepie”. Dwa lata później miała mężczyznę, szopę z kozami i wielki, wielki ogród, który uprawiała. Z cywilizacji została tylko komórka. Ładowała ją co kilka dni w pobliskim miasteczku. Wcześniej przez kilka lat czmychała jednak na zimę. Pojawiała się z pierwszymi kwiatami i uciekała z pierwszymi mrozami. Wędrowność leśno-blokowa. Całkiem niezły wynalazek.

Kiedyś w końcu spędzili zimę w chacie. Jak mi opowiadała, pod grubymi pierzynami. Ciepło uciekało gdzieś pod trzcinową strzechą, zimno waliło od gliny. Wstawili piecyk z rurą, zamiast ogniska. Cywilizacja wkracza drobnymi krokami, wlewa się jak woda najdrobniejszą szczeliną. „Jak to się stało, że w izbie tak sucho?” - pytam. A ona: „Wpierw była wilgoć, ale miałam już jej dosyć i wkopałam pod ściany papę”.

Ziemia Ognista

Ziemia Ognista, Tierra del Fuego, południowy koniuszek Ameryki Południowej, smagany wiatrami, chłodny, wilgotny, oceaniczny fragment tego kontynentu. Miejsce to jeszcze w XIX w. zamieszkiwało jedno z najbardziej prymitywnych plemion na Ziemi, a nazwa Ziemia Ognista pochodzi od ognisk, które palili jej mieszkańcy, aby się ogrzać. Mowa tu o plemieniu Yamana.

Lud ten został uwieczniony w dziennikach Karola Darwina. Szczególnie znana jest jego relacja o nagiej kobiecie karmiącej dzieci, kiedy na jej ramiona padał śnieg. Temperatura wynosi tutaj zwykle kilka stopni Celsjusza, choć przymrozki i śnieg mogą pojawić się przez cały rok. Skaliste fiordy porośnięte są przez lasy buka południowego (*Nothofagus spp.*). Jednak to nie las dostarczał większości pożywienia, a morze. Przed przybyciem białych, którzy na dodatek dziesiątkowali zasoby, mieszkało tu kilka tysięcy Indian z tego plemienia. Na swoich czółnach polowali na bardzo zróżnicowaną morską faunę: walenie, foki, morskie wydry, ryby, kormorany i inne ptaki morskie. Zbierali też żyjące na skałach morskie małże. Jednak głównym pożywieniem były foki.

Yamana przenosili się prawie każdego dnia. Czasem spędzali całe dnie na łodziach. Kobiety brały bardzo aktywny udział w zdobywaniu pokarmu zwierzęcego: łapały ryby, małże, a nawet ptaki na pokarm. Kobiety były też często, na równi z mężczyznami, szamanami. Brak było wyraźniejszej struktury wodzowskiej. Rodziny wędrowały osobno albo w małych grupkach. Schrony były proste, tymczasowe. Po tym samym terytorium wędrowało więcej grup, tak że dogodnie obozowiska, na przykład szkielety szalaśców, były powtórnie wykorzystywane przez następną przybyłą gromadę.

Z powodu ciągłego poszukiwania pożywienia, ciągłej wędrówki, do większych ludzkich zgromadzeń dochodziło rzadko, na przykład z okazji wyrzucenia na brzeg jakiegoś wielkiego walenia.

Pierwsza połowa dwudziestego wieku przyniosła jednak wielkie zmiany w życiu Yamana. Z powodu napływu ludności białej, stali się robotnikami rolnymi, ulegli przemieszaniu poprzez małżeństwa, stopniowo zanikł ich język. Dziś po tej kulturze pozostali jedynie pojedynczy ludzie, znający język Yamana, i opisy podróżników.

Kociarz

Kiedy pójdę do nieba albo piekła, na pewno się z nim spotkam. Straszono mnie już nim, kiedy miałem trzy lata. Trzęsący się menel z siwą brodą, prowadzący stary rower. Mówili mi, że zjada dzieci, tylko niegrzeczne oczywiście, skrzynka na bagażniku pomieściłaby pewnie trzylatka. Czasem stał pod kościołem i żebrał.

Tak naprawdę nie jadł dzieci, ale koty. Bliski mi jest przez swoje kulinarne upodobania, dopiero teraz. Podmiejski, samowystarczalny łowca. Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie.

Kanibalizm i łożysko

Zawsze fascynowali mnie kanibale. Dlatego zjadałem łożysko po porodzie każdej z moich córek. Właściwie nie kanibalizm, ale niewinna forma popróbowania smaku ludzkiej tkanki. Kanibalizm nie jest do niczego chyba potrzebny, o ile

nie jest się bardzo głodnym albo nie występuje taka magiczna potrzeba. Jednak jest dziki, dziki, dziki, więc pasuje do tej książki.

A to właściwie wszystko przez Sarę. Obie córki przyszły na świat w Anglii. Kiedy urodziła się pierwsza, Nasim, Sarah powiedziała: „Wiesz, w Anglii je się łożyska, w każdym razie wielu ludzi z kręgów alternatywnych je zjada”. I rzeczywiście, pielęgniarka ze szpitala w Taunton, nawykła do glastonburiańskich hipisów, zapytała:

- Zapakować?

- Yes, please - odpowiedziałem.

Właściwie większość tych, którzy mówią *yes*, zakopuje łożysko pod drzewem. Jak pierwotne plemiona. Zakopywano je gdzieś. Wiele razy szukałem wzmianek o ich jedzeniu. I ciągle tylko, że zwierzęta jedzą, nawet roślinożerne, no i Chińczycy, i Wietnamczycy. I znalazłem kiedyś, że u nas w Galicji jedli, chłopci, właściwie starsze rodzeństwo dziecka, żeby nie było o nie zazdrosne. A teraz nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to czytałem... Może mi się śniło? Ale widzę to. Drewniana chata, sześćoro dzieci pożerających kawał mięcha, pierwszy raz w tym roku.

Łożysko ludzkie wygląda trochę jak wątroba. W smaku pomiędzy polędwicą i wątrobą. To po urodzeniu Nasim ważyło chyba osiemdziesiąt deko. Jedną trzecią zjadłem na surowo. Drugą porcję zjadłem jak tatar, z pieprzem, jajkiem, tylko nie miałem ogórków, bo to w Anglii było. Z trzeciej zrobiłem *tikka masala*, chciałem dać Sarze, przyniosłem do szpitala, ona nie chciała, zastępując się wegetarianizmem, to zjadłem.

Przy drugim dziecku już zjadła pół, parzyła z papryczkami chilli i imbirem, potem suszyła, jak Chińczycy.

Walden

Nad jeziorem Walden, w Nowej Anglii, w USA, koło miasta Concord, żył kiedyś człowiek, który nazywał się Henry David Thoreau. Jakiś student pożyczył mi jego najszlachetniejszą książkę "Walden, or Life in the Woods" i tak zaczęła się moja przygoda z nim. Studenci często przynoszą ze sobą ciekawe rzeczy. Im bardziej ich słuchasz - i im częściej masz okazję z nimi się napić, tym można się więcej od nich nauczyć - i jesteś lepszym nauczycielem.

Thoreau żył w czasach Mickiewicza. Był ekscentrykiem. Nie założył rodziny, nie jadł mięsa, nienawidził przemocy, był twórcą idei obywatelskiego nieposłuszeństwa, czyli *civil disobedience*. Kochał przyrodę. Poszukując powrotu do niej (już w XIX wieku) i niezależności, zbudował nad Walden małą chatkę, chyba coś jak 3 x 4 m. Ale sam. Książka jest opowieścią o tej budowie. Thoreau pisze o tym, że każdy student architektury na zaliczenie dyplomu powinien zbudować dom. Minęło półtora wieku i jego idea wciąż się nie spełniła. Thoreau uprawiał ziemię i jadł jej plony. W jego prozie jest tyle miłości. Do ludzi i świata. Jako jeden z niewielu kochał Indian i choć żył tak krótko, niech każdy, kto ucieka w dzicz, pomyśli o nim przez chwilę. Nawet pomimo faktu, że jak głosi wieś gminna, zajęty budową i pokarmową samowystarczalnością, znajdował się pod czułą opieką mamy, która mieszkała niedaleko i często przynosiła mu do domu prowiant, a może nawet robiła pranie.

Walden było inspiracją dla wielu działaczy społecznych, filozofów i myślicieli. Pomimo tego, że eksperyment Thoreau z budową domu nie był jakimś długofalowym sukcesem, na zawsze w pamięci pozostaną mi jego wnikliwe przemyślenia nad zachęceniem studentów do budowy własnych chatek zamiast płacenia czynszu.

Miejska menażeria

Kiedyś mieszkałem na dziesiątym piętrze warszawskiego bloku przy ulicy Smyczkowej. Pewnego dnia samopoczucie zepsuł mi straszny smród. Po chwili zidentyfikowałem jego źródło. Z wentylacji wyciągnąłem gołębia, który zaczął się rozkładać. Gołąb to symbol natury w wielkim mieście. Symbol dla mnie naturalnego dostosowania się do miasta. Gołąb był kiedyś ptakiem miejsc skalistych. A miasto... jak góry. Naturalne podejście do miasta. Miasto jest. Naturalnie jest, nieskończone nowe naturalne habitaty. Oczywiście gołąb też jest okazją dla miłośnika *survivalu miejskiego*. Mój znajomy Kacper (teraz antropolog), w Poznaniu, gdy był jeszcze studentem, polował na gołębie w okolicach rynku. Szczególnie pod koniec miesiąca, jak mu się skończyła kasa.

Oczywiście żarcia jest w mieście więcej, co udowodnili wyjeżdżający do pracy w Anglii Polacy wyzerający z miejskich sadzawek karpie i karasie. Oprócz gołębi są też wrony, gawrony czy kawki, pyszne w wieku młodocianym, stare, żyłaste i niedobre. Kiedyś te ptaki były u nas często wrzucane do gara.

Są jeszcze psy i koty. Pewien koleś, który uciekł z więzienia, opowiadał mi, że żywił się nimi. Wolał psy. Koty miały zbyt lejący tłuszcz jak na jego gust.

W miastach oczywiście pozostaje jeszcze szperanie po śmietnikach, szczególnie przy supermarketach i restauracjach. Odżywianie się w ten sposób to prawdziwy sport, wciąga to ludzi, nazywają to *dumpster diving*. Ten rodzaj zdobywania pożywienia to jeden z przejawów freeganizmu, czyli wolnoorganizmu - jedzenia wszystkiego, za co się nie płaci. A więc jedzenia ze śmietników, z pozostałości zbiorów, dzikich roślin i

zwierząt. Można jeszcze zbierać jedzenie zostawione na stolikach w dużych restauracjach. Na promie z Dover to Calais to była moja ulubiona zabawa - czyhanie na świeżo pozostawione obiady. Z reguły po kobietach. Faceci zwykle nie odpuszczają i zjadają wszystko. Niestety moja znajoma, która też uprawiała ten sport, złapała z tego powodu pokarmową żółtaczkę.

A myszy i szczury? No, można spróbować. Choć ośobiście za dużo naczytałem się o chorobach przenoszonych przez gryzonie. Arsenal hantawirusów i innych świństw, które rozprzestrzeniają, to chyba ewolucyjne przystosowanie do wszystkiego, co nie-myszowate.

Kiedyś jechałem do Krakowa autem, zapomniawszy dokumentów, kart i pieniędzy. Miałem tylko dwie swoje książki i ledwo tyle benzyny, żeby do Krakowa dotrzeć. Książki postanowiłem sprzedać i wrócić za te pieniądze. Kiedy przybyłem do Krakowa, poczułem się głodny. Ustawiłem się w kolejce po zupę dla bezdomnych. Trochę bez sensu, gdyż zaraz zobaczyłem drzewo - jarzab szwedzki, obwieszony owocami. Potem na Plantach były jeszcze inne jesienne jagódki. W południe znalazłem w kieszeni sześćdziesiąt groszy, kupiłem sobie bagietkę, a później sprzedałem książki i spokojnie wróciłem do domu.

Indianiści

Indianiści to miłośnicy Indian. Europejczycy bardziej Indiańscy od samych Indian. Czy pamiętasz, jak miałeś sześć lat i bawiłeś się w Indian, nosząc na głowie przepaskę, gdzie dokleiłeś trzy kurze pióra? Co składa się na ten wielki fenomen Indian Prerii? To, że tak wiele osób się nimi fascynuje? Wrażenie niezależności? Mocy? Heroizm ich walk? Europejczycy z Indianami Ameryki Północnej na pewno czują współ-

notę klimatyczną. To nie jacyś Pigmeje czy Buszmeni, którzy mogą baraszkować sobie nago, bo temperatura nie spada poniżej zera. Lakota, Czarne Stopy czy Crow to myśliwi smaganych wiatrem i mroźnych równin, polujący na zwierzęta podobne do europejskich.

Ich męskość na pewno pobudza wyobraźnię Europejczyków o patriarchalnej, indoeuropejskiej historii. Zdziwieni byłiby jednak, gdyby im powiedzieć, że wiele plemion indiańskich było matrylinearnych. Dziedziczyli w linii matki, a pozycja kobiet była silniejsza niż w dawnej Europie.

Tak idealizowani i wrzuceni do jednego wora Indianie Ameryki Północnej to dziesiątki szczepów i języków, ludzie różniący się od siebie tak, jak Polak od Albańczyka, Gruzina czy Baska. Jest więc w czym wybierać.

Indianie Lakota, jak i różne inne szczepy, tolerowali homoseksualizm. Osoby „odmiennej orientacji” były *berdache*. Mieli wybór, czy stać się wojownikami. Mogli pozostać w obozowisku jako żona innego wojownika. Mieli opinię osób dokładnych i perfekcyjnych. Rzeczy zrobione dobrze, chwalaono, mówiąc, że „pewnie zrobił je jakiś berdache”. Jak dalekie jest to od wciąż słyszanych wyzwisk od pedałów.

Indianie Prerii to także tradycja poszukiwania wizji. Szanujący się wojownik taką wyprawę powinien był odbyć. Nie zawsze mu się to udawało. Przed wyprawą oczyszczał się w indiańskiej łaźni. Wychodził na święte miejsce, jak na przykład wierzchołek góry. Czynił sobie łożo z gałęzi i kładł się na nim. Nie jadł i nie pił. Trzy, cztery dni, aż doprowadzał się na skraj śmierci. I wtedy przychodziły duchy i wizje. Czasem, aby duchy jeszcze bardziej przywabić, składał im ofiarę - odcinał palec. Jak przynętę dla ryby.

Wielką była wiara Indian w sny i wizje. Mocne wizje senne trzeba było odegrać, opowiedzieć, wcielić w życie. Świetnie ilustruje to książka „Black Elk speaks”.

Jeśli miałbym powiedzieć, czego najbardziej brakuje naszej współczesnej cywilizacji, czym najbardziej różnimy się od pierwotnych przodków, to chyba wybrałbym poszukiwanie wizji (jego brak). Stąd pustka, stąd instynktowne poszukiwanie narkotyków jako wulgarnego spełnienia pierwotnych wizyjnych obrzędów.

Kiedyś wybrałem się na zlot miłośników Indian. Nie miałem ze sobą tipi, tylko zwykły plastikowy namiot. Dlaczego o tym piszę? Bo pierwsze pytanie, jakie mi zadano, dotyczyło tego, jaki mam namiot. Ci z tipi obozowali w centrum, ci z namiotami ze sklepów na boku. Ci drudzy tworzyli jakby rezerwat podludzi, gapiów, osób nie-w-pełni-indiańskich. Bacznie byli obserwowani przez tzw. indiańską policję. Przy jednym z ognisk jakiś człowiek wyciągnął gitarę i cichutko zanucił piosenkę Boba Dylana. Po kilku minutach przybiegli owi policjanci i powiedzieli: „Proszę przestać! Tu się nie gra muzyki nie-indiańskiej!” Przy sąsiednim ognisku siedziała indianistka w ponczo. Grała jakieś takie peruwiańskie melodie na fujarce. Jej nie powstrzymali. Widocznie inkaskie klimaty mniej się kłóciły z imprezą niż Dylan.

Pod obóz zajechał volkswagen transporter. Wysunął się z niego koleś w pióropuszu. Zagadnąłem go o coś, czując, że mogę mieć do czynienia z jednym z weteranów. „Możesz mówić do mnie Siuks” - powiedział. Za nim z samochodu wynurzyła się kobieta w dżinsowej bluzie i spodniach, jego żona. I to był standard. Półnaczy faceci w przepaskach biodrowych z kawałkami skóry z przodu i z tyłu, i w pióropuszach albo z pojedynczymi orlimi piórami, rozstawiający tipi. I z nimi żony i dziewczyny, w sukienkach w kwiaty albo dżinsowych bluzach. Wlokące zakupy, butle z gazem i bębny.

Ten niewyobrażalny niedobór prawdziwych squaw, najlepiej z obnażonymi, zwisającymi do pasa piersiami, bardzo mnie irytował, tworzył pewien estetyczny dysonans. Rozumiem

jednak, że potrzeba bycia Indianinem przebrany to swego rodzaju kryptotranswestytyzm, w szerokim tego słowa znaczeniu. Transwestytyzm w znaczeniu nie takim, że mężczyzna chce być przebrany za kobietę, ale takim, że mężczyzna może być przebrany i pomalowany, dziwny, z pióropuszem, z koralikami. O ile kobiety już dawno wywalczyły sobie dużo praw do tego jak być ubrane, mężczyźni dopiero to robią.

Na zjeździe był nawet pewien Indianin. Pewnie jakiś honorowy gość z plemienia X. Podpatrzyłem go akurat, gdy zajechał na parking. Wysiadł z samochodu, spojrzął na obóz. I przysiadł. Cały trząsał się. Ze śmiechu. Po chwili pozostawania w tym przykurczu zorientował się, że go namierzili gospodarze. Wstał i przybrał kamienną twarz wodza. I jakby od niechcienia otrzepał z kurzu swój czteropak z piwem Lech.

Udawanie Indian może się wydawać sprawą dziecinną i naiwną. Jest jednak rzeczą poważną. Rodzi napięcia na linii Indianie i nie-Indianie. Czasem czyta się protesty indiańskich starszych i medicine-menów z powodu tego, że biali, którzy w pierw Indian wymordowali, wydziedziczyli i zniewolili, teraz kradną ich tradycję. Czyli Indianie zachowują się odwrotnie niż apostołowie Kościoła, którzy chcieliby, żeby nawet Arabowie, Chińczycy i Papuasi przyjęli Biblię, niszcząc przy okazji własną rdzenną kulturę. Indianie przypominają bardziej Żydów, traktujących swoją religię i kulturę jako sprawę wewnątrz-narodową. Oczywiście i wśród Indian są „odszczepieńcy”, którzy, ktoś może powiedzieć „nieopatrznie”, dzielą się swoimi zwyczajami.

Oczywiście biali od Indian przejmują zwykle zewnętrzne rzeczy, miłe, łatwe i przyjemne. Stroje, wzory, tipi. Niektórzy sięgają dalej. Po ceremonie, ale zwykle te przyjemne, jak indiańska sauna. Na poszukiwanie wizji, połączone z czterodniowym postem od jadła i wody, poprzedzone złożeniem (odcięciem) w ofierze swojego palca, wybierają się nieliczni.

Sam szałas potu - inaczej indiańska sauna, angielskie sweatlodge, lakockie *inipi* - jest świetnym przykładem międzykulturowych dysonansów i problemów. Szałas potu występuje lub występował jako element życia bodajże wszystkich szczepów Indian Ameryki Północnej. Poza swoim mechanicznym działaniem, jak sauna, czyli rozgrzane kamienie polewane wodą w niewielkiej przestrzeni, miał swoje głębokie aspekty religijne, magiczne, społeczne i zdrowotne. Tak jak szaman łączy w sobie cechy kapłana, medyka i uczonego, tak szałas potu łączy w sobie elementy sauny, łaźienki, kościoła i pubu. Wykorzystywany był bowiem do oczyszczenia w szerokim tego słowa znaczeniu: od relaksu po polowaniu, przez leczenie chorego, do oczyszczenia przed wyjściem na poszukiwanie wizji.

Ceremonie szałas potu były przez władze USA zwalczane, a do niedawna formalnie nielegalne. Zaprzestanie odbywania tych obrzędów wpływało niekorzystnie nie tylko na morale Indian w rezerwach, ale i na ich zdrowie i higienę.

Tymczasem w drugiej połowie XX w. ceremonie szałas potu stały się popularne w pewnych kręgach białych, wpięty między członkami ruchów hipisowskich i post-hipisowskich, a potem w szeroko rozumianym New Age.

Jedni odprawiali szałas potu w sposób ortodoksyjny, zgodny z przekazanymi zwyczajami danego plemienia, trzymając się tego wiernie, aby uszanować dawne tradycje, a może z obawy przed duchami. Inni przejęli jedynie zewnętrzną formę, czyli saunę w małym wigwamie, przykrytym na przykład kocami, do wnętrza którego wnosi się rozżarzone kamienie umieszczane w dołku na środku. I jedni i drudzy narażali się na krytykę. Pierwsi oskarżani byli przez wielu Indian o kradzież ich obyczajów, drudzy o powierzchowne, sportowe traktowanie ceremonii.

Sam odprawiam szałas potu na poły sportowo, na poły tradycyjnie. I uważam, że mam do tego prawo. Po pierwsze

dlatego, że Indianie przejęli od nas też wiele rzeczy. Jak globalizacja, to globalizacja. Czytałem kiedyś książkę Raymonda Bucko zatytułowaną *The Lakota Ritual of the Sweat Lodge*, katolickiego kapelana Lakotów, który opisywał swój udział w szalasach potu u Lakotów. Sami Indianie też zresztą zmodyfikowali swoje podejście do swojej łaźni. Podobno z braku drewna rozgrzewają kamienie... przez palenie opon. Po drugie, nawet jeśli pewni członkowie różnych szczepów są przeciwni przenoszeniu tych rytuałów, traktuję tę wiedzę jako wykradzoną. Prawdziwa tajemnica pozostaje tajemnicą. Skoro ktoś, gdzieś, kiedyś się tego nauczył i wyniósł, to odpowiada za to konkretna osoba. Po trzecie, wyznaję doktrynę „owocu”, czyli, jak to powiedział sam Jezus (Mt, 7, 16-20):

Poznacie ich po ich owocach. Czy zbiera się winogrona z ciernia albo z ostu figi?

Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje złe owoce.

Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców.

Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone.

Jeśli widzę, czuję, że coś przynosi dobre owoce albo przynajmniej nie przynosi złych, to mogę to robić. Inną wersją tej doktryny jest podejście Indian do snów: sny należy traktować poważnie. Jeśli komuś się coś wyśniło, to powinien to odegrać na jawie, a jawa weryfikuje moc snu. Przypomniał mi się tu bohater książki Nabokova *Two leggings: the making of a crow warrior*, któremu przyśniła się zmiana w rytuale szalasu potu. Starsi szczepu zgodzili się na zmianę rytuału pod warunkiem, że przyniesie to konkretny, pozytywny efekt. I przyniosło. A więc wyśniwszy coś, mam prawo to wprowadzić

w życie, jeśli biore odpowiedzialność za owoce. A mi się wysnił szałas potu pod polskimi brzozami, gdzie wzywam duchy mojego lasu. Zresztą może wcale nie uciekam od własnych tradycji, ale do nich wracam. Na terenie obecnej Ukrainy starożytni Scytowie rozgrzewali się pod skórzanymi szałasami opartymi na tyczkach, gdzie wkładano gorące kamienie. Scytowie co prawda posypywali je konopiami...

Przepliw

Jadę właśnie autobusem z Tarnowa do Krosna. Zapchanym po brzegi, śmierdzącym od potu. Kierowca wesoło wykręca kierownicą i wymachuje wajchą biegów. Zwykle spotykam bardziej ponurych i sfrustrowanych. Ten jest naprawdę miły i tryska szczęściem. Co czyni ludzi tak różnymi, że jedni potrafią być szczęśliwi spędzając życie jako kierowcy autobusów, a inni nie? To, co czeka ich po powrocie do domu czy wrodzone nadawanie się na kierowcę? Niektórzy ludzie wykonują przez całe życie bardzo powtarzalne czynności i wydają się być zadowoleni. Kiedyś zmuszony byłem pracować przez dwa tygodnie w angielskiej rzeźni. Stałem przy taśmie osiem godzin, zdzierając skórę z trzech tysięcy świńskich brzuchów dziennie. Stała koło mnie Angielka, Sara, kobieta około pięćdziesiątki, sama wyglądała jak różowa świnka, aż cud, że jej nie przerobili na parówki. Mieszkała pół kilometra od rzeźni. Zapytałem, od jak dawna stoi przy tej taśmie. Odpowiedziała, że całe życie, znaczy się, odkąd skończyła szkołę średnią. „I like it here” - powiedziała („Lubię tu być”). A ja widziałem kwitnące na zewnątrz rzeźni żonkile i czułem zapach trawy. Nie byłem szczęśliwy.

Jak pokazały badania Mihály Csíkszentmihályi'ego, ludzie zwykle deklarują poczucie największego szczęścia, kiedy

są w stanie „flow”, przepływu, kiedy ich świadomość nie napotyka zbytniego oporu, ich myśli i czyny płyną zgodnie z tym, jak zamierzali, zgodnie z tym, co ich interesuje lub co nie sprawia większej trudności. Najlepiej, żeby było to coś, co nieco angażuje, a więc jazda samochodem, praca w biurze, kopanie rowu. Takie rzeczy jak rodzina czy seks, o dziwo, w badaniach są dalej. To taka podbudowa, która się też liczy, ale w codziennym poczuciu szczęścia króluje „flow”.

Jakie poczucie przepływu mieli pierwotni ludzie? Pewnie czasem też duże, bo i czas przepływał im przez palce. Kobiety wykopywały z ziemi jadalne leśne bulwki, tak jak dziś kopią ziemniaki. A mężczyźni naprawiali swą broń lub wędrowali na polowanie. Były i okresy zgrzytu, jak głód, choroba czy nagła zmiana pogody. Fascynuje jednak to, że ludzie mają takie różne potrzeby.

Współczesne urządzenia bardzo często dostarczają okazji do rozpląnięcia się w „przepływie”: jazda samochodem, oglądanie telewizji, surfowanie po internecie. Z drugiej strony rośnie specjalizacja. Oczekuje się od nas, żebyśmy wykonywali jedną funkcję: bycia sekretarkami, kierowcami, nauczycielami, fryzjerami. Kiedyś ludzie chodzili do pracy na piechotę lub przynajmniej spacerowali na przystanek autobusowy i musieli stać w ciasnym autobusie. Teraz jeżdżą, a pewne mięśnie ciała nie pracują prawie w ogóle.

Człowiek pierwotny miał konieczność i sposobność przyjmować różnorodne pozycje i wykonywać ruchy, które my rzadziej wykonujemy: noszenie ciężarów na głowie, kucanie, żeby zrobić kupę, podkradanie się do zwierzyny, noszenie dziecka na plecach itd. No i dużo tańczył. Osobiście nie lubię tańczyć, ale kiedy prowadzę wykłady, siedzę na stole i macham nogami. I od czasu do czasu chodzę po swoim lesie na czworakach, dla zmiany perspektywy.

Polowanie

Rzecz, która byłaby dla mnie najtrudniejsza w naśladowaniu moich pierwotnych przodków, jest bycie prawdziwym łowcą. Nie lubię zabijać zwierząt i mam słaby refleks i wytrzymałość. Jadłem już ryby złowione własnymi rękami, żaby i jaszczurki. Jadłem zwierzęta rozjechane przez samochody i ptaki, które wypadły z gniazd. Nie nauczyłem się jednak sztuki zabijania większych zwierząt. Kiedyś, kiedy jeszcze myślałem, że nauczę się polować, a było to w pierwszym roku mieszkania w mojej wsi, poszedłem na bardzo długi spacer wzdłuż grzbietu porośniętego buczyną. Widziałem siebie z łukiem, polującego na jelenie. Było to takie namacalne. I nagle... nagle zobaczyłem leżącą na ziemi sarnę. Bez ruchu. Była ciepła. Miała ranę na tułowiu, od strzału. Kłusownicy - pomyślałem. Schowałem się w gęstwinie i czekałem, co będzie dalej. Po pół godziny postanowiłem im zgarnąć tę sarnę. Nie wiem, co mnie podkusiło. Stwierdziłem, że fakt, iż dostrzegłem sarnę daje mi prawo do stanowienia o jej losie. Ta zagubiona, zastrzelona sarna to dar od Opatrzności dla mnie. Zrzuciłem ją na plecy, ciężka była. Zdecydowałem się, że przeciągnę ją wzdłuż parowu, a potem ukryję i przyniosę do domu, w kawałkach (jak?) w plecaku. Przerażony byłem tą wielką masą ciała. Jak to pokroić? Zawsze chciałem oprawić sarnę, nauczyć się jak szybko i sprawnie rozdzielać skórę i poszczególne organy i partie mięsa. No i miałem okazję. Będę mógł swoje postne zupki z pokrzyw wzbogacić gulaszem z sarny.

No więc wlokłem ją dwa kilometry. Aż słyszę: „Stój, bo cię zastrzelimy!”. Byłem otoczony. Trzydziestu myśliwych w morach, w kapeluszach z piórkiem. „Skąd jesteś?”. „Z Pietruszej

Woli”- mówię (oni byli chyba z sąsiedniej wsi). Nie uwierzyli mi, byłem nowy i nie wiedzieli, kim jestem. „Ty nie pierdol chuju, że jesteś z Pietruszej Woli, ino dawaj sarnę i spierdalaj, bo cię zastrzelimy”.

Sarnę dane mi było oprawiać kilka lat później. Znów darowaną. Siostra kręciła swój film *T. Rickster* w Lesie Łagiewnickim w Łodzi. Potrzebna była leżąca na śniegu zwierzyna, więc ją kupiła. Nie miała już trzewi, ale i tak roboty z krojeniem było ho, ho! Mój sąsiad, Piotr, zaczął po indiańsku. Przemówił do martwej sarny i przeprosił ją za jej śmierć, a w usta włożył jej odrobinę tytoniu.

Karma

Był piękny, lipcowy poranek. Robotnicy budowali właśnie rusztowanie do remontu kościoła. Pięli się z deskami coraz wyżej. Czasem przychodzili do nas po wodę do studni. Dzisiaj też pojawił się jeden. Nie miał jednak butelki w ręce.

- Weź pan to! - robotnik trzymał cztery pokrwawione ptaszki. Trzy już nie żyły, ale były jeszcze ciepłe, jeden, z roztrzaskaną głową i ze zdeformowaną nogą, jeszcze podrygiwał.

- Dlaczego ja?

- Bo pan wszystko źresz, słyszałem. Szkoda żeby się miało zmarnować. Z gniazda wypadły.

- Dawaj - powiedziałem.

Ułożyłem je na deseczce. Tego co jeszcze drgał, dla oszczędzenia mu cierpień ciachnąłem tasakiem. Ledwo opierzone były. Skóra zesza z nich za jednym pociągnięciem. Zrobiłem z nich szaszłyki. Pycha.

Poszukiwanie różnorodności jest czymś naturalnym. To nie snobizm ani wyuzdanie. Coś nowego, co wykracza poza dotychczasowe doznanie, pociąga. Strach przed nowym jest,

ale jeśli otwieramy swe zmysły na pewne doznanie: pokarmy, podróże, seks, zawsze pojawia się ta chęć: więcej i dalej. Trzeba umieć się zatrzymać.

Kiedys przyszedł sąsiad i powiedział:

- Kupisz nietopyrza?

- A po co mi nietoperz? - zapytałem.

- Ty wszystko skupujesz, myślałem, że wymyślisz dla niego coś. Może go zjesz, albo zasuszysz, albo gdzie we Warszawie sprzedasz. Ja cie znam, ty na tym interes zrobisz.

Przelotnie pojawiła się we mnie nieodparta pokusa zjedzenia nietoperza. Po chwili pomyślałem jednak o wściekliwości, którą przenoszą, ich czarnym futrze, drobnych kostkach i o ustawie o ochronie gatunkowej zwierząt. Na wszelki wypadek zapytałem o cenę, żeby znać aktualną rynkową wartość nietoperza na Podkarpaciu.

- No... dwo wina.

- Za drogo - powiedziałem.

- Za drogo?

Odezwała się żyłka handlowa i u niego:

- Widzisz nietopyrz mo dwo skrzydła to i dwo wina sie należom.

- Masz tu na jedno i wypuść go.

- Bedzie. I tak nik inny go nie kupi.

I fru, nietoperz poszybował pod mój dach.

Przypomniałem sobie wtedy, jak opowiadano mi w dzieciństwie, że nietoperz jest wysłannikiem diabła. Jeszcze pod koniec XX wieku niektórzy mieszkańcy Krosna wylapywali nietoperze, suszyli je i wieszali na strychu jako swoisty amulet.

Nie wiedziałem wtedy, że za kilka lat dowiem się, że w niektórych zapadłych zakątkach Indochin jada się nietoperze. A ja przegapiłem taką szansę. Kiedy pojechałem do Tajlandii, na darmo pytałem o gulasz z nietoperza. Jada się go jedynie w jednym regionie tego kraju, tam gdzie nie dotarłem. I jeszcze na Guam. I też podobno się można zarazić od nich

różnymi wirusami. A młodzi tam to już w ogóle nie chcą jeść nietoperzy. Opowiadałem tę historię swoim międzynarodowym studentom z Warsaw International Studies in Psychology. Rękę podnosi studentka z Ghany. U nich też jedzą i to powszechnie.

Przynoszono mi nie tylko nietoperze, ale od czasu do czasu w miarę świeże, inne, demoniczne zwierzęta, które zginęły tragiczną śmiercią, zapewniającą świeżość: jaszczurki przecięte na pół przez kosiarkę czy zaskrońce rozjechane przez auta.

Albert

Albert interesował się medycyną chińską. Cały czas powtarzał mi, że jem wilgotne pokarmy, że muszę się wysuszyć, bo mój organizm zebrał w sobie za dużo wody. Odwiedził mnie kiedyś, gdy budowałem sobie w lesie nowy szałas z gałęzi i suchych traw. Prawdę mówiąc, nie tylko gadał o swojej medycynie, ale i nosił gałęzie.

- Dlaczego nie kupisz płótna na tipi?

- Bo chcę, żeby było naturalne. Widzisz, tipi robią w fabryce, może z jakichś importowanych sznurów.

- A mi się podoba płótno... Zresztą ta trawa, którą zbierasz, rośnie tu na łące, w lesie jej nie ma. Łąka nie jest naturalna, tylko las jest naturalny.

- Ale jest organiczna - broniłem się.

- Ta konstrukcja, stożek, kilka kijów związanych i przykrytych suchą trawą, to chyba najprymitywniejszy typ chaty ludzkości - dodałem.

- Najprymitywniejszy, ale wcale nie taki fajny, he, he - zaatakował Albert. - Popatrz, te drągi budujące konstrukcję będą na ciebie negatywnie energetycznie oddziaływać. No i ta stożkowata konstrukcja według Chińczyków zabiera człowiekowi yang.

- Może masz rację, półkolisty wigwam rzeczywiście ma miłszy kształt. Szkoda tylko, że wolniej się go robi....

Albert był zawsze jednym z najbardziej naturalnych ludzi, jakich znałem. Niczym się nie wyróżniał, był jednak mądry i spokojny. I niesamowicie powolny. Widać było, jak rozważa każdą myśl w pięćdziesięciu kombinacjach. Jako astrologiczny byk, wiedział czego chce.

Kiedyś, siedząc z nim przy ognisku, zacząłem się zastanawiać, co łączy wszystkich moich znajomych. Byli wśród nich profesorowie i włóczędzy, zawodowi schizofrenicy, biznesmeni i drwale. Wtem uświadomiłem sobie to. Nie chodzili codziennie do pracy. To znaczy pracowali: od czasu do czasu, albo wtedy kiedy chcieli, albo ze dwa dni w tygodniu (jak się jest naukowcem, trzeba pracować...), jednak nie mieli tego od siódmej do trzeciej. Nazwijmy to po imieniu - niewolnictwa²⁷.

Pewien wódz plemienia Nez Perces powiedział, tłumacząc dlaczego nie podejmują normalnego zachodniego życia: „Moi synowie nie będą pracować, wtedy ich sny straciłyby moc”.

Więc może zadaję się z ludźmi, których sny mają moc? Może... Osobiście uważam sny za wielki dar, a ich świadomość i łączność z nimi za podstawę duchowego rozwoju, początek jedności osobnika w sobie i jedności z wszechświatem. To ciekawe, że najbardziej wyraziste sny miałem, kiedy mieszkałem w Warszawie, w małym, prawie pustym pokoiku w szarym bloku. Wyniesienie się na wieś, o dziwo, może chwilowo (na czternaście już lat...), rozproszyło we mnie ten senny potencjał. No a może go po części spełniłem. A może lepiej mniej śnić? W sumie w Warszawie też nie śniłem okropnie intensywnie. Wiele było biegania po pustych wzgórzach, porośniętych kostrzewą owczą i różnymi kwiatami. Zależnie od dnia: firletkami, krokusami, goryczką. To właśnie firletki woła-

²⁷Tutaj moja korektorka Ania Wojciechowska, na co dzień etatowa nauczycielka dopisała: „A ja? :-)”

ły mnie w warszawskich snach, krzycząc: „Wracaj do nas, do łąk, do gór”. W tym pustym pokoiku o białych ścianach i zielonej podłodze, w szarym bloku, patrząc na światła pętli tramwajowej, śniłem, że po drugiej stronie Wisły, na Pradze, wyrosły góry. Coraz wyższe wapienne klify, jak na podkrakowskich skałkach. Senna unia Krakowa z Warszawą. Szukałem w tych latach w Warszawie miejsc naturalnych. Są. Gdzieś zagubione pomiędzy rozjazdami. W nocy chadzałem na Kopę Cwila. Górkę usypaną podczas budowy ursynowskiego osiedla. W kształcie zikkuratu. Siedziałem tam często pomiędzy dwudziestą drugą i północą. Parę osób z psami. Dlaczego nikt inny nie chciał siedzieć na jej czubku? Dookoła mnie pędziły samochody i migały światła okien w blokach. A może czekali aż zejdę, żeby zająć moje samotne miejsce? No i Wisła, dzika, piękna rzeka. Pamiętam urodziny Sary, kiedy paliliśmy ogniska na skutym krą lodzie i czytałem jej Małego Księcia.

Ryby

Kiedy ktoś mówi: dziki człowiek, słyszę słowa Daniela Olbrychskiego w *Panu Wołodyjowskim*. „Jam jest Azja Tuchajbejowicz”. Słyszę jak rozrywa koszulę i pokazuje swój znak - wytatuowane na piersi ryby. Rysunek na ciele. Pierwsze ubranie człowieka. Tatuaż to już jednak rzecz wtórna. Pierwsze było smarowanie gliną i popiołem. Malowanie kobiecych piersi roztartymi poziomkami i malinami. Rysowanie na tułowiu okręgów i spiral węglem drzewnym. Smarowanie twarzy krwią. Malowanie na nosie podłużnej, żółtej pręgi.

Żar

Człowiek może chodzić po ogniu. Właściwie nie po ogniu, ale po żarze. Rozpala się duże ognisko z gałęzi lub szczapek, a kiedy wypali się w mały stos czerwonych węgielków, jak orzechy, rozgrzebuje się je. I każdy, prawie każdy może po nich przebiec. Niewiarygodne, ale prawdziwe. I wciąż nie ma dobrego fizycznego wytłumaczenia. Musi być jakaś warstwa izolacyjna, bo przecież dłoń położona na takim żarze parzy się niemiłosiernie, nie mówiąc o kolanach czy łydkach, brrr.

A więc mamy żaroodporne stopy. Jesteśmy więc nie tylko wodnymi małpami, dziećmi rzek i oceanów, urodzonymi, jak hipopotamy i delfiny, do odkrywania wodnych spizarni. Ale jesteśmy też dziećmi Peruna, błyskawicy, ognia i pożogi. Pewnie biegaliśmy dawniej po wypalonych, tłących się jeszcze lasach i sawannach, po ciepłym popiele, zbierając na wpół zwęglone antylopy.

A może odkryliśmy ten dar później? Obrzęd chodzenia po żarze jest obecny w niektórych kulturach w południowej Azji, na Hawajach, w różnych tajemnych islamskich bractwach, a w Europie przechowali go Bułgarzy.

W Bułgarii zwyczaj chodzenia po żarze nazywa się nestinarstwo. Nestinari wchodzi w żar z ikonami, najczęściej taki obrzęd odbywa się w dzień Świętych Konstantyna i Eleny, pod koniec maja. Przetrwiał w kilku wsiach południowo-wschodniej Bułgarii, w górach Strandża.

Chodzenia po żarze nauczył mnie Wojtek Józwiak. Zbieraliśmy wielki stos gałęzi, pociętych i połupanych w niewielkie szczapki, jak do pieca. Kiedy stos się dopalał, kiedy żar składał się z pomarańczowych rozgrzanych bryłek wielkości orzeszka, kiedy zniknął płomień, rozgarniało się go. Układało się gra-

biami parometrową ścieżkę i... wchodziło się. Bardzo się bałem za pierwszym razem i zawsze bardzo się boję. Przejście kilku kroków po żarze wydaje się wbrew ludzkiej naturze, wydaje się czymś totalnie magicznym, ale i niemożliwym, i perwersyjnym. Nie wszyscy się boją. Niektórzy wręcz na żarze tańczą.

Warsztaty Wojtka, na których robi chodzenie po ogniu, są bardzo poważne i tworzą pewną liturgiczną całość. Ognio-wi składa się ofiary. Do ognia się przemawia. I, broń Boże, nie pije się piwa. Uczestnicy tych warsztatów - przypuszczam - myślą, że gdyby po wypiciu piwa wejść w ogień, pochłonąłby ich żywcem.

Tymczasem byłem świadkiem obrzędu chodzenia po żarze piwem inicjowanego. W Uniwersytecie Ludowym we Wzdowie co roku w noc świętojańską paliło się Wickermana - Wierzbina. Wielką wiklinową kukłę. Ze spalenia żaru powstaje wielki krąg. Aż prosi się, żeby w niego wejść. I widziałem, jak ludzie wchodzili w niego rozochoceni muzyką, po pięciu Warkach, i nie mając pojęcia, jak się po ogniu chodzi. Nie bez powodu Papież Klemens wzywał na łożu śmierci „...sancta piva di Polonia... sancta biera di Warka...”.

Węch

Węch nam się stepił zanim zostaliśmy ludźmi. Jesteśmy jak mały bardzo wzrokowi. Lecz węch jest i ci, co go używają, daleko zachodzą. Naszym dzieciom odbiera się węch. Oglupia się je wzrokiem, czasem dźwiękiem. Rzadziej daje się im dotyk. A węch? Czy dzieci w szkole mają jedną tygodniowo lekcję edukacji węchowej? Doświadczają tego tylko niewidomi, z konieczności. Nasz naturalny pokarm w lesie, to, co jest dla człowieka jadalne, nie bardzo różni się od tego, co je

dzik. A dzik wywęszyć potrafi. Ileż to rządów żołądki, które posadziłem, wyjadły dziki. Przestały, gdy przykryłem je śmierdzącymi gałęziami czarnego bzu. Ileż to kłaczy żywca wyjadły...

Co wywęszyć może człowiek? Dużo, w dużym stopniu to kwestia treningu. Rozłożenia rzeczy na składniki pierwsze. Już wiem, jak pachnie szczur. Wywęszę go w stodole. I wiem, jak pachnie lis. Też go wywęszę. Jak pachną butwiejące liście olchy, a jak dębu. Buką jeszcze inaczej. Jest las, który pachnie malinami, i taki, który pachnie jeżyną. I taki, który podśmierduje pokrzywą. I murawy, po których gdy się chodzi, wydają z siebie po kolei świeży zapach macierzanki, aptecznie zalatują dziurawcem, a dalej pachną jak mokre włosy, kostrzewą. Idziesz dalej, a zalatuje cię zapach ziemi ze świeżego kretowiska i piór martwego gołębia grzywacza.

Muł nad potokiem pośmierduje tlenkiem żelaza. Ze źródła wydobywają się bąbelki gazu. Młaka pachnie kaczeńcem, skrzypem i walerianą. Wchodzisz w błoto trzy metry dalej, zaskoczenie - aspirynowy aromat kłaczy wiązków i goździkowo-błotny zapach kuklika.

Te zapachy wpierw trudno rozdzielić. Powoli jednak uczysz się, co, gdzie i jak pachnie. Mnie pomogło zbieranie roślin na nasiona. Kiedy na strychu suszyły się sterty jednego gatunku, można było się nauczyć zapachu każdego z nich osobno. Dokładnie i dogłębnie. Raz cały strych pachniał krwawnikiem, innym razem wiesiołkiem, złocieniem czy firletką. Złocienie uspokaja podobnie jak rumianek. Obcowanie z nim koi duszę. Wiesiołek też pachnie słodko, lekko waniliowo, jak ciało młodej dziewczyny o oliwkowej skórze. Firletka podobnie, czuć tam jednak i nutę perfum. Chaber łąkowy - bije od niego sztywna i spokojna gorycz.

Liście

„Piraha nie jedzą liści” - powiedział Indianin z tego plemienia na widok antropologa zjadającego sałatę - „Dlaczego je jesz?”. Liście to ciekawy temat. Wiele ludów trochę od nich stroni, traktują je jedynie jako coś do zawijania mięsa i korzenie do pieczenia. Inne ludy cenią je i wierzą, że dają im zdrowie. Siekają i jedzą na surowo, smażą czy gotują. Goryle jedzą głównie listowie, szympansy już mniej.

Słowianie jedli głównie szczaw, lebiodę i pokrzywę. To święta zupna trójca wszystkich Słowian. Resztę liści, mniej. Kojarzyły im się z niedostatkiem, przednówkiem, głodem.

Jednym z takich głodowych liści jest ostrożeń łąkowy (*Cirsium rivulare*), miękkolistny „oseł”, pospolity na karpaccich łąkach. Kiedyś ratował górali od głodu. „Dobre, ino pusy” - powiedziała góralka. Wypróbowałem. Smakuje jak gorzka sałata, ale rzeczywiście po zajęciach cała grupa popierdywała wesoło.

Po zjedzeniu dużej liści kupa wygląda zdrowo, ciemnobrązowo. Czasem nawet zielonkawo. I nie lepi się, mało papieru się zużywa. Jakbyś jednak jadł ich za dużo, nie jadł nic innego, zacznie robić się rzadka, dostaniesz głodowej biegunki.

Kiedy panował głód na Kurpiach, jedli dużo pokrzyw. Zbierali cały dzień, gotowali i jedli, a wieczorem znów byli głodni. Wypróbowałem to na leśnych wędrownkach. Jesz cały dzień liście lipy, dochodzisz do objętości wiaderka i zaczynasz się czuć dopiero lekko zaspokojony. Jak powiedziała jedna mieszkanka podkarpackiej wsi: „Jak był głód, to my osty jedli. Całom stodołę by nimi zapchoł. I tak my głodne byli”.

Nadnercza

Życie naszych pierwotnych przodków wcale nie było takie różowe. Jedną z najstraszniejszych rzeczy było posądzenie o rzucenie czarów. A często się to w wielu kulturach zdarzało. We współczesnym sądzie winny nie musi być znaleziony. Dawniej czasem można było kogoś dobrać w zastępstwie. Winny musiał się znaleźć. Australijscy Aborygeni wycinali w nocy nadnercza swoim ofiarom posądzonym o czary. U innych czasem sam strach przed rzuceniem anty-czaru przez czarownika powodował śmierć lub chorobę. Píše o tym barwnie Longwood w książce *Ja, Aborygen*.

Wędkarze

Wędkarze to niedoceniana reliktowa grupa zbieraczy-łowców. Ci, wydawałoby się, Nudni Panowie z Piwkiem, siedzący nad brzegiem rzeki ze swoją wędką, kryją w sobie bogactwo wiedzy o przyrodzie, łowiecki kunszt i przeżycia dorównujące pierwotnym wojownikom. Znają dziesiątki gatunków ryb. Wiedzą, jak wyglądają, jak smakują, jak się poruszają, jak i kiedy uprawiają seks. Wiedzą, gdzie żerują, gdzie spędzają zimę, upał, okres deszczu. Wiedzą też, co lubią jeść. Znają każdego robaczka, który mógłby być smaczny dla ryb. Nigdy nie było mi dane osiąść w pełni tego kunsztu. Zbyt zaprzedałem się zielsku. Jestem, co prawda, od czasu do czasu współuczestnikiem wędkowania, ale to nie to samo. Jako

pragmatyka ciągnie mnie bardziej do łapania ryb sieciami, rękami albo ogłuszenia ich jakąś trucizną. Wędkarstwo pachnie trochę jakąś ideologią.

No ale kończąc żarty - wędkarz jest bliski człowiekowi pierwotnemu. Po pierwsze łapie głównie dzikie. Po drugie łapie różnorodne rzeczy, używa przy tym swojej wiedzy o środowisku. Nie przemęcza się - siedzi i łapie.

Aomalże wędkarzem nie zostałem. Wychowałem się dwieście metrów od rzeki Wisłok. Mama nie pozwalała mi samemu chodzić nad rzekę, ale ukradkiem spotykałem się tam z kolegami obsesyjnie łowiącymi ryby. Szkoda, że tych ryb nie jedli, mamy mówiły im, że są zbyt zatrute, więc łowili je dla czystej przyjemności łapania, zabijania i dawania ich do jedzenia swoim kotom. Przynajmniej to. Zresztą były to zwykle jakieś ukleje, kielbie, czasem małe płocie, rzadziej brzany czy klenie.

W tym roku, dzień po zakończeniu moich kilkudniowych warsztatów, na których gotowaliśmy potrawy z dzikich roślin, siedzę u sąsiada z pobliskiej wsi, właśnie nad Wisłokiem, na ognisku już cywilizowanym. Na imprezę przybywa następny gość. Mówi: „Złowiłem dzisiaj pięćdziesiąt klen”i. I rzeczywiście wyciąga rybę za rybą. Piękne, z czerwonymi płetwami, jak jakieś amazońskie kłasczowate. Już oczyszczone. Kładzie je na ruszt nad ogniskiem. Chyba nigdy w życiu nie byłem o nic tak zazdrosny. Oczywiście nie o ich mięso, bo jem do woli. Zazdrosny o przeżycie wielkich łowów, zazdrością wojownika, którego współplemieniec zabił pięćdziesiąt bizonów.

Granice

Pisząc w tej książce o dzikości i naturalności z jednej strony pokazuję ludzi, którzy przekraczają granice współczesnej, zachodniej „normalności”, często uznawani są za dziwa-

ków, ale mogą być uznani za stereotypowych, nudnych w innych społeczeństwach. Piszę też o innych społeczeństwach, reliktach przeszłości, prehistorii. Czy możemy uznać, że wszystko, co gdzieś, kiedyś było akceptowane, jest „naturalne”? I tak, i nie. Człowiek jako istota biologiczna zawsze czy tego chce, czy nie chce, pozostaje częścią natury, więc w pewnym sensie jest zawsze „naturalny”. Chciałem jednak pokazać naturalność modalną. Tak jak urzędy statystyczne pokazują, ile zarabia przeciętny obywatel, tak ja chciałem pokazać, jak wygląda przeciętny dziki i przeciętny powrót do natury.

Słowo „dziki” nastęrcza pewne kłopoty. Z jednej strony kojarzy się z takimi epitetami jak *bliski natury*, *niekontrolowany*, *niezależny*, *organiczny*, z drugiej zaś z takimi przymiotnikami jak: *okrutny*, *nieokielznany*, *drapieżny*, *krwiożerczy*, *bezwzględny*, *niemoralny*. Eksploracja tego drugiego szeregu epitetów musiałaby się też wiązać z opisem najbardziej sadyistycznych zbrodni, zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych. Nie będę tego robił, ale trzeba być świadomym tego aspektu natury. Okrucieństwa chłopczyka, który odrywa muchom skrzydełka i tego, co zdarzyło się w Oświęcimiu. Droga do tego nie jest wcale taka długa.

Dzicy są dzicy tylko czasem

Gdyby zrobić taki park tematyczny pod tytułem „Flintstones”, gdzie można na weekend zabrać rodzinę albo jeszcze lepiej pojechać na grupowy wyjazd z firmą i obejrzeć prawdziwego/udawanego dzikiego, i gdybym Ci o tym opowiedział, pewnie jako pierwszy obraz u Ciebie wystąpiłoby ludzie odziani w skóry albo nadzy, polowania na wielkiego zwierza, krwawe obrzędy inicjacji, międzyplemienne walki, tańce i tam-tamy.

Takie sceny występują też w różnych filmach w stylu „Walka o ogień”. Jednak przeciętna rzeczywistość, zastana przez kogoś, kto zaskoczyłby prawdziwych dzikich, byłaby dosyć nudna. Przypominałaby sceny rodzinne z naszego własnego domu albo sceny nagrane w programach typu Big Brother. Plotki, dzieci bawiące się w dorosłych, dłubanie w ziemi za jakimiś korzeniami, zbieranie jagód. Mężczyźni wracający z polowania, zmęczeni jak po wielogodzinnej pracy. Uśmiechy, uśmiechy takie jak nasze, jak potwierdzają psycholodzy i antropolodzy - ale częstsze niż w naszych czasach. A pakowanie obozu - jak przeprowadzka albo wyjazd na wczasy. Chyba wiele racji mieli strukturaliści, uwypuklając niezwykłą jedność ludzkiej kultury. To, co dla nas dzikie i odmienne, przejawia się co jakiś czas, na co dzień dzicy nie są dzicy, są ludźmi.

Ishi

Ishi to ostatni niecywilizowany Indianin Północnej Kalifornii. Ishi to nie jego prawdziwe imię, ale słowo oznaczające człowieka w jego języku. Ishi urodził się gdzieś w połowie XIX wieku (około 1860) i zmarł w roku 1916. Został znaleziony przez grupę mężczyzn w miejscowości Oroville w roku 1911. Plemię Yahi, z grupy Yana, było jak wiele innych plemion ofiarą gorączki złota w Kalifornii. W roku 1865 zostało prawie wyrżnięte w pień, oprócz ostatnich kilkudziesięciu osób. Ostatecznie z grupy ludzi żyjącej w coraz bardziej cywilizowanej Kalifornii, ukrywającej się przez kilkadziesiąt lat przed białymi, przetrwał sam Ishi. Samotny, przez wiele lat żył nadal jako prawdziwy zbieracz-łowca, polował na zwierzynę i zbierał dzikie rośliny. Kiedy go znaleziono, był w kiepskim stanie, bardzo wychudzony, w strzępach odzieży. Jego odkrycie było sensacją i wywołało duże zainteresowanie. Przeniesiono go do

Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, gdzie mieszkał w budynku należącym do Muzeum Antropologicznego. Pod szczególną opiekę wzięło go dwóch badaczy: Alfred L. Kroeber i Thomas Talbot Waterman. Powoli zrekonstruowano jego język, a Ishi dostarczył cennych informacji antropologicznych o życiu jego plemienia. Żona znanego antropologa Kroebera, Theodora, opublikowała książkę *Ishi in Two Worlds* (na polski przetłumaczona pod tytułem *Ishi człowiek dwóch światów*). Ishi zmarł w roku 1916 na gruźlicę.

Zapytany, co mu się najbardziej podoba w kulturze białego człowieka, Ishi odparł, że łazienka i bieżąca woda (rzeczy oczywiście wtedy dostępne w Ameryce bardziej niż w Europie). Fascynowała go możliwość posiadania „prywatnego strumienia” w domu. Nienawidził jednak miasta i tłumów. Może gdyby żył teraz, powiedziałby: „Kocham łazienki i internet”, i pewnie dalej nienawidziłby miasta.

Dzik

Dlaczego dzik w mojej książce? No bo: „Dzik jest dziki” - jak napisał Jan Brzechwa. Więc niech będzie dzik. Poza tym dzik lubi to, co człowiek. Jego przysmaki, takie jak żółędzie, pędraki, rośliny leśne, jak ziarnopłon czy żywiec, to pokarmy też dla ludzi, którymi stołowali się nasi przodkowie.

Brzechwa napisał: „Dzik jest dziki, dzik jest zły”. Dzikomość kojarzy się ze złem... I to chyba od dawna. W wielu mitologiach dzik to władca mrocznej części przyrody. Chtoniczne zwierzę puszczy i bagien. Ryjące w ziemi, śmierdzące, niegardzące padliną.

Odarcie

Fascynacja dzikością opiera się po części na fascynacji prostotą i tęsknocie za odarciem z niepotrzebnych zależności, szczegółów, naddatków, uwikłań. Zbieracz-łowca to człowiek, który posiadał często tylko swoich bliskich, może jakąś broń czy naczynie, które i tak był w stanie wykonać z surowców dookoła niego. Pozbycie się zbędnych rzeczy - jak koszuli. Tak jak Hucul, który nosił kozuszek na nagim ciele. Sahlins nazwał to ekonomiką Zen.

Zapomina się jednak o tym, że człowiek dziki uwikłany jest w swój ekosystem i świat duchów. Człowiek dziki należy do swojej ziemi. Zna tylko rośliny i zwierzęta ze swojego obszaru. Przeniesiony kilkaset kilometrów dalej mógłby mieć kłopoty z przeżyciem. Człowiek dziki ma swoje miejsca mocy, miejsca, gdzie leżą jego przodkowie, ulubione obozowiska, wodopoje. Ulubione dzikie drzewa owocowe, do których powraca. Święte góry. Szczególnie przyjazne plaże. Człowiek jest uwikłany ze swojej natury. Przez odarcie z jednych rzeczy, szybko narażamy się na uwikłanie w inne.

Sklep ze zdrową żywnością

Mekką ludzi, którzy poszukują natury, jest sklep ze zdrową żywnością. Przybytek ten jest głównie nawiedzany przez kobiety. Primo, kobiety bardziej dbają o zdrowie, secundo, częściej też trzymają się diety wegetariańskiej, a to szczególnie wegetarianie swoje produkty tam nabywają. Wyrazem poszukiwania produktów naturalnych są produkty BEZ

cukru, BEZ konserwantów, ORGANICZNE, BIO, EKOLOGICZNE, BIOLOGICZNE, BIODYNAMICZNE itd. Okazuje się jednak, że sklepik taki może być miejscem poszukiwania nie tylko dla tych, co dążą do naturalnego, ale też i dla tych, którzy dążą do dzikiego. Tu kupisz pasteryzowany sok brzoźowy, kawę z żołądźmi oraz dziki ryż (*Zizania aquatica*). Zboże, które z samej swojej nazwy jest dzikie. Nie dało się bowiem ujarzmić próbom jego masowej produkcji i jak rosło przed wiekami nad Wielkimi Jeziorami Ameryki Północnej, tak samo rośnie i dziś. Tak jak kiedyś dawało pokarm plemionom Indian, dzisiaj daje pokarm plemieniu poszukiwaczy zdrowego jedzenia. Klienci sklepów ze zdrową żywnością to właściwie kilka odrębnych plemion: wegetarianie z miłości do zwierząt, ortoreksycy (ludzie obsesyjnie dbający o swoje zdrowie), ludzie schorowani, z przypadłościami takimi jak cukrzyca czy choroby układu krążenia, wreszcie poszukiwacze nowych smaków. Dla tych ostatnich powstaje zresztą coraz więcej sklepów z żywnością egzotyczną czy - jak to się mówi - orientalną. Sam osobiście do tej ostatniej grupy należę i sklepy ze zdrową żywnością zwykle omijam na korzyść tych orientalnych, definitywnie już po tym, jak pewnej wiosny widziałem ludzi kupujących pasteryzowany sok brzoźowy z zeszłego roku. A lasy nim tryskały.

Puszcza i puszcza

Kiedy pytasz ludzi, z czym im się kojarzy dziki, jedni opiszą Ci pustkowia, inni miejsce pełne dzikich zwierząt i roślin. W naszym kraju najbardziej dzika jest puszcza, a szczególnie ta Najdziksza z Dzikich, Puszcza Białowieska (dokładniej jej środek, bo reszta to zwykła fabryka drewna z powodu

złej woli i głupoty kolejnych ekip rządzących). Źródłosłów słowa puszcza tkwi w słowie pusty, więc jest to termin mylący, bo puszcza to pustkowie jedynie w tym sensie, że jest bez ludzi. A przecież pełna jest za to wszystkiego, co ludźmi nie jest. Puszcza jest bardziej pusta, bo puszcza to węgierski step, gdzieś tam tylko poprzerany zagajnikami. Puszcza jest bardziej pusta niż puszcza. Ale źródłosłów ten sam - od słowiańskiego pustego.

Jakby policzyć, ile gatunków stworzeń ma puszcza, wyszłoby, że dużo. Ale najwięcej gatunków ma skraj puszczy i nie-puszczy. Przez wieki człowiek karczując puszcze ubogacał przyrodę. Puszczy było tak dużo, że polany, które tworzyliśmy, były jak oazy na pustyni. Miejsca, gdzie żyły kwiaty i owady lubiące słońce. Aż sytuacja odwróciła się. To puszcze stały się wyspami otoczonymi przez pola, łąki i pastwiska. Od niedawna florystyczne i faunistyczne pustynie. Dzięki nawozom, herbicydom i pestycydom. A jeszcze pięćdziesiąt czy sto lat temu łąki i pastwiska były pełne kwiatów i motyli, pomimo, że koszone i wypasane, i właśnie dlatego. W Polsce pewnie gdzieś na wiek osiemnasty przypada szczyt biologicznej różnorodności w większości z możliwych skal. Lasy rzadko jeszcze były monokulturami, łąki i pastwiska pełne były rzadkich dziś roślin, takich jak zimowit, dziewięcisz czy mieczyk, a i przybyło już trochę obcych gatunków z Ameryki. Dziś ubożenie następuje głównie przez wymieranie gatunków terenów otwartych wskutek różnorodnych gwałtownych przemian w użytkowaniu gruntów.

Warsztaty

Próbując uciec od cywilizacji, bardzo szybko uświadomiłem sobie złudę mojego marzenia. Zresztą może nie było to aż takie szybkie. Rok, dwa lata? Właściwie jednak przez dobrych kilka lat po przeniesieniu się na wieś tkwiło we mnie poczucie winy z powodu braku sił na realizację marzenia o dzikości i samowystarczalności. Siedząc w domu, myślałem o tym średnio co godzinę, widziałem siebie skulonego w szałasie, a nie siedzącego w fotelu, przy ciepłe pieca. Jedynie kiedy temperatura na zewnątrz spadała poniżej minus dziesięciu stopni, te wątpliwości jakoś znikały. Próbując zrozumieć ten mój pęd w głowie ku myśleniu o byciu Tam, w lesie, a nie Tu, przy piecu, uświadomiłem sobie, że nie chodziło jedynie o dzikość, był to jakiś ogólny żal nad kondycją ludzką. O to, że nie jesteśmy tacy jak pies czy jelen. Istotą, która może istnieć samoistnie, przemieszczać się między przestrzenią domu i przestrzenią otwartą bez ściągania czy nakładania butów i kurtek. Istotą, która nie zabiera plecaka, nie wie o pieniądzach i widelcach. Oczywiście, jednostki bliskie temu mojemu ideałowi wśród ludzi napotkać można - wśród trampów, bezdomnych, szalonych, świętych (odsyłam tu do fantastycznej monografii Jacka Sieradzana *Szaleństwo w religiach świata*), ale przyznać trzeba, że dla człowieka poza strefą równikową takie życie jest bardzo trudne. Pewnie najłatwiejszym zbliżeniem się do tego ideału jest, jak to robią niektórzy moi goście, niezmiennianie odzienia przez kilka dni.

No ale wracajmy do głównego wątku moich myśli. To znaczy do tego, co stało się potem, kiedy poniosłem porażkę...

Na swojej ziemi, na leśnej polanie, zacząłem budować szałas. Sypiałem w nich czasem, szczególnie w zimie, kiedy

miałem bardziej potrzebę bycia „na zewnątrz”. Potem byli różni znajomi, którzy się pojawiali i razem obozowaliśmy, zbieraliśmy dzikie rośliny jadalne, budowaliśmy następne szałas, nieciliśmy ogień łukiem ogniowym, siedzieliśmy.

Wpierw było niekomercyjnie. Przyjeżdżali coraz to nowi ludzie. Zawsze jednak chciałem, żeby nasze spotkania były zwarte. Przyjeżdżamy, spędzamy parę dni razem i odjeżdżamy. Nauczyłem się tego, biorąc udział w warsztatach Wojtka Józwiaka. Jedność czasu, miejsca i akcji. Wojtek nie pozwala na warsztatach pojawiać się nawet spóźnialskim. Warsztaty, spotkanie - stają się wspólnym teatrem. Tymczasem nasze spotkania bywały chaotyczne. Miało być dwanaście osób, przyjeżdżała jedna. Dwa dni za wcześniej albo dwa dni za późno. Więc wprowadziliśmy płatną rejestrację. I to działało. Ludzie zaczęli przyjeżdżać na czas. I zawsze przynajmniej połowa tych, którzy się zarejestrowali. A co najgorsze, to zaczęło przynosić kasę. Tak paleolit zmienił się w biznes. Bardzo przyjemny biznes, który wciąż traktuję w quasi-religijny sposób. Moje własne warsztaty technik prymitywnych przeżywam tak, jakbym to ja się gdzieś pojawiał u kogoś, jakbym opuszczał własny dom. To celebrowanie danej pory roku. Jeśli są wiosną, celebrowanie wiosny, latem - celebrowanie lata. To samo miejsce jest tak różne. Ludzie, którzy przyjeżdżają o różnych porach roku, przyjeżdżają w inne miejsce. A warsztaty, na początku jako ogólnosurwiwalowe, gdzie jemy, budujemy i ćwiczymy różne techniki, stały się warsztatami dzikiej kuchni. Tak wyszło. Po prostu tylko na tym się znam dobrze. Cieszy mnie, że moje warsztaty przyciągają różnych ludzi. Byli już menadżerowie firm, studenci biologii, etnologii, technologii żywności i informatyki, kontroler jakości kiełbas, stada farmaceutów, sprzedawczyni ze sklepu ze zdrową żywnością, dentysta, student rusycystyki, uczony i zarazem redaktor pisma piekarskiego, punk-garniarz z Niemiec, hipisi, killkunastu harcerzy, wojsko-

wi, sędzia, artyści plastycy i tak dalej, i tak dalej. Nie było jeszcze księdza, matematyka i mechanika samochodowego.

Spotkania na temat dzikiej kuchni wprowadzają ludzi w dziwny stan. Na łonie przyrody, ale nie sami. Daleko od domu, ale wtuleni w słomiane tipi. Osmagani dymem, w kuckach, roześmiani, z palcami ubrodzonymi gliną przy obieraniu korzeni czyścica, wydają mi się wyjątkowo pełni - z laptopami schowanymi w głębi plecaków, z tabliczkami czekolady schowanymi na zapas, są przynajmniej trochę odarci z nadmiaru cywilizacji.

Mycie i nie-mycie

Dzisiaj dzicy czasami kojarzą się niektórym z brudem czy brakiem higieny. Ale kiedy biali poznali pierwszych mieszkańców Ameryki, było odwrotnie. To biali stronili od mycia, nosili brudne, przepocone płócienne i skórzane ubrania, a Indianie często codziennie kapali się w rzecze, a oczyszczający, także w sensie higienicznym, obrzęd indiańskiej sauny był jedną z kluczowych spraw w ich społeczeństwie. Wczesnośredniowieczne łaźnie popularne były w miastach Europy. Pomimo że poziom higieny był niski, do łaźni chodzono chętnie, a była też elementem towarzyskim. Ludzie nie wstydzili się bardzo swoich ciał. Potem przyszły fale zaraz, które ograniczyły kontakty międzyludzkie, a kąpiel i łaźnia stały się czymś niebezpiecznym. Brud odpadał sam albo zostawał na koszuli. Cały XVIII i XIX wiek to czasy takiego brudu. Łaźnia parowa, sauna - pozostała jedynie w krajach najzimniejszych, gdzie łagodziła chłód i niewygody zimy.

Dla jednych ludzi powrót do natury może być i inicjacją do brudu, odreagowaniem od strachu przed kurzem, bakteriami i błotem. Dla innych powrotem do natury będzie wyjazd nad morze czy rzekę. Ablucja w mokrej części przyrody.

Betel

Jedną z podstawowych cech środków zmieniających świadomość - dziś wulgarnie nazywanych „narkotykami” lub „dopalaczami” - używanych przez ludy pierwotne, było to, że rosły na miejscu. Były czasem rzadkie, tak jak europejska belladonna, ale jednak miejscowe. Uświadomiłem sobie to, żując betel - łagodną używkę mieszkańców południowej Azji. W Tajlandii i Malezji palmy areka katechu (*Areca catechu*), których orzechy są głównym składnikiem tego specyfiku, rosną wszędzie, a pieprz betel (*Piper betle*) występuje w lesie. W skład całego zestawu do żucia, oprócz pokruszonych orzechów areki i pieprzu, wchodzi jeszcze przyprawy i mleko wapienne. Betel działa stymulująco, lekko oszałamiająco - coś pomiędzy kawą i rauszem po piwie w gorący dzień. Jak większość tradycji, używanie roślin psychoaktywnych ma swoje dobre i złe strony. Dobre, bo działa orzeźwiająco i odkaża przewód pokarmowy, działa toksycznie na wiele pasożytów. Złe, bo na dłuższą metę powoduje czernienie i wypadania zębów. Zwiększa też częstość występowania pewnych schorzeń, a najgorzej, że wyraźnie zwiększa zapadalność na pewne formy nowotworów przewodu pokarmowego. W Tajlandii jest używką głównie dla starszych wiejskich kobiet. Kiedy proszę we wsi, żeby mnie poczęstowali betelem, wszyscy się śmieją... Używanie betelu jakoś ograniczone jest do tropikalnych i subtropikalnych rejonów Azji i Madagaskaru, i tam jest na miejscu, rośnie dziko albo się go uprawia z łatwością. Używka naturalna, produkt lokalny, produkt regionalny.

Dłaczego muchomor czerwony (*Amanita muscaria*), bohater ilustracji w bajkach dla dzieci i święty grzyb plemion

Syberii, dający ich szamanom święte wizje, nie stał się u nas produktem lokalnym? Obrzędową zupą? Składnikiem świętego bigosu? Wiele osób, które eksperymentowały z muchomorami, jako przyczynę podaje nieprzyjemne sensacje, nudności, wymioty towarzyszące wizjom. Wczoraj rozmawiałem z człowiekiem, który zjadł sześć kapeluszy i był w śpiączce. Plemiona Syberii posiłkowały się tym, że pito mocz osób, które jadły muchomora. Mocz taki nie ma już podobno skutków ubocznych. Może Słowian w to nie wtajemniczono?

Dlaczego w Europie prawie nieznanym był inny lokalny produkt psychoaktywny - grzyby z rodzaju *Psilocybe*? Te małe grzybki często wyrastają na pastwiskach w jesienne, dżdżyste dni. Kiedyś tych pastwisk było więcej, ale używanie grzybków rozpowszechniło się dopiero wraz z kulturą hippisów. I proszę tu nie winić chrześcijaństwa. Bo i w ostatnim tysiącleciu na naszych ziemiach nie brak było magów, czarownic oraz zwyczajnych wiejskich pastuszków poszukujących wrażeń. Etnobotanik białostocka Ewa Pirożnikow napotkała na Podlasiu ślady tradycji jedzenia przez dzieci rośliny nazywanej *durna repka*. Nasiona lulka lub bielunia. Dzieci namiętnie je rozgryzały, a rodzice karcili je, jeśli zauważyli, że ich pociecha jest na „durnej repce”.

W Karpatach najbardziej naturalnym środkiem psychoaktywnym był chyba pokrzyk wilcza jagoda (*Atropa belladonna*). Ta roślina jest nierzadka na polanach bukowych lasów. Otoczona była specjalnym kultem w Rumunii (znana tam pod nazwą *matraguna*, przeniesioną z pokrewnej madragory). Zwyczaje związane z jej używaniem opisał barwnie Mircea Eliade w książce *Od Zalmoksisia do Czyngis-chana*. Była to roślina życia i śmierci. Mogła przynieść powodzenie, ale i katastrofę. Ambiwalentny, trudny do okiełznania sprzymierzeniec, jakich wiele na kartach powieści Carlosa Castanedy, słynnego propagatora halucynogenów.

I wreszcie łożynia, borówka bagienna, pijanica (*Vaccinium uliginosum*). W wielu wsiach w Polsce unikana jako trująca, a w innych zbierana. Czasem zjedzenie większych jej ilości powoduje odurzenie, podobne do alkoholowego. Nie wierzyłem temu za bardzo kilka lat temu. Na torfowisku koło Supraśla zjadłem dwa talerze, chwilę potem byłem w stanie już chodzić tylko na czworakach, nie trwało to jednak długo.

Jeśli już piszemy o chodzeniu na czworakach... To było moje dziecięce marzenie. W wieku trzech lat miałem długie fazy chęci bycia kimś innym niż mały chłopiec, pewnie nieobce i niejednemu z czytelników. Próbowiałem być między innymi dziewczynką i ptakiem. Bez skutku godzinami wysiadywałem kurze jaja ukradzione z kurnika.

Seminarium

Jestem znowu na naukowym seminarium botanicznym w Białowieży. Po trzynastu latach od czasu, kiedy próbowałem żyć w ziemiance i odrzucić cywilizację, zastanawiam się, co ciągnie mnie do tych ludzi, którzy pokazują prezentacje multimedialne z tabelkami i opowiadają o konkurencji między gatunkami czy rozmieszczeniem jakiegoś rzadkiego kwiatu.

Spotkania ludzi są czymś naturalnym. Chęć bycia z innymi, którzy nie są tylko naszymi najbliższymi krewnymi, to jedna z najpierwotniejszych potrzeb. Dlaczego - jeśli policzyć moje wyjazdy z domu na zloty, spotkania i konferencje - dominują te botaniczne, a nie te pod hasłem: „Hej, wróćmy do natury!”?

Większość spotkań i zlotów ludzi „alternatywnych” jest dosyć nudna. Oczywiście nie od razu. Zresztą spotkania botaniczne też mogą być nudne, a - dla większości ludzi, b - po pewnym czasie. Więc naturalność spotkania wynika z impulsu, z tego, że ludzie chcą się spotkać. A naukowe nawet miotyngi mogą mieć wiele cech plemiennych. Wieczorki, części

taneczne, narady starszych, inicjacje, a same prezentacje i wykłady - centrum obrzędu.

Botanicy różnią się między sobą. Współlokator pokoju na konferencji, na której jestem, stwierdził, że spotkania botaników od „roślin wyższych, roślin naczyniowych” są drętwe, to duża grupa botaników, starsi trzymają się ze sobą, młodzi badacze osobno. U briologów (badaczy mchów) jest inaczej. SeminaRIA są małe i wszyscy są razem. Podobno algolodzy (znawcy glonów) na dodatek dużo piją. Zoolodzy jeszcze bardziej. Może to jest tak, że istoty, które badają, są ich świętymi totemami, a sami się do nich upodabiają. Botanicy od roślin wyższych, powolni i anemiczni, grupa o silnej stratyfikacji, jak sama szata roślinna, złożona i z dużych drzew, i małych kwiatuszków. Egalitarni, skromni briolodzy, lubiący wodę i wódkę znawcy glonów, zezwierzęceni zoolodzy, eteryczni, szczupli z reguły lekkoduchy - badacze motyli.

Ogień

Ogień - pierwszy atrybut człowieka. Używaliśmy go jeszcze zanim zostaliśmy *Homo sapiens*, gdy byliśmy jeszcze jakimiś innymi *Homo*. Świadczą o tym pokłady popiołów w jaskiniach.

Ogień - dziki i niepohamowany jak pierwotny wojownik. A zarazem opanowany i kontrolowany przez dzikich - używany do odstraszenia drapieżników i do polowania na kopytne, a nawet na szarańczę. Ogrzewacz nieowłosionych małp, który pozwolił im przemieścić się tak daleko na północ.

Jako dziecko uwielbiałem wypalać trawy. Wypalanie roślinności na wiosnę ma wiele wspólnego z magią. Jedno niepozorne działanie, zapalka rzucona w suche badyle, tworzy kilkumetrowe płomienie i dymy snujące się kilometrami.

W okolicach Krosna wiele przepięknych terenów trawiastych zachowało swoją florę właśnie dzięki dzieciom podpalającym je na wiosnę. Eliminuje to oczywiście pewne organizmy, ale stwarza też przestrzeń dla wielu innych.

Kiedy udzielałem wywiadu do lokalnego radia o pozytywnych skutkach wypalania traw. W tym samym momencie zadzwonił sąsiad z wiadomością, że pali się mój las! Inna sąsiadka wypalała trawy i zajął się brzoźowo-jaworowy młodnik. Kiedy doszedłem na miejsce, straż pożarna już ugasiła ogień. I wtedy też zrozumiałem w pełni jego groźną potęgę.

Ogień dał wielką przewagę hominidom, które nauczyły się go podtrzymywać. Obronę przed zwierzętami, możliwość używania go do rzeźbienia, a co najważniejsze do przygotowania posiłków. Mięso opieczone w ogniu było wolne od pasożytów, a wysoka temperatura umożliwiała spożywanie roślin, które na surowo są trujące, ba, nawet bardzo trujące. Zwierzęta bały się ognisk, można też było wykorzystywać ogień do nagonki. Mało docenianą korzyścią z ognia jest też możliwość żłobienia naczyń przy użyciu kawałka żaru. Wielką zdobyczą była umiejętność wypalania dużych połaci lasów. Tak w Amazonii do tej pory niektóre szczepy uprawiają rośliny. Karczkuje się kawałek lasu, a kiedy ścięte rośliny podeschną, wypala się go. Ale zanim wynaleziono rolnictwo, w niektórych terenach ludzie używali ognia do polowania, czasem nawet zbierali częściowo zwęglone zwierzęta z pogorzeliśka. Zastanawiające jest to, że my, ludzie, jesteśmy zdolni do przebiegnięcia dobrych kilku metrów po rozżarzonych węglach bez poparzenia. Może to ewolucyjne przystosowanie do wybierania zdobyczy z pogorzeliśk?

Podróż w Tatry

My, ludzie cywilizacji, jesteśmy uprzywilejowani w dostępie do różnych rzeczy. Nie mówię tu nawet o pożywieniu i komforcie. Mam na myśli na przykład możliwość wejścia do samochodu i odjechania w siną dal. Poruszając się autostradami w ciągu jednego dnia możemy znaleźć się na drugim końcu Europy. Ilość przeróżnych ograniczeń, którym podlegał człowiek pierwotny, jest ogromna. Odkrywa się to już na zwykłym biwaku, kiedy zamiast ogrzewanego kaloryferem domu musimy zadowolić się grzaniem przy ogniu z zebranego przez siebie chrustu. Ale i pewne rzeczy były łatwiejsze - nie trzeba było wstawać tylko po to, żeby wysłać dzieci do szkoły albo aby pójść do pracy jedynie dlatego, żeby zarobić na egzotyczne wakacje albo na samochód lepszy niż sąsiada.

Pewne ograniczenia w dawnym życiu odkrywamy w bardzo namacalny sposób przenosząc się z miasta na wieś. Zamieniamy wybetonowany chodnik na błotnistą ścieżkę, gazowe ogrzewanie na samodzielnie rąbane drewno, a stumetrowy podjazd pod dom w zimie staje się wyzwaniem.

Kiedy kupowałem ziemię, na której chciałem mieszkać, bardzo zwracałem uwagę na ilość. Chciałem kupić jeden, duży, pojedynczy kawał ziemi, możliwie tani oczywiście, bo pieniędzy nie miałem dużo. W polskich górach, bo w górach chciałem mieszkać, trudno jednak o duży kawał ziemi. Pola są rozdrobione, rzadko który gospodarz mógł marzyć o pięciu hektarach, a chałupy na sprzedaż zwykle mogą poszczycić się tylko ogrodem. Wiele połaci pól w Beskidzie Niskim po zlikwidowanych PGR-ach było naprawdę tanich (jeszcze wtedy w 1996 roku), ale zwykle było na nich bardzo niewiele drzew. Zachwyił mnie kawałek ziemi w Pietruszej Woli na Pogórzu

Dynowskim, gdzie siedemnaście hektarów malowniczych pagórków było do sprzedania dzięki temu, że aż sześciu gospodarzy koło siebie oddało posiadaną ziemię dla państwa, na rentę. No i kupiłem. Pan, który mierzył drzewa, przed oszacowaniem do przetargu, powiedział: „Nie kupuj pan tego, tu nie ma rzeki. Ja mam na oku jeden hektar, ale przy samej Jasiołce”. Wtedy zlekceważyłem jego słowa, ale teraz rozumiem ich głębię. Co prawda, jestem zadowolony ze swojej ziemi, ale rozumiem już wartość dużej rzeki. Dolina rzeki to inny świat, inne siedliska, nadrzeczne zarośla, ryby, ślimaki, ptactwo wodne. I tak prowadząc zajęcia survivalowe, wędrujemy z mojego kawałka ziemi pięć kilometrów nad rzekę. Bo wszędzie jest tak samo, dopiero kiedy dojdzie się tam, znajduje się inne rośliny i zwierzęta. Dlatego też tak ważne dla człowieka było kiedyś posiadanie kontaktu z wielką rzeką. Tyle, że miejsce takie było łatwe do znalezienia i wytropienia przez wroga, no i atrakcyjne też dla innych. Indianie Machiguenga z Peru wytrwali w swojej prymitywnej gospodarce kopieniacko-łowiczej dzięki temu, że od rzeki byli daleko. Moja ziemia była tania, bo też była niedostępna, od rzeki daleko - coś za coś.

A więc mamy rzekę. Oczywiście przydałoby się jeszcze jezioro i morze. Ileż to użytecznych gatunków można by znaleźć w miejscu, gdzie jest i słone morze, i słodkie jezioro, i rzeczka, i las... W tym momencie widzę stolicę Estonii, Tallin, miasto właśnie tak położone.

Każda zmienność środowiska była dla człowieka pierwotnego jak magnes. Nie miał telewizora i książek, jego oknem na świat był wierzchołek wzgórza. Stąd ludzie ciągną do przyjaznych niskich wzgórz (nad rzekami oczywiście!) bardziej niż do równin. Chyba że równina styka się ze wzgórzami. Jak w Krakowie, w Turynie, Xian, Pekinie, Sandomierzu, Rzeszowie i Tarnowie. Przed nami piaszczysta równina, za nami gliniaste lub wapienne wzgórza. Inna gleba, inne kwiaty, inne drzewa. No i możliwość patrzenia w dal. Im większe góry, tym

większy wybór roślin i stref klimatycznych. Z równiny, na której jest położone Xian, możemy w ciągu jednego dnia konnej jazdy wjechać w wysokie góry sięgające szczytami 4000 m n.p.m. Z rozgrzanych gajów persymon, granatów i jujub wjechać wprawdzie w krainę dębów, potem brzoź i lip, potem jodeł, a następnie wysokogórskich zarośli i łąk. Bez samochodu może tak być tylko w wysokich górach. W południowych Chinach czy w północnych Indiach w dwa dni można przejść z subtropiku w wysokogórskie hale. Było to na wyciągnięcie ręki nawet dla żebraka. Jakie bogactwo przeżyć w porównaniu do równin Mazowsza i bagien Polesia!

Gdybym mieszkał pod Tatrami, w marcu zbierałbym sok z brzoź i jaworów na dole, a potem robiłbym to coraz wyżej, wraz z postęпами wiosny, gdzieś do końca kwietnia. Mógłbym „na dole”, na pogórzu zbierać żołądź, w reglu dolnym bukowe orzeszki, a w górnym orzeszki limby. I jeszcze na halach objadać się gotowanymi dziewięcślami.

Chyba największe zróżnicowanie biotopów na ziemi ma wschodni Meksyk. Jestem w Xalapa, stolicy stanu Veracruz, na wysokości ponad tysiąca metrów n.p.m. W strefie lasów mglistych. Ciepłej, wilgotnej. Pod miastem piętrzy się wilgotna dżungla. Łapię autobus na zachód. W ciągu dwóch godzin przekraczamy główny łańcuch górski. Mijamy bujne łąki, lasy dębowe i sosnowe, całkiem jak w Europie. Autobus z wolną stacją się w dół. Po drugiej stronie gór jest sucho. Opuncje i inne kaktusy. Grzechotniki, skorpiony i sępy. A w oddali majaczy najwyższy, ośnieżony szczyt Mezoameryki - Pico de Orizaba. A tu żar leje się z nieba. Po konsumpcji tacos w jakiejś przydrożnej budzie w El Limon Totalco zatrzymuję dalekobieżny autobus. Zawozi mnie na wybrzeże. Zjeżdżamy w dół, mijając Xalapę, a potem i strefę suchych lasów, i sawann. W Veracruz piach, kraby, ryby na targu, a niedaleko lasy namorzynowe. Wszystkie biomy ziemi w zasięgu paru dwugodzinnych podróży autobusem.

Lochy

Jeden z najciekawszych przypadków wtórnego zdziczenia, który znam, to rosyjski żołnierz z I wojny światowej, który spędził podobno w podziemiach fortu XIII w Bolestraszytach koło Przemyśla osiem lat. Zamknięty pod ziemią przez te lata wprawdzie jadł konserwy, a potem szczury. Przystosował się do ciągłego życia w temperaturze kilku stopni. Włosy miał długie, na palach szpony, nie znosił światła i hałasu. Umarł szybko po tym, jak go wyciągnięto na powierzchnię.

Historia ta może być jednak tylko legendą. Odnaleziono podobno nawet osobę, która twierdziła, że sfabrykowała tę historię w przedwojennej polskiej prasie. A propos legend, pamiętam, jak kiedyś brałem udział w zdjęciach do filmu mojej siostry w Lesie Łagiewnickim w Łodzi. Filmowano scenę, w której brała udział martwa sarna i moja córka. Była zima, mokry śnieg. Siedziałem w starym Roburze i zajmowałem się robieniem kawy i herbaty filmowcom. Znudzony kierowca zajął się sałatką, chwając się, że jest na diecie i nie je chleba. Zaproponowałem mu, żeby spróbował kiedyś koników polnych, mówiłem, że mnie zdarza się je jeść.

- Eee tam - powiedział - pan to tylko je czasem je, a gdzieś w górach jest taki facet, co się tylko owadami żywi, czytałem z nim wywiad w Wyborczej.

Oczywiście miał na myśli wywiad ze mną, ale tak łatwo zamienić *czasem* na *zawsze*.

Rousseau

Pisząc o dobrym dzikusie, nie można nie wspomnieć Rousseau. Jean-Jacques Rousseau był szwajcarskim pisarzem francuskojęzycznym, jednym z najwybitniejszych twórców oświecenia. Rousseau jest chyba najbardziej znanym w historii literatury piewą naturalnej harmonii dzikości. Był (teoretycznie) wrogiem cywilizacji. W swojej pierwszej rozprawie napisał: „Usuńcie ten nieszczęsny postęp, zabierzcie nasze błędy i nałogi, zabierzcie wytwory cywilizacji, a wszystko będzie dobre”. Swoją negację postępu, pieniądza, pracy zarobkowej i cywilizacji zawarł też w swoim dziele pedagogicznym: *Emil, czyli o wychowaniu* (1762). Jego książki uzyskały wielki rozgłos, był jednym z najbardziej wpływowych myślicieli swoich czasów. Jednak Rousseau jest jednym z najlepszych przykładów niezgodności teorii i praktyki. Jego idee były wzniosłe, egalitarne, postępowe, anarchistyczne w dobrym tego słowa znaczeniu. W praktyce oddał kilkoro swoich dzieci do przytułku, a sam był utrzymankiem bogatych kobiet.

Naturalny i dziki

W książce tej przeplatają się ciągle dwa przymiotniki *dziki i naturalny*. „Słownik współczesnego języka polskiego” tak definiuje termin naturalny:

1. zgodny z naturą; niesztuczny, prawdziwy, rzeczywisty;
2. właściwy komuś lub czemuś z natury; wrodzony, przyrodzony;

3. nie budzący wątpliwości; oczywisty, normalny;
4. swobodny, niewymuszony, szczery, zwyczajny.

Definicji tego, co dzikie, w pełni nie przytoczę, bo obejmuje ona dużo dłuższy ciąg synonimów niż dla naturalnego. Obszar znaczeniowy *dzikiego* to nie tylko *naturalny*, ale i *szałony*, *nieokielznany*, *brutalny*, *nieprzystosowany*.

Nie wszystko, co naturalne, jest chyba dzikie. Człowiek naturalny raz będzie okrutny i niepohamowany, innym razem łagodny, zreleksowany, bierny. Będzie dziki jak łagodny dzikus i nie-dziki poprzez swój brak zdziczenia.

Matriarchat i patriarchat

My, Indoeurpejczycy, przyzwyczajeni do dziedziczenia nazwisk po ojcu, autorzy wielkich światowych wojen, zafascynowani wojownikami i zdobywcami kosmosu, stoimy bardziej po stronie patriarchatu. Co prawda ostatnie dziesięciolecia przesuwają szalę na korzyść kobiet i ich wiodącej roli w społeczeństwie (matriarchatu). A jak było na początku? Tego nie wie nikt. Oczywiście można przypuszczać. Zainteresowanych odsyłam do dzieła Zygmunta Krzaka, właśnie pod tytułem *Od matriarchatu do patriarchatu*. Krzak jest fanem matriarchatu. Twierdzi, że występował w społecznościach paleolitycznych, leży u początków ludzkości, a dalsze losy ludzkości kierowały się ku patriarchatowi. Nie wszyscy się jednak z nim zgadzają. Na pewno wielu antropologów powie, że na początku istniała większa równowaga między płciami. Faktem jednak jest, że był podział ról. Współcześnie istnieje tylko jedno plemię zbieraczy-łowców, filipińscy Agta, gdzie kobiety polują. Banalny podział na kobietę rodzicielkę i zbieraczkę oraz mężczyznę-łowcę jest w większości wypadków jak najbardziej prawdziwy. Jeśli nawet matriarchatu na początku nie

było, to u znacznej liczby pierwotnych społeczności łowieckich czy kopieniacych dziedziczenie następuje w linii żeńskiej. Czy to nie logiczne? Przecież matka jest zawsze pewna, że to jej dziecko, a kto jest jego ojcem, nie jest takie oczywiste. Z tej perspektywy nasz system dziedziczenia nazwisk jest śmieszny. Niektórzy noszą nazwiska mężów swoich matek, które poczęły z sąsiadem czy listonoszem, czy roznosicielem pizzy (to nowa kategoria w porno-stronach, *pizza sex*). Ich nazwiska są bezużytecznymi etykietami. Zdziwiał jednak z drugiej strony fakt, że, jak podaje Ferraro w swojej *Cultural Anthropology*, w aż 36% tradycyjnych kultur na Ziemi brakuje odrębnego słowa „matka” lub inaczej - nazywa się nim też jej siostry lub nawet inne dalsze krewne!

Współcześnie przyzwyczajeni jesteśmy także, żeby równo traktować wszystkich swoich przodków, tak samo mamę taty mamy, jak i mamę taty taty. W wielu kulturach przynależy się jedynie do linii męskiej albo żeńskiej, liczy się przodków w linii prostej - kto był matką, matką matki matki matki albo ojcem ojca ojca ojca. To drugie jak w Biblii przy wyliczeniach przodków Józefa z rodu Dawida. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że wszyscy nasi przodkowie są równi. Tak jednak nie jest do końca. Te dwie linie - czysto żeńska (po kądzieli) i czysto męska (po mieczu) niosą najwięcej wspólnej dla nas informacji genetycznej. Nasze DNA jest zgromadzone głównie w chromosomach w jądrze komórkowym. Jednak jedna odrębna nić DNA jest przechowywana w mitochondriach - organellach komórkowych. Przodkowie owych organelli przed miliardami lat byli bakteriami, które zamieszkały w naszych komórkach. Mitochondria mają poczesne miejsce w procesach oddychania i zapisane w nich mogą być pewne choroby genetyczne związane z oddychaniem komórkowym, objawiające się na przykład nieprawidłową pracą mięśni. Ale, co najważniejsze, mitochondria mamy tylko po mamie. Plem-

nik ich nie posiada, żyje krótko. Mitochondria są przekazywane tylko przez komórkę jajową. I w przeciągu historii zmieniają się tylko przez dosyć rzadkie mutacje. Więc porównując dwa osobniki, ilość mutacji, którymi się różnią, jesteśmy w stanie powiedzieć, ile pokoleń temu ich linie oddaliły się od siebie. Tak powstała koncepcja „mitochondrialnej Ewy”. Tak ostatecznie udowodniono, że nasza linia zaczęła się w Afryce.

Na szczęście dla panów można też badać linie czysto męskie. Chromosom Y, odpowiedzialny za płeć męską, jest przekazywany tylko przez plemnik. Tak można porównywać różne linie osób z tym samym nazwiskiem. Sprawdzić czy wszyscy pochodzą od tego samego niedawnego przodka. Ostatnio skontaktowała się ze mną pani o tym samym nazwisku, co ja. Zapłaciła za test genetyczny dla mnie, po to, żeby porównać mój chromosom Y z chromosomem jej brata. I co się okazało? Sekwencje były takie same... Potem wyszło, że nasze rodziny pochodzą z dwóch sąsiednich wsi, a nasze rodzinne linie rozeszły się w XIX w.

Party

Stoję pod halą, w której jest party. Migają światła, łupie muzyka techno. Panny na kwasie i extasy wyginają się rytmicznie.

Miałem kolegę antropologa, który - kiedy wyciągałem płytę ze współczesną muzyką - krzywił się jakby miał wypić szklanek octu. „To nie dla mnie” - mówił - „Kultura upadła, zanikła tradycja, to śmieci”.

A mnie Ci ludzie tak bardzo przypominali plemienne tańce. I było to takie ciekawe, że jemu nie. Dla niego liczyła się linia przekazu. Coś, co miało przekaz niejasny, naderwany, nie

liczyło się. I było to takie niespójne. Sam fascynował się szamanami, którzy przekaz dostawali od duchów, a nie ojców... Znów dochodzimy do konfliktu między tradycją i objawieniem, konfliktu między faryzeuszami a Jezusem. Faryzeusze, przedstawiciele tradycji, i Jezus głoszący coś nowego. „Po owocach ich poznacie” - te słowa przypomniałem mojemu Antropologowi. Party też poznacie po owocach.

Wierzenia religijne dawno, dawno temu zmieniały się szybciej niż te we współczesnych kościołach. Może prawie tak szybko, jak współczesny internet. Ludzie wchodzili w bezpośredni kontakt z duchami, a prorocze sny modyfikowały ich zachowania. Warto tu wspomnieć książkę *Two Leggings: the making of a Crow warrior* Petera Nabokova. Czyli *Dwie Nogawice* (imię bohatera): *kształtowanie wojownika z plemienia Wron*. Historia duchowego rozwoju jednego człowieka, w dużej mierze przekaz autobiograficzny. Opowieść o poszukiwaniach wizji i snach Indianina Prerii. W książce tej widać wielką labilność tradycji. U większości Indian Prerii obrzęd szałas potu odbywa się w małym wigwamie z jednym wejściem od wschodu. Jednak bohater książki miał wizję, że plemię ma się oczyścić, wchodząc do szałas z dwoma wejściami - od wschodu i zachodu. Niezgodne z tradycją. Niebezpieczne. Ale Starsi pozwalają na odprawienie obrzędu, aby zmierzyć moc snów Dwóch Nogawic. Obrzęd przynosi powodzenie (chodziło chyba o polowanie na bizona). Moc snów została potwierdzona. Uczestnicy techno-party napiszcie do mnie, czy wasze wizje po LSD uzyskały moc? Owoce mówią o wszystkim. DNA naszych dzieci to nasze podstawowe owoce. Nasze wizje zostały tak pre-uformowane, że ich owocem ma być rozkwit naszego plemienia, dzieci, dzieci, dzieci. Owoce przynoszą tylko te party, w (może długofalowym) wyniku których coś się poczęło.

Krzyżowanie z szympansem

Aby niedowiarkom potwierdzić naszą oczywistą bliskość z małpami człekokształtnymi, należałoby przeprowadzić eksperyment krzyżowania człowieka z szympansem. Wcale to takie jednak oczywiste nie jest, bo nasze genomy różnią się o jedną parę chromosomów. Ale nie mówię o tym swoim studentom, tylko poważnie pytam: „Kto z Was (za duże pieniądze zakładam) podjąłby się próby skrzyżowania z szympansem?”. Odpowiedź zadziwia mnie. Trzy czwarte z pań na sali podnosi rękę (były to studentki dydaktyki języków obcych). Żaden z panów. Panie twierdzą, że nie ma wielkiej różnicy między mężczyzną i szympansem. Zadzwoił dzwonek i nie udało mi się ustalić do jakiego stopnia chodziło o pieniądze.

Liczby naturalne

Liczby naturalne są od Boga. Ułamki wymyślił diabeł. Pierwotni zbieracze-łowcy nie byli ekspertami od matematyki. Nauka poznała plemiona, które liczą tylko do trzech, czterech czy pięciu. Prawdziwym szokiem były jednak wyniki badań nad językiem Piraha. Plemię Piraha mieszka w dorzeczu Amazonki, w Brazylii. Ma język, który przez dziesięciolecia fascynował lingwistów, nikt nie potrafił go zrozumieć. Piraha nie znali innych języków, nie można więc było użyć tłumaczy. Dokonał tego dopiero antropolog i lingwista Daniel Everett. Człowiek ten poświęcił całe prawie życie badaniu tej grupy ludzkiej. Przybył tam z rodziną jako protestancki misjonarz. Został jednak przy okazji przez plemię nawrócony, a raczej odwrócony - bo

nie mają jakiegoś wyrazistego systemu wierzeń. Piraha nie wierzą w duchy. Czasem je widzą. Jeśli duchów nie widzą, nikomu nie uwierzą, że są. Ich język nie ma nie tylko liczebników, ale i słów do nazwania kolorów, nie ma liczby, rodzaju i czasów. Lud ten nie pamięta wydarzeń poza dwa pokolenia wstecz. Mówi się o tym, co jest w zasięgu terażniejszości, rzadziej - niedalekiej przeszłości. Ludzie osadzeni w konkrezie. Po co komu liczebniki? Przecież Kasia i Andrzej to nie to samo, co Kasia i Ania. Everything makes a difference.

Nienawidzę tego kraju

Kiedy wracam z zakupów w pobliskim Krośnie, szczególnie w szary, zimowy dzień, zwykle myślę: „Nienawidzę tego kraju, nienawidzę tych ludzi”. Ileż to razy rozmawialiśmy z Sarah o przeniesieniu się do innego państwa. Nasze palce wodzą po mapie świata. Anglia? Maroko? Tajlandia? Indie? Ameryka? Oboje nienawidzimy głupawych gęb sprzedawczyń w krośnieńskich sklepach, ich skwaszenia, strachu przed rozmową, niechęci do interakcji.

Jako że większość zbieraczy-łowców było nomadami, nie wędrowali zwykle byle gdzie - krążyli po swoim terytorium, odwiedzając, zależnie od pory roku, miejsca odpowiednie do polowania i zbierania roślin. Australijscy Aborygeni uważali, że oni nie posiadają ziemi, ale ziemia posiada ich. Nie było więc mowy o pozostawieniu ziemi, gdzie leżą prochy ich przodków, gdzie strzegą ich duchy.

Tymczasem bardzo wielu współczesnych poszukiwaczy neo-dzikości ucieka od miejsc skąd pochodzą. Młodzi, kochający naturę ludzie zmykają ze smaganych zimnym wiatrem krajów północy: Holandii, Niemiec, Wielkiej Brytanii. Przenoszą się nad Morze Śródziemne albo dalej, gdzieś w tropiki.

Inni wolą właśnie północ, gdzie pomimo trudnych warunków, są miejsca o pustej dzikiej przyrodzie, jak Alaska, która pociąga bohatera „Into the Wild”.

Ja wybrałem opcję pozostania na swoim miejscu. Po kilku latach życia w Warszawie powróciłem w rodzinne Karpaty. Od miejsca, gdzie spędziłem dzieciństwo, odszedłem dwanaście kilometrów. Można ten odcinek przejść w dwie godziny... Zamieszkałem we wzgórzach, które były dla mnie, dziecka, mitem. Porośnięte lasem pagórki na horyzoncie wydawały się nieosiągalne. Można więc powiedzieć, że niedaleko w życiu zaszedłem.

Ale wciąż waham się. Nienawidzę zimy. Nie powiem, że kocham upały, ale każda temperatura poniżej dziesięciu stopni wydaje mi się nieludzka. Uciekłbym gdzieś chętnie, w jakieś subtropikalne góry o rześkim, ale ciepłym klimacie. Robiłem sobie kiedyś test na facebooku pt. „Jakiej narodowości jesteś?” Wyszło mi że Berberem.

Powstrzymują mnie duchy. Tkwią powiązany odwieczną pepowiną narodzin, uwikłany w sieć istnień, które żyły niedaleko miejsca, gdzie teraz mieszkam. To naturalna konserwatywność.

Kiedy miałem dwadzieścia trzy lata byłem bliski rozpoczęcia studiów doktoranckich w Oklahomie. I pewnego dnia miałem sen. Był marzec. Wypalone trawy, wspinam się na wzgórze pod Krosnem, kopię dół na szczycie. A w nim świeci złoty kielich. Na pół metra wysoki. Kiedy zbudziłem się rano, odwołałem swoje plany wyjazdu, a po południu dostałem list, że przyznano mi stypendium Fundacji Nauki Polskiej. Dziesięć tysięcy złotych, co pokryło prawie połowę ceny ziemi, na której teraz mieszkam.

Ale wciąż czekam na moment, kiedy duchy przodków powiedzą mi: „Możesz iść”. Wygrzebię wtedy z cmentarza w Krośnie kości moich dziadków, wypoleruję je, zawinę w lniany worek po praprababce i pójdę przed siebie w góry Atlas. *Msha Allah.*

Samotność i wspólnota

Poszukiwacze dzikości to często pojedynczy śmiałowie, dziwacy, szaleńcy, mistycy. Czasem zdarzają się pary. Rzadko wspólnoty. Tymczasem życie człowieka pierwotnego przebiegało w grupie, w plemienu. W wielu plemionach samotne oddalenie się do dżungli jest uznawane za śmiertelnie niebezpieczne. Grożą nie tylko węże, ale i duchy.

Życie w pierwotnej wspólnocie to nie tylko sąsiedztwo ciał i działań - to także inne postrzeganie zakresu ludzkiej wolności i ego. W społecznościach pierwotnych jednostka była zupełnie przypisana wspólnocie. Człowiek nie istnieje osobno. Odrzucenie przez grupę to największa kara, porównywalna z karą śmierci.

Papuasi

Nowa Gwinea jest przykładem powszechnego błędu w stereotypach świata zachodniego. Kojarzy się z dzikimi ludźmi zaszytymi w dżungli, mającymi przebite kośćmi przegrody nosowe i zjadającymi swoich krewnych. Kanibalizm rzeczywiście do niedawna tam się zdarzał (może zdarza). Nowa Gwinea to jednak kraj rolników. Plemiona Nowej Gwinei uprawiają różne lokalne rośliny jadalne, czasem budują nawet wielkie rowy irygacyjne na swoich polach oraz hodują świnię. Ich osławione zamiłowanie do kanibalizmu mogło być spowodowane niewielką ilością mięsa (większość pożywienia to rośliny dające skrobię). Stąd też w Nowej Gwinei jada się tak wiele owadów. Podobnie jest w północnej Tajlandii, gdzie dla bied-

nych mieszkańców prowincji Isaan, żywiących się głównie ryżem, złapane koniki polne, pluskwiaki czy cykady nie są wykwintnym daniem, ale przede wszystkim źródłem białka i cennych kwasów tłuszczowych.

Żubr

Żubr to król Puszczy. Nie tylko Białowieskiej. W Wysokiej Strzyżowskiej też jest królem. Siedzę tu w knajpie u Kameruna i piję swojego żubra z browaru Dojlidy. Siedzę i piję razem z niejakim majstrem Noga.

- Ty, Staszek, powiedz mi, dlaczego chłopcy tak teraz piją tego żubra?

- Bo fajnie se na żubra popatrzeć - rzekł mądrym tonem Noga machając przy tym palcem.

Trans

Można się długo kłócić o to, czym jest trans. Trans to worek, do którego wrzuca się różne stany świadomości, inne od świadomości codziennej. Stany, w których częściowo przynajmniej nie reagujemy na bodźce z otoczenia. Nawet oglądanie telewizji może być transem.

Plemienni szamani przy uzdrawianiu i wieszczeniu często padali na ziemię, w drgawkach, z pianą na ustach, czasem nieczuli na ból do tego stopnia, że można ich było kłuć ostrymi narzędziami. Dopiero w takim stanie świadomości zdolni byli do efektywnego działania.

Rzeczywistość codzienna rozprasza. Zmiana stanu świadomości pozwala na inne spojrzenie na docierające do nas

bodźce. Z jednej strony dostrzeżenie bodźców trywialnych, niedostrzeganych w normalnej świadomości - jak w przypadku spożycia grzybków czy LSD. Z drugiej strony ogniskuje energię psychiczną, moc. Sposób życia codziennego człowieka, bogactwo bodźców, czynności krótkie, przerywane innymi, dostatek pokarmu utrudniają wejście w trans. Trans osiąga się albo używając roślin czy grzybów mocy, albo tańcząc przez wiele godzin, albo głodując, albo nie śpiąc przez wiele dni, albo słuchając rytmicznej monotonnej muzyki, ALBO wszystkie te rzeczy na raz.

Muzyką, która szczególnie sprzyja stanom „transowym”, autosugestii i jasnowiedzeniu są rytmy theta (4-7 Hz). Taką częstotliwość fale mózgowe przejawiają przed zaśnięciem. Na granicy snu i jawy.

Potęę rytmicznej muzyki znały nie tylko plemiona pierwotne. Także europejska piechota już od XVI w. znała moc marszu w rytmie i moc bębna. Monotonne modlitwy, różaniec i litanie stymulują podobne stany.

Cukier

Cukrzyca jest chorobą dwudziestego pierwszego wieku. Jest chorobą pełnego talerza. Poza niewielkim procentem diabetyków, którym „coś się zepsuło”, reszta zapracowała sobie na to. Ludzie, którzy niedojadają, którzy wędrują, poszcza, polują, żywią się mięsem dzikiego zwierza pieczonym w zawiątku z liści, nie mają cukrzycy. Jest ona ceną za frytki, lemoniadę i ptasie mleczko, za samochód i za kanapę z telewizorem. Jesteśmy cywilizacją cukru.

Przez wieki zmagania się z głodem za wszelką cenę próbowaliśmy się najeść. Pierwotni zbieracze-łowcy też często

byli najedzeni. Ale nie zawsze. Czasem głodowali. A ich pożywienie to chude mięso, włókniste bulwy, orzechy, miód czasami. Czasy zbieraczy-łowców to czasy niskiego cukru, niskiego poziomu cukru we krwi. Sprzyjało to transom, wizjom, halucynacjom. Holistycznemu spojrzeniu na świat, kontaktom z duchami. Przy niższym stężeniu cukru we krwi, takim na granicy normy, nie jesteśmy w stanie myśleć, myśleć jak naukowiec, informatyk czy księgowy, ale nasze mięśnie wciąż mogą pracować, możemy śpiewać, mówić, iść i mieć wizje. Kiedy poziom cukru nam się trochę podnosi, kiedy nie jesteśmy głodni, robimy się mniej ruchawi i bardziej skłonni do myślenia, planowania, knucia, intrygowania. Taki był dwudziesty wiek. A dwudziesty pierwszy? Czy będzie wiekiem takiego poziomu cukru, że wszyscy pograżymy się w cukrzycowej śpiączce?

Dziki miód

Jak piszę w tej książce w innym miejscu, większość tropikalnych ludów pierwotnych zna miód i go kocha. Ścina się czasem stumetrowe drzewa, aby zdobyć jedną dziką barć. Od dawna marzyłem, aby znaleźć w lesie dzikie pszczoły. Ale klimat u nas surowy, trudno o to. Pszczoły przyszły same. U sąsiada założyły gniazdo w ścianie domu, w wełnie mineralnej. Wielkie królestwo wypełniło cały szczyt chaty sąsiada Ronka. Pewnego dnia myślałem że Ronek oszalał. Rozebrał cały szalunek. Kiedy podszedłem bliżej zobaczyłem, że stoi przy nim tuzin wiaderek. W każdym plastry ociekające miodem.

- Robimy dziką ucztę? - zapytał.

Plastry były pyszne. Wosk i miód, miód i wosk, nie powinno się ich rozdzielać. Razem są najlepsze. Prawdziwie dzikie pszczoły z wełny mineralnej.

Dziwożona

Dziwożona? To połączenie słów „dziwa” i „żona”, czyli „dzika kobieta”. W niektórych językach słowiańskich do tej pory „diwy” to dziki. W dziwożony wierzył gdzieś u nas lud (miały też i inne nazwy). Porywały nowo narodzone dzieci. Podmieniały je i zostawiały swoje, brzydkie. Miały długie, obwisłe do ziemi piersi. Mieszkały w lesie, dzikie kobiety. Położnice, aby ochronić się przed nimi, musiały obkładać nowo narodzone dziecię dziurawcem (nazywanym „dzwonki”).

Dziwożony i ich specjalną roślinę, słodyczkę, spopularyzował Goszczyński. Występują w jego poematach *Sobótka* i *Dziennik podróży do Tatrów*. Dziwożony mają jeszcze czerwone czapeczki ze słodyczką. Słodyczka to mała paproć, oficjalnie „paprotka zwyczajna”. Ma słodkie kłącza, które gdzieś jadały dzieci i pastuszkowie. W Jaśle w XIX wieku nawet je sprzedawano na targu. W *Sobótce* Goszczyński zamieścił następującą pieśń obrazującą inicjację na dziwożoną:

*Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą*

Odpowiedź

Czy jest odpowiedź na pytanie czy można powtórnie pozostać dzikim człowiekiem? I tak, i nie. Całkowity powrót do zbieracko-łowieckiego trybu życia, bez żadnych zdobyczy cywilizacji, jest możliwy w umiarkowanie przynajmniej ciepłym

miejscu na krótką metę: kilka tygodni, najwyżej kilka lat. Jest to wybór ekstremalny, bez szansy na wychowanie potomstwa. Wybór dla samotnych desperatów lub grup pustelników. Im więcej oczywiście cywilizacji zostawimy sobie, tym większa szansa na nasz sukces. Liczą się nawet drobnostki: płótno na szalasa, butelka po wodzie mineralnej, denko od konserwy do zrobienia noża, butelka oleju, kilo mąki, a najlepiej karta kredytowa na sznurku, podmiejski śmietnik albo rodzina, która nas przetrzymuje.

Ewolucja

Dziewiętnastowieczni ojcowie antropologii, tzw. ewolucjoniści, zakładali, że społeczeństwa rozwijają się od „dzikości” - czyli pierwotnych zbieraczy-łowców, poprzez „barbarzyństwo”, do „cywilizacji”. Potem teza ta była zwykle kontestowana przez ich następców, ale obecnie często się do niej powraca. Neoewolucjoniści pokazują, jak wielkie znaczenie dla kultur ma to, ile mogą wyprodukować jedzenia i w jaki sposób. Zbieracze-łowcy potrafili wyżywić bardzo mało osób z jednego kilometra kwadratowego. Efektywność użytkowania (wyzyskiwania!) ziemi rosła wraz z doskonaleniem metod rolniczych. Wraz z rozwojem rolnictwa, coraz mniejsza liczba bardziej udoskonalonych gatunków była nas w stanie wyżywić - od jakości przechodziliśmy do ilości. Od dziesiątków gatunków zwierząt naziemnych, wodnych i roślin spożywanych przez przeciętnego zbieracza-łowcę doszliśmy do sytuacji, gdzie znaczna część populacji ziemi żywi się kilkoma gatunkami zbóż, warzyw i zwierząt. Poza nielicznymi bogaczami z wierzchołka tej piramidy i niedobitkami dzikich ludów. Dzięki obniżeniu kosztów jedzenia mamy jednak więcej wolności w innych sferach - przemieszczaniu się, wybieraniu zawodów, posiadaniu.

Ci, którzy chcą powtórnie powrócić do życia jako zbieracze-łowcy, nie powinni tego reklamować. Gdyby nawet jedna czwarta rodaków ich posłuchała, w ciągu roku ogołociliby oni kraj ze wszystkich jadalnych zwierząt i większości jadalnych roślin, a i tak byłiby głodni.

Czy warto więc próbować? Tak, ale z pełną świadomością porażki i szansy... na częściowy sukces. W przyrodzie jest wiele niewykorzystanych nisz. Częściowy powrót do zbieracko-łowieckiego trybu życia jest więc wskazany, dopóki nie obniża on tej wielkiej wartości, którą wciąż zachowaliśmy - współżycia kilku miliardów ludzi z wieloma milionami gatunków organizmów na ziemi. Szukajmy więc grzybów w lesie, albo wybierzmy się od czasu do czasu na ryby i zbierajmy pokrzywy do zupy. Przetrzęsajmy też lokalne śmietniska i zjadajmy nietknięte frytki pozostawione w barze, ale nie zostawiamy pułapek na żubry i nie rzucajmy kamieniami w ptaki.

Okresowy powrót do paleolitycznego żywota można potraktować jako nowy obrzęd. Powtórnego nawiązania kontaktu z naturą. Nie ma sensu porzucać nagle wszystkich wytworów cywilizacji, bo pozzeramy się nawzajem. Ważne jednak, aby zachować każdy maciupki element naszych paleolitycznych obyczajów. Dla dobra naszej psyche i naszego ciała. Od tak niedawna jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

Chyba największe zaległości są w szkole. Szkoła, która kilka godzin dziennie włącza dzieciom nienaturalne liczby i nienaturalne wiadomości.

Pedagodzy powinni zamiast tego obowiązkowo zabierać dzieci do lasu, na jeden miesiąc, do samodzielnie skonstruowanych szałasów. Dzieci powinno kąpać się od czasu do czasu w zimnym jeziorze i kazać im wykopywać dzikie bulwy. Wyrzucić ze sklepików szkolnych batoniki i coca-colę. Niech w szkole stoi beczka z kiszoną kapustą i bochen chleba na zakwasie, wędzone ryby i gomółka sera.

Niech dzieci znają wszystkie kwiaty w swoim lesie. A w Wielkim Tygodniu trzeba je przegłodzić ze dwa dni na specjalnym obozie w środku wielkiego lasu.

Niech dzikość będzie piramidą - to co jest nam wszystkim ludziom wspólne i zdrowe, jej podstawą, a to, co dziwne, rzadkie, trudne, ale wciąż potrzebne zakamarkom duszy - jej wierzchołkiem.

Noc świętojańska

Tomasz mieszkał w bloku we Wrocławiu, ale kochał góry, las, potoki, włóczęgę. Każdy weekend spędzał na świeżym powietrzu ze swoją dziewczyną. Oboje pracowali w biurze, więc ciągnęło ich na wieś. Zamówili sobie u znajomego tipi, indiański namiot, rozstawili go za wsią, pod lasem, na ich prywatnej łące, którą niedawno kupili. Co drugi weekend, zamiast łązić po górach, spędzali w nim piątkową i sobotnią noc. Zapraszali też znajomych. W sumie uzbierało się grono kilku miłośników natury. Łowili ryby, zbierali grzyby, ćwiczyli wspinaczkę po drzewach.

Jego żona wraz z przyjaciółką wyjechała na kilka dni na wczasy *last minute* do Chorwacji. Tej soboty siedział sam w swoim szałasie. A miała być to noc świętojańska. Rozpalił małe ognisko i patrzył w ogień. Widział swoimi oczyma prasłowiańskie orgie, które odbywały się w ten dzień. Dzikie wrzaski, pary kopulujące gdzieś po krzakach. No właśnie, jak to robili, dobierali się w pary czy pieprzyli się na jednym placu? Pozostało to tajemnicą historii, sam by wołał pewnie na placu.

Oczami wyobraźni widział grupkę swoich przyjaciół świętujących to święto. Pewnie nie dałoby się ich namówić. A może? Kolejne wersje tej orgii przychodziły mu do głowy. Był jednak osobą bardzo praktyczną i ostrożną. A AIDS, a cią-

że? Są prezerwatywy, ale nienawidził ich. Może lepiej byłoby się onanizować w kręgu ogniska? Albo przywiązać kobiety do drzew? Nie wyobrażał sobie, żeby jego przywiązywać, nie wytrzymałby, był ruchliwy, mówili, że miał ADHD. Kupić paczkę z lateksowymi rękawiczkami i zmieniać je, masując każdą nową cipkę? A może założyć maski zwierząt? Widział kiedyś taki film o orgii w maskach. Tymczasem miał tylko maski kołędników: pasterz, herod i turoń. Pewnie wszystkie kobitki chciałyby być pieprzone przez turoń... A może lepiej użyć jakichś naturalnych materiałów do masażu? Owoców cisu, wielkich bezskorupowych ślimaków? A może jednego i drugiego, lateksowe rękawice zanurzyć w papce z leśnych owoców? A może bić się po genitaliach brzoзовymi gałązkami? Wytarzać się w glinie? W popiele? Eskalacja jego pomysłów i wyobrażeń doprowadziłaby go pewnie do wytrysku, gdyby nie szelest. Do szałasu wszedł wioskowy sąsiad, Radek:

- Pożyczyłbyś dwajścia złotych? - mówi.

- A na co? - dopytuje się Tomasz.

- Robimy ognisko na Świętojanki.

- Dzisiaj ja stawiam - powiedział dumnie Tomasz.

Pojechali do miejscowego sklepu. Tomek kupił dwa-dzieścia piw (może wystarczy?) i półtora kilo kielbasy.

- I to będzie impreza - powiedział Radek. - Alkohol, kielbasa i dziewczyny, a nie jakieś tam powroty do natury, he, he.

Tomek zabrał się za rozpalanie ogniska, a Radek poszedł po „ekipę”. Przyszło jeszcze dwóch chłopaków i trzy dziewczyny. Znał ich wszystkich. Po paru piwach impreza zaczęła się rozkręcać, rozmowa zaczęła się kleić (najpierw miał wrażenie, że nie mają o czym rozmawiać).

Radek zapytał:

- A wy to się bardzo podczas tych indiańskich zlotów pieprzycie?

Tomek odpowiedział:

- Nie bardzo, w sumie wszyscy mają ochotę, ale jakoś tak nie wychodzi - odpowiedział Tomek.

- To co, może ino pijecie? - zapytał Radek.
- Właściwie nie pijemy, chcemy powrócić do natury - skwitował Tomek.
- No i cały w tym problem, u nas jak jest krzynka piwa i ognisko, z tym nie ma problemu. Nie trza nam żadnego powrotu do natury, natura sama do ciebie przychodzi - odparł Radek. - Zobaczysz dzisiaj - szepnął.

Elektryczność

To, jak elektryczność zmieniła życie człowieka, widać kiedy jakaś wichura zerwie kable sieci. Dezorganizacja odbywa się na dwóch poziomach. Na poziomie organizacyjnym nie możemy używać komputera, rozmrażają się zapasy w lodówce i tak dalej. Istnieje jeszcze poziom percepcji świata. Przyzwyczajeni jesteśmy do silnego oświetlenia aż do wieczora. I nagle wieczory stają się długie, musimy godzinami tkwić w mroku rozświetlanym świecą czy ogniem z kominka. Brak światła to świadomość mroku, skradanie się wieczornej ciemności, większa wrażliwość na dźwięk. To także zwiększenie tolerancji na brud. W ciemności jakby mniej obchodzą nas rozsypane na podłodze okruchy. Zasypia się wcześniej, a rano wita słońce jak prawdziwe bóstwo. Wykorzystuje każdą godzinę, jak biedak ssący każdy okruch chleba.

Wpadła mi ostatnio do ręki angielskojęzyczna książka *Jak żyć bez elektryczności* opowiadająca o życiu Amiszów. Amisze to protestancka grupa chrześcijan, którzy negują postęp. Zatrzymali się na etapie rozwoju, kiedy powstałi. Powstałi jako odłam mennonitów, z niewielkiej grupy dwustu osadników przybyłych w XVIII w. do USA. Obecnie jest ich kilkadziesiąt tysięcy. Zachowali dialekt języka niemieckiego. Są bardzo konserwatywni w swojej recepcji zdobyczy tech-

niki. W wielu aspektach zamarli jakby na poziomie XVIII wieku, chociaż poszczególne gminy decydują o akceptacji pewnych wynalazków, na przykład budek telefonicznych. W domach nie mają elektryczności i wielu innych udogodnień, które uzależniałyby ich od świata zewnętrznego.

Amisze są żywym dowodem na to, jak niewiele potrzeba człowiekowi do szczęśliwego funkcjonowania. Dostatecznie efektywnie gospodarują bez użycia nowoczesnego sprzętu rolniczego. Mają konne powozy, a telefonów w domach się nie używa. Wierzą, że takie wynalazki odstręczają od normalnych sąsiedzkich spotkań.

Amisze odmawiają też płacenia ubezpieczeń społecznych, posyłania dzieci do szkoły dłużej niż do czternastego roku życia (mają własne szkoły), szczepień i służby wojskowej. Z tych powodów popadali w liczne zatargi z władzami stanowymi, ale zwykle wygrywają! Może wspólnota paru tysięcy ludzi ma już swój głos. Zadziwia trwałość ich przekonań i wierność, a także niski procent odstępstw od wspólnoty (około dwadzieścia procent).

Dupa

Wieśka mieszka na skraju wsi. Ma osiemdziesiąt osiem lat, ale wygląda na sześćdziesiąt. Jest bezdzietną wdową. Schludna chata, ładny ogródek, kilka kóz, stary sad. Taki trochę sielski krajobraz. Jest prostą kobietą, ale mądrą i przenikliwą. I zna się na ziołach. Chata jak na „europejskie standardy” jest zakopcona, zajdziona brudem, no ale wietrzy się często. Wieśka też poubierana w jakieś łachmany. W domu pachnie kompotem jabłkowym, włoskimi orzechami poukładanymi w kartonach, i myszami.

Kiedy pytam, czy nie przeszkadzają jej myszy, odpowiada: „Nie, ale szczury tak, bo gryzom”. Innym razem mówi: „Raz mi się myszy potopiły w kiszonyj kapuście. Ciemno było, ale żem je ługotwała. Dobrze były, ino chrupały”.

Nie pali dużo w piecu. Trochę gałęzi z lasu przynosi, zawsze opatulona w te łachmany, pewnie tak i śpi.

Fascynuje mnie jako symbol harmonii. Może sam będę taki, jak będę stary?

Szukając w niej mądrości, jakiejś mediterranejskiej czy kaukaskiej diety cud dla stulatków, pytam, co je:

- Chleb z masłem, chleb ze smalcem, ji z pasztetem. I kwaśne mliko. Co tam jest. Nie wybrzydź.

- A jak zdrowo żyć? - pytam.

- Trza pacierz mówić i trochę dupę ruszyć. Jak bym sama na polu nie robiła i drzewa nie rombała, i tymi pekaesami jeździła, to już bym na cmyntorzu leżała. Dupę trza ruszać, to najważniejsze. Czy zimnioki plewić, czy z chłopem, czy bez górę do tego drugiego sklepu dzie chlepek tańszy, czy w koło placu trzydzieści razy. Dupa musi w ruchu być.

Nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry

Dumki Jacoba Wojciecha Jankowskiego to niewielka sympatyczna książeczka, która zainspirowała mnie do napisania tej historii. Podsunęła też formę. Krótkie przemyślenia o różnych rzeczach, też o powrocie do natury, gdyż Jacob mieszkał kiedyś w Beskidzie Niskim. Wpadła mi w łapy na Wołowcu, właśnie w Beskidzie Niskim, gdzie leżała na półce agroturystyki. Czuję się kontynuatorem tamtej książki. Swoją mógłbym nazwać *Dumki Łukasza*.

Przez parę lat zbierałem się, żeby tę książkę zamówić i jakoś zapomniałem. Aż tu pewnego dnia dostałem list od samego Jacoba - przysłał mi książkę z dedykacją! Pomyślał o mnie, słysząc o moich działaniach i warsztatach. Jak miło.

Skazenie

Byłem w gościnie u znajomych. Wyjątkowo jadłem chipsy - coś czego zwykle nie robię, no ale był Nowy Rok, a ja po dwóch piwach. Skończyły się, kurczę. A ja zmiąłem papierek i odruchowo wrzuciłem do pieca. Gospodyni wykrzyknęła:
- Łukasz, nie spodziewałam się tego po tobie!

Tłumaczyłem się, że to przez nieuwagę, ale ona dalej była struta. Skaziłem jej piec. Może po raz pierwszy znalazło się w nim coś ohydneho. Plastikowa torebka, z której jak demony wyskoczą dioksyny i inne rakotwórcze świństwa. I w sumie miała rację. Mało kto ma świadomość jak straszną rzeczą jest spalanie plastiku. Przynajmniej tu u nas, na wsi.

I wtedy zacząłem się zastanawiać, czy z dzikością jest jak z unikaniem skażenia czy jak z masą krytyczną. Te dwie opcje można rozważać przy próbie osiągnięcia czegokolwiek. No więc weźmy skażenie. Zakładamy, że istnieje jakiś pierwotny idylliczny stan dzikości. Jakiś Zbieracz-Łowca w Pierwotnym Lesie. Wystarczy, że pokażemy mu jakieś paciorki albo aparat fotograficzny, albo damy mu plastikową butelkę i przestanie być pierwotnym człowiekiem. Możemy też skazić, „odpierwotnić” Pierwotny Las. Wyciąć w nim wążutką ścieżkę przez środek, jedno drzewo, małą polanę albo wytepić w nim wszystkie żubry.

I teraz koncepcja masy krytycznej. Założmy, że aby zostać dzikim człowiekiem, trzeba zebrać ileś tam punktów. Po przekroczeniu pewnego progu jesteśmy Dzicy.

Za chodzenie na grzyby, wędkowanie i spacery po lesie - po jednym punkcie.

Za życie w lesie, w szalasię przez cały rok - 365 punktów. Po jednym za każdy dzień.

Za zbieranie dzikich roślin - też jakieś punkty.

I za polowanie na sarny, i za jedzenie ślimaków, i jedzenie robaków.

Jeszcze zależnie z jakiej broni polujemy. Jak z dubeltówki, to przemnożyć to przez jedną drugą. Za nieposiadanie zapalek - punkty.

Za poglądy animistyczne - 20 punktów.

Za każdą żonę więcej niż jedna - po 100 punktów.

Za osiągnięcie transu przynajmniej raz w roku - punkty.

Za subincyzję członka - punkty.

Za każdy procent kalorii uzyskiwany dziennie bez pieniędzy - punkty.

Za chodzenie nago - też jakiś punkcik.

Za grzebanie w podmiejskim śmietniku - jeden punkt.

Za jedzenie jeży i kotów rozjechanych przez samochody - też punkty.

I tak dalej, i tak dalej. Osiągnąwszy rocznie 1000 punktów zostajemy Nowym Dzikim Człowiekiem. Idolem harcerzy i niektórych antropologów. I nieważne, że postanowiliśmy być dzikim człowiekiem przez jedenaście miesięcy, z zastrzeżeniem, że zrobimy sobie miesięczne wakacje do cywilizacji, gdy zostaniemy profesorem antropologii, który będzie opowiadał o tych 11 miesiącach. Nawet moglibyśmy wśród studentów werbować nowych członków plemienia, wykładowców antropologii/pedagogiki/socjologii/psychologii dzikości. *A może wilderness science?*

Kot

Bolek miał dom na wsi, ale drugi nieopodal odziedziczył po babce. Jako że czuł się trochę samotnie, chciał żeby ktoś ciekawy w nim mieszkał. Pozwolił w nim przezimować parze znajomych. Hania i Paweł byli frikami (od angielskiego *free*). Nie mieli stałej pracy, ale co roku odkładali coś, pracując w Norwegii. Fajnie się z nimi dogadywało, dbali o chatkę, wysprzątała ją, odmalowali. Wszystko OK, tylko ten kot.

Bolek nienawidził zwierząt. On, miłośnik przyrody, hodował różne cudne rośliny w swoim ogrodzie, kochał też pokrzywy, z których robił zupę, i łosie zaglądające mu do okna. Nie rozumiał jednak, po co ludzie trzymają zwierzęta w domu. Hania była wegetarianką, miała na dodatek alergię na koty. Ale jak tylko się sprowadzili, ktoś wcisnął jej kota. Kupowała mu raz w tygodniu kawał kaszanki. Kot był jednak wybredny i miauczał przeraźliwie, domagając się jego ulubionych makreli. Myszy zabijał, ale ich nie zjadał.

Minał rok. Hania i Paweł znów wyjeżdżali do Norwegii. A potem na wyprawę do Indii.

- A co z kotem?- zapytał Bolek.
- Zostawimy go tobie, będzie sobie jadł myszki, a czasem mu podrzucisz jakieś resztki.
- Ależ ja nienawidzę kotów.
- Nie opowiadaj, jesteś przyrodnikiem.
- Ale ja go zabiję i zjem.
- Nie opowiadaj, żyj wibracjami miłości, daj mu wolność.

Hania objęła Bolka na pożegnanie i dodała:

- Poradzi sobie.

Bolek jednak dotrzymał słowa. Naostrzył chiński tasak do warzyw, który kupił na wietnamskim bazarku w Warsza-

wie, chwycił kota za kark, pogłaskał, tamten mruknął przyjemnie. I nagle zawył, krew trysnęła po ścianie, kot wykręcił się w spazmach, drasnawszy nieco oprawcę. Cięcie było jednak bardzo celne. Wykrwawiwszy się w strasznych konwulsjach, znieruchomiał.

Bolek oparł kota, jak się oparwia królika. Głowę zamroził w całości w osobnym woreczku w zamrażalniku. Z reszty zrobił gulasz. Było tego dosyć dużo. Jadł przez dwa dni. Taki z cebulą i marchewką. Trochę mu już zbrzydł, więc dorzucił kiszzonej kapusty, grzybów i suszonych śliwek. Bigos. Eksperymentalnie (i trochę żeby zabić koci zapach) dodał kawał pasty krewetkowej i sosu sojowego.

Nachylał się nad pierwszą miską tego niby-bigosu. Do domu zastukała Hania.

- Bolek, zapomniałam ci oddać książkę. A co to tak ładnie pachnie?

- Bigosik.

- Szkoda, że jestem wegetarianką.

- E tam, to taki z krewetkami tylko.

- No dobra, skuszę się.

Bolek nabrał miskę, starając się nie wrzucać kawałków kota.

- Pycha, a ten kawałek? To ryba?

- Nie, twój kot.

Od tego dnia nosił na ręce głęboką bliznę po zębach Hani.

Dynamic Landscape

Czytam właśnie świetną monografię *Dynamic Landscape*, którą redagowali Nigel Dunnett i James Hitchmough. Zajmują się tym, co ja - pograniczem ekologii i projektowania ogrodów. Tworzą niby-naturalne krajobrazy w angielskich

miastach i je badają. I pomyślałem sobie o tym, że o poszukiwaniu natury przez człowieka można by myśleć jak o odtwarzaniu dzikiego krajobrazu w mieście, w miejscu gdzie został zniszczony.

Autorzy pracy opisują całe spektrum działań ogrodowych, które idą w kierunku natury. A więc na pierwszym miejscu odtwarzanie środowisk. Na przykład zakładamy w naszym ogrodzie las, który ma być wierną kopią lasu rosnącego na takich glebach w okolicy. Robimy listę gatunków, przenosimy sadzonki z sąsiedniego lasu, zbieramy nasiona, nawet zaszczepiamy odpowiednie mikroorganizmy i grzyby, przenosząc fragmenty gleby. No a jak byłoby to z ludźmi? No trzeba by na przykład zebrać kilku ochotników, potomków jakiegoś doniedawna-dzikiego plemienia, przetrenować ich w surwiwalu, przekazać wiedzę, którą zebrali etnografowie i umieścić dokładnie w tym samym środowisku, w kraju, w którym żyli ich przodkowie. Takim trochę podobnym eksperymentem (tylko nie powrotem do natury!) było utworzenie państwa Izrael.

Wreszcie istnieją inne formy naturalizowania krajobrazu. Wybieramy pewne, tylko rodzime, gatunki. Nie zależy nam na takim bardzo dokładnym odtworzeniu całego ekosystemu, tylko odtworzeniu jego podstawowych funkcji. No więc tu byłoby podobnie - nie pilnowalibyśmy, czy to plemię zachowuje się dokładnie tak, jak to plemię zachowywać się powinno. Po prostu wypuścilibyśmy tych ludzi w interior. Ważne, że odpowiednich ludzi w odpowiedni teren. Może przeżyją.

No i mamy jeszcze taką możliwość, że sadzimy jakies różne piękne i wyglądające w miarę „naturalnie” gatunki drzew, krzewów i kwiatów, ale nie rodzime, tylko pochodzące z innych kontynentów. I pozwalamy im rosnąć w sposób naturalny, dziko, niekontrolowanie. Ludzkim odpowiednikiem tego byłoby wybranie grupy jakichś ochotników - surwiwalowców, hipisów, naukowców dzikologów-ekologów i wypuszczenie ich „na wolność”, żeby tworzyli nowe plemię dzikich ludzi.

Czwarta opcja to sadzenie rodzimych roślin, ale nie w sposób chaotyczny, dziki, naturalny, lecz po miastowemu, w alejkach, klombach, rządках między pasami jezdni. A to odpowiadałoby daniu przestrzeni życiowej ostatnim zbieraczom-łowcom w naszej cywilizacji, jakichś praw łowieckich, na przykład żeby mogli polować na gołębie na krakowskim rynku.

Plemię

W roku 2006 Sarah położyła na stole gazetę.

- To coś dla ciebie - powiedziała.

Bohaterami artykułu była dwójka Brytyjczyków, Bene Keene i Mark James, którzy założyli internetowe plemię. Ale nie żadne forum, grupę wsparcia, zainteresowań. Oni wypożyczyli wyspę na Oceanii, na Fidżi, wynajęli od jakiegoś plemienia. Na wyspę można przyjechać za opłatą. Oczywiście można wszystko uregulować kartą kredytową, logując się na stronie www.tribewanted.com. Potem oglądałem reportaż z tej wyspy. Pokazywano postęp prac nad budową różnych budynków. Nie, nie łudźmy się, budowy nie prowadzili członkowie Plemienia Białych, lecz członkowie miejscowego plemienia polinezyjskiego.

Łowczy

Moja książka powoli kończy się. Cyzeluję akapity i słowa. Laptop na kolanach, brzoźowe drwa trzaskają w piecu. Ktoś puka. Wchodzi Maciek ze wsi za górką.

- Napijesz się kielicha na moje imieniny? - pyta.

- No dobra, wchodź.

Nie lubię nagłego pijaństwa, ale w sumie lubię tego człowieka, wiem że nie przegina, napijemy się po szklance i pójdzie spać. No ale był już bardzo pijany, zauważyłem, jak już siadł. Położył na stole wiatrówkę.

- Będziemy z tego pili?

- Nie - z kieszeni wyciągnął flaszkę - noszę ją czasem przy sobie, wiesz, zima, zające, bażanty.

I znów przypomniałem sobie współczesnych łowczych.

- Zawsze trochę mięsa będzie dla ciebie - zagałem.

- Chuj, nie mięso, nie ma kilo z takiego bażanta. Ale jaka saty-fa-cja wymamrotał. Wiesz, pach, pach, krew, od razu czujesz że nie jesteś do dupy. - I tu zarżał, zachichotał. - Nie wiedziałeś że Wielki Łowczy jestem, Wielki, Największy, wszystkie sarny powystrzelom - zarżał i padł na ziemię. Ofiara ukraińskiej wódki Blagoff i własnej wielkości.

Dziki Życie

Lubię słowo dziki, dlatego nazwałem swój ogród, swoje przedsięwzięcie: *Dziki Ogród*. Chyba też naturalne jest to, że czytam *Dziki Życie* - periodyk *Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot*, społecznej organizacji broniącej ostatnich dzikich ekosystemów naszego kraju. Zawsze bliscy mi byli ideowo, w przeciwieństwie do tych, którzy tylko bronią wigilijnych karp.

Otwieram nowy numer *Dzkiego Życia* - zauważam motto, które mogłoby być mottem tej książki, ale nie będę go już temu pismu podkładał: „Kultura odcinająca się od dzikiego życia w otaczającej nas przyrodzie, a także odcinająca się od dzikiego życia, które jest w nas samych, skazana jest na różne niszczące zjawiska, prowadzące prawdopodobnie aż do jej zniszczenia”. To napisał Gary Snyder.

Gary Snyder to wybitny amerykański pisarz i artysta, przedstawiciel pokolenia lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, związany przez pewien czas z tzw. *back-to-the-land-movement* („ruch powrotu do ziemi”).

Pomimo tego, że wraz z rozwojem kultury materialnej w kulturze ludzkiej wzrasta znaczenie miasta i dużych zbiorowości, cały czas, szczególnie w okresach kryzysu obecny był przeciwny prąd chęci powrotu do natury i cichego wiejskiego życia. Taki powrót sławiła już starożytna poezja. Ocalił życie wielu ludzi w czasie Wielkiego Kryzysu w latach trzydziestych w USA czy w czasach okupacji hitlerowskiej w Polsce. *Back-to-the-land-movement* to czas amerykańskiej kontrkultury, hipisów, kontestacji amerykańskiej idei postępu. Na wieś przenosiło się wielu intelektualistów, działaczy, poszukiwaczy lepszego świata. Ziemia była wtedy jeszcze bardzo tania. Jak zwykle w przypadku takich ruchów po kilku latach okazywało się, że znaczna część wracała do miasta. Ci, którzy pozostali, potrafili łączyć możliwości stwarzane przez dany teren, czy dochody z rolnictwa, z jakąś dodatkową pracą, jak pisarstwo lub specjalistyczne rzemiosło.

Millions are rotting here

Millions are rotting here - tu gniją miliony! Tak do zachodnich turystów zachwyconych dzikością Puszczy Białowieskiej krzyczy pewien przewodnik. Jadą konną bryczką przez puszcze pełną olbrzymich, powalonych drzew. Gnijące kłody są domem dla wielu gatunków grzybów i owadów. Ale można by je przerobić na deski (na pewno zrobiłby to mój sąsiad). Przyjmując opcję na pomnożenie naszego gatunku, musimy się utrzymać przy życiu. Większość drzew trzeba przerobić na

deski i opał, a ziemię uprawiać. Jednak takie świątynie dzikości są konieczne i musimy do nich wracać. Problemem współczesnego człowieka nie jest to, że marzy o tym, żeby na powrót być zupełnie dzikim. Nie. Marzy o tym, żeby mieć przynajmniej namiastkę dzikości i warunki środowiska, do jakich jest stworzony - czystą wodę i powietrze, las, do którego można pójść na spacer, miesiąc urlopu pod namiotem, czas na opowiedzenie bajki dzieciom i na wędkowanie.

A co by było, gdyby nagle jakiś despota, przywódca ponadnarodowego rządu albo koalicja amerykańsko-chińskorosyjska ogłosiła, że rolnictwo i hodowla są zakazane? Przez jakiś czas jedlibyśmy zapasy zbóż i zarżnięte bydło. Potem przeczesalibyśmy okoliczne lasy, wyjedlibyśmy większość jadalnych bulw. Ale za dużo byłoby nas, żeby się w pełni nasycić. W Polsce przypada tylko jeden hektar na każdego człowieka. Pięćdziesiąt razy za mało, żeby wyżyć z lasu. Napychalibyśmy brzuchy liśćmi - pokrzyw, lipy, ostów i innych roślin (przetrenowali to Irlandczycy w dziewiętnastym wieku, Chińczycy pół wieku temu, a niedawno obywatele Korei Północnej). Jednak nasz przewód pokarmowy nie jest stworzony do jedzenia samych liści. Wydęte brzuchy wypełnione byłyby zieloną masą, której nie mamy rady w pełni wykorzystać. Gówna byłoby zielone. Chętnik pisał o głodzie na Kurpiach, że ludzie budzili się rano głodni, cały dzień zbierali pokrzywy i jedli je, a wieczorem i tak byli głodni. Ludzie zaczęliby się pożerać nawzajem. Upadłaby cywilizacja, wielkie blokowiska porósłby dżunglą, jak świątynia Angkor Wat między Tajlandią i Kambodżą. Jak piramidy Majów. Albo bżem czarnym i iwą, jak gruzy Warszawy po wojnie (Londyn zarósłby pochodzącą z Chin budleją - która panoszy się tam na murach). A jakby się już przerzedziło, buntownicy powróciliby do uprawy roli. Chyba, że znaleźliby jakiś dobry sposób na regulowanie populacji, żeby nie było ich za dużo i żeby można znów żyć samymi bulw-

kami i jeleniami. Choć pewnie zawsze znaleźliby się jacyś głupcy, którzy chcą mieć tuzin dzieci, które znów zmuszone byłyby odbudować cywilizację, żeby utrzymać się przy życiu.

Pan

Wszyscy, którzy chcą powrócić do natury, powinni modlić się do greckiego bożka. Nazywa się Pan. Przedstawia się go z owłosionymi nogami kozy i z kozimi rogami, często z członkiem w stanie wzdrodu. Towarzysz nimf, symbol witalności, wiosny, życia i seksualności. Jego imię pochodzi od słowa oznaczającego pastwisko. Pan skupia w sobie wiele z tego, co współczesna cywilizacja wyparła, a co leży w naturze człowieka.

Pan o włochatych nogach, ciekawe, czy podnieca czy odraża kobiety, tak obsesyjnie depilujące włosy nie tylko na swoich nogach i pachach, ale nawet najmniejsze ślady owłosienia łonowego. Człowiek dziki to człowiek „trochę-owłosiony”. Z drugiej strony już od prehistorii mamy do czynienia z walką człowieka z owłosieniem. Indianie z lubością wrywają sobie resztki swojego skąpego owłosienia ciała, a archeologiczne ślady potwierdzają, że już tysiące lat temu wymyśliliśmy sobie różne fryzury.

Pan kojarzony jest często z orgiastycznością. U niektórych po słowach „dziki, naturalny”, jak diabeł z pudełka wyskakuje wizja nagich dzikusów kopulujących w dosyć dowolny sposób, jak mają to w zwyczaju szympansy (sprawdziłem to, rozdając studentom ankiety). Jednak jak wspominałem wcześniej, seksualność naszych dzikich przodków mogła być dosyć siermiężna. Duża seksualna swoboda czy orgie ograniczone są zwykle do pewnych specyficznych warunków - ja-

kiegoś wielkiego święta, żałoby czy wielkiej obfitości pokarmu. Co innego sama swoboda seksualna, wiążąca się z ryzykiem niechcianych ciąży i jeszcze bardziej niechcianych chorób, a co innego pewna wymyślność, która jest kulturowo bardzo relatywna. W jednych kulturach publiczne obnażanie genitaliów jest czymś zupełnie normalnym, w innych absolutnie szokujące, samo w sobie nie niesie jednak bezpośredniego biologicznego zagrożenia.

Chyba nie jesteśmy specjalnie biologicznie zaprogramowani do orgii, ale do poligamii na małą skalę tak! Orgie pozostają zwykle w sferze erotycznych marzeń, posądzania innych albo przeżyć dla nielicznych. Zachowania orgiastyczne można znaleźć w przeróżnych kulturach - od zbieraczy-łowców (na przykład w Australii), poprzez orgiastyczne obrzędy magiczne kopieniaczy (czasem nakazujące wszystkim mężczyznom seks homoseksualny), po współczesność - z jej klubami i swingersami. O orgie posądza się często Innych: Dzikich, Naszych Przodków, Nasze Dzieci, Amerykanów, Świadków Jehowy, Hipisów lub inne niewielkie grupy od nas odstające.

Siedząc kiedyś na stacji kolejowej London Euston znalazłem książkę pod tytułem *How to organize an orgy (Jak zorganizować orgię)*, nie pamiętam niestety autora. Taka broszura-poradnik, może z serii *Zrób to sam* czy dodatek do jakiegoś miesięcznika. Autorzy w bardzo poważny sposób podchodzili do sprawy, dyskutując na przykład, czy należy na orgię wysyłać pisemne zaproszenia, w którym momencie się rozebrać i jak ustalić kto z kim. Jednak stwierdzili, że podstawowy problem to mała wydolność mężczyzn, którzy po paru orgazmach zupełnie wysiadają, pozostawiając pewną liczbę kobiet beczynną. I konkludują, że najważniejsze to proporcja - dwóch mężczyzn na jedną kobietę.

Na niskim cukrze

Może zastanawiasz się czytelniku dlaczego moje notatki są tak krótkie. Dlaczego każdej myśli nie rozwijam w dłuższe traktaty, nie opatruję ich w większą ilość odnośników, detali, cytatów. Nie mogę. Piszę książkę na niskim cukrze. W mojej rodzinie jest dużo cukrzycy. Wielu moich krewnych ją odkryło kiedy mieli 40-50 lat. Już w dosyć zaawansowanym stadium. Nie mam jej jeszcze, ale co kilka miesięcy sprawdzam cukier glukometrem, zawsze kiedy czuję się dziwnie. Nie jem słodczy, jem mało chleba, jem albo jajka, albo łososia, albo makaron gotowany al dente. Zauważyłem, że abym pisał coś naukowego, coś wymagającego niezwyklej precyzji myśli, gdzie każde słowo jest ważne, muszę mieć poziom cukru powyżej 100, może nawet 110, 120. Kiedy jednak wracam z długiego spaceru, rozgrzany, wymęczony, pełen jestem wizji, krótkich myśli, jak przebłycki wojownika na koniu polującego na zwierzynę, jak myśli piechura wędrującego cały dzień, jak marzenia przymierającego głodem wiejskiego pastuszka. Więc składam je do kupy. Kolekcjonuję jak liście z lasu. Ale nie karmię ich cukrem, ani batonikami, ani cappuchino, ani nawet jedną łyżką cukru w kawie. Karmię je spacerem, podróżą, ciszą, herbatą z piołunu albo zwykłą czarną z cytryną, zaskoczeniem, yerbą, muzyką, nocą, dniem, wspomnieniem.

Hipisi i postęp

Silne w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ruchy hipisowskie domagały się gruntownej przemiany stylu życia i świadomości. Promowały między innymi równość, brak własności, braterstwo, miłość, równouprawnienie, poszanowanie dla przyrody. Eksperymentalne komuny hipisów w większości jednak poniosły klęskę, a większość byłych hipisów założyła zwyczajne rodziny i wtopiła się w krajobraz ekonomiczny Ameryki. Ale to tylko pozory. Tak naprawdę wiele postaw hipisów zostało przyjętych przez ogół społeczeństwa zachodniego. Inne może kiedyś będą. Pewnie podobnie jest z powrotem do natury. Wiele naszych obecnych marzeń o powrocie do niej zostanie wkrótce spełnionych, inne nie, bo wynika to z bezwzględności ekonomicznego rachunku. Czterdzieści lat temu, jeśli chciałbym zostać intelektualistą czy wykładowcą wyższej uczelni, musiałbym mieszkać w dużym mieście - Warszawie, Krakowie czy Lublinie. Dzisiaj, wraz z postępem internetu, telefonii cyfrowej i z dostępnością prywatnych samochodów, mogę mieszkać na podkarpackiej wsi, kilkaset metrów od wsi, otoczony łąkami i lasem, i tylko raz czy dwa razy w tygodniu opuszczać swoją knieję, aby prowadzić zajęcia w mieście. Oczywiście nie każdy tak żyje, ale wielu. A więc pewien powrót jest.

Czego jeszcze brakuje, aby ludzie byli bliżej natury i bliżej modalnego dzikiego człowieka, a co byłoby możliwe z punktu widzenia ekonomicznego?

Na pewno większe wykorzystanie naturalnych materiałów, powolne odrzucenie tworzyw sztucznych i innych trucizn. Absolutna reforma szkoły - więcej natury, mniej sterylności.

Większa akceptacja nagości - taka jak w Danii czy Niemczech (paradoksalnie jednych z najmniej „naturalnych” narodów!). Jeśli ustabilizuje się liczba ludzi na świecie - powolne ograniczenie rolnictwa opartego na wielkich, zchemizowanych plantacjach. Legalizacja poligamii - akceptuje ją większość tradycyjnych społeczności - i nie rozumiem dlaczego, skoro akceptujemy małżeństwa gejów - nie mogliśmy legalizować małżeństw jednej kobiety i dwóch mężczyzn albo na odwrót! Legalizacja marihuany i innych naturalnych używek ziołowych. Przemiana systemu pracy - tak, że większość z nas będzie samozatrudniona i nikt nie będzie wymagał, żeby pracować osiem godzin - odtąd - dotąd. Większość ludzi lubi pracować i będzie pracować cztery czy dziesięć godzin dziennie - tylko dlaczego mamy to robić jak niewolnicy, w konkretnych godzinach?

Popiół

Teraz popiół kojarzy się nam z brudem, ale kiedyś tak nie było...

Stos pełen brudnych naczyń, wczoraj piekliśmy torcik urodzinowy dla Sary. Misa pełna tłustej mazi, pomimo tego, że leję gorącą wodę i płyn do mycia naczyń. I wtedy przypominam sobie letnie obozowanie i szorowanie garów piaskiem i popiołem. Sięgam do popielnika w piecu, wrzucam do gara garść popiołu i szybko kończę zmywanie.

Najprostsze i najlepsze rozwiązanie. Czy po to rozwinięliśmy cywilizację, żeby zamienić popiół na płyn do mycia naczyń?

Współcześni ludzie boją się popiołu nie tylko dlatego, że zbrudziłby im koszulę. Palimy różne świństwa - plastiki i kolorowe gazety. Czysty popiół, w którym tak przyjemnie się wytarzać, zamieniliśmy na brudny i nikomu niepotrzebny.

Cieszę się z postępu, z elektryczności i samochodu, ale postęp można zaakceptować tylko, jeśli nie unicestwia naszych dóbr pierwotnych: czystej ziemi, wody i powietrza, swobody przemieszczania i innych wolności człowieka, prawa do beczynnego leżenia w hamaku kilka razy dziennie, bycia z rodziną i przyjaciółmi, bliskości lasu i wody czy posiadania własnego kominka i paleniska.

Cyganie

Jednym z synonimów dzikości w europejskiej kulturze są Cyganie. Dawniej wędrujący, bez stałego zajęcia, nieuprawiający roli. Mają ze zbieraczami-łowcami wiele wspólnego, na przykład nomadyzm i życie w zwartych, niewielkich grupach. A zbieractwo-łowiectwo uprawiali, traktując społeczności rolnicze jako obcy ekosystem. Polowali więc na wioskowe kury i zbierali warzywa uprawiane przez innych. Oczywiście nie zawsze i nie wszędzie. Ale znali się też i na dzikich produktach. W Polsce zbierali pokrzywy i mrówki do zup, a chyba w całej Europie szczególnie cenili jeże pieczone w glinie.

Tak jak pisałem wcześniej, Cyganie to nie tylko naród. To pewien symbol, mem, idea, sposób życia. Stąd niespokrewnieni z nimi Morscy Cyganie w Indochinach. I Niby-Cyganie, New Age Travellers w Wielkiej Brytanii - czyli różne grupki współczesnych „białych” nomadów, wędrujących po świecie w samochodowych przyczepach. Pewien człowiek ze Stanów opowiadał mi, jak w czasach hipisowskich wędrował przez kontynent - na lato do Kanady, na zimę do Gwatemali, jak wędrowny ptak.

Wojciech Józwiak, astrolog i badacz snów, twierdzi że w ważnych snach często pojawia się Obcy, nierzadko w postaci właśnie Cygana. Ja sam miałem kiedyś taki sen, kiedy

mieszkalem jeszcze w Warszawie i pracowalem w ogrodzie botanicznym. Bylem w Hiszpanii. W spalony sloncem dzien ucieklem w cienista, waska uliczke. Przy jednym wejsciuzobaczylem male drzwi, a przy nich, jak kolumne, dwumetrowego zywego jesiotra, stojacego pionowo i mrugajacego do mnie okiem. Wszedlem do srodka. Byly tam trzy czarnowlose kobiety: mloda, w srednim wieku i stara. Ta stara podeszla do mnie i powiedziala: "Teraz musisz nauczyc sie cyganskiego jezyka". Byl rok chyba 1996. Minelo czternaście lat - a ja wciaz sie go nie nauczylem. Ale moze to byla metafora?

Bieszczady

Bieszczady dla Polakow to obecnie symbol dzikosci. Zawsze troche niedostepne i zalesione, naprawde dzikie staly sie po drugiej wojnie swiatowej w wyniku wojny z ukraińska partyzantka. Wysziedlona sila ludnosc ukraińska, Bojkowie, pozostawila opuszczone domy i zgliszcza. Prawie wszystko to poroslo lasem. Przez ostatnie kilkadziesiat lat Bieszczady przyciagaly uciekinierow i poszukiwaczy przygod. Tych, ktorzy chcieli stworzyc sobie nowe zycie, pasc bydlo, bawic sie w kowbojow, mistykow, pustelnikow, leśnikow, pierwszych osadnikow albo po prostu po cichu przycpac.

Ten zdziczały teren jednak wiele osob rozczarowuje. Wilgotne, mgliste doliny porosnięte sa pokrzywami po szyje i olchowymi zaroślami na dawnych polach. Gdyby rosł tu prawdziwy pierwotny las byłoby i łatwiej i przyjemniej po nim chodzic. Byłyby tu wielkie buki i mniej klujacych w nogi jezyn. Takie fragmenty sa, ale glownie na stromych polnocnych zboczach.

Jesteśmy zwierzetami sawanny, kochamy wielkie przestrzenie przeciete pojedynczymi drzewami. Wielu Bieszczadnikow narzeka na brak przestrzeni, karczuje otoczenie chaty,

pozwała zwierzętom wygryźć teren, usawannić go. Sam kocham taki półotwarty teren i na swojej ziemi w niedalekim Pogórzcu Dynowskim swoją ziemię też usawanniam. Nie mam co prawda wielkich roślinożerców, poza kilkoma odwiedzającymi mnie sarnami, ale co roku wynajmuję traktorzystę z kosiarką, który kosi teren, pozostawiając pojedyncze drzewa - z daleka jak sawanna, co prawda nie akacje, ale brzozy i iwy.

Bieszczady są teraz rozjeżdżone przez auta terenowe i warszawskich snobów. Niektórzy amatorzy dzikości uciekli do pobliskiego Beskidu Niskiego, ale ten, rozreklamowany przez Andrzeja Stasiuka też stał się drogi. To jest problem poszukiwaczy dzikości - czasem stają się swoją karykaturą. Tak jak ja, kiedy po krótkim czasie mieszkania na wsi kupiłem sobie samochód. O karykaturalizacji samorozwoju wspomina Gurdżijew w książce *Fragmenty nieznanego nauczania* Uspeńskiego. Jednym z największych niebezpieczeństw rozwoju jest niebezpieczeństwo znalezienia się na odwrotnym biegunie. Poszukiwacze fortun kończący w rynsztoku, guru żądni pieniędzy i kobiet, miłośnicy sportu ze złamanymi kończynami i miłośnicy dzikości, ratowani przez helikoptery i hamburgery.

Szaman

Jednym z największych zagrożeń dla człowieka poszukującego dzikości jest totalitaryzm. Państwo czy religia, które chcą totalnie umodelować i kontrolować człowieka. Przykładem bezpośredniego konfliktu między Naturalnym Człowiekiem i totalitaryzmem jest Inkwizycja. Średniowieczny kościół w wielu krajach doprowadził do oblędu niszczenie wielu śladów dawnych wierzeń, obrzędów i tradycji magicznych, a szczególnie tradycji używania roślin psychoaktywnych. Na stosach płonęły tak zwane czarownice. Oprócz zupełnie nie-

winnych, przypadkowych osób, było też wiele zielarek, które znały sposoby użytkowania silnych roślin psychoaktywnych rosnących w Europie, na przykład lulka czarnego, pokrzyku wilczej jagody i mandragory. Tradycja robienia halucynogennych maści wiedzmic, ich receptura, zupełnie zaginęły w terrorze średniowiecza. Pewne szczątki średniowiecznej magii zielarskiej można zobaczyć w krajach islamskich. Na sklepikach Marrakeszu w Maroku wciąż sprzedaje się na kilogramy mandragorę, harmal i inne psychoaktywne rośliny. Kiedy pewien sklepikarz zobaczył moją sześciomiesięczną wtedy córkę, powiedział: „Ładna jest, musisz jej dawać harmal, żeby ktoś jej nie zaczarował złym okiem”.

Inny konflikt Naturalnego Człowieka i totalitaryzmu to czasy stalinizmu na Syberii - eksterminacja tamtejszych plemiennych szamanów.

Słowo szaman pochodzi właśnie z Syberii, a potem Rosjanie rozprzestrzenili je dalej na inne języki. Pierwotnie oznaczało syberyjskiego maga, który uzdrawia, wchodząc w trans przy użyciu bębna i/lub halucynogennego muchomora czerwonego. Terminu szaman używa się zwykle w szerszym ujęciu - na określenie jakiegokolwiek człowieka, który stara się kontrolować rzeczywistość, wchodząc w odmienne stany świadomości - czy to spontanicznie, czy przy pomocy medytacji, postu, fizycznych cierpień, braku snu czy środków halucynogennych.

Czym różni się szaman od kapłana? Kapłan odprawia obrzędy, kapłan wie, modli się. Szaman bezpośrednio rozmawia z duchami i mocami - w tym względzie kapłani-mistycy, jak ojciec Pio, są szamanami.

Znaczna grupa antropologów uważa, że szamanizm to pierwotna religia ludzkości. Im prymitywniejsze plemiona badamy, tym więcej szamanizmu. Trzeba jednak zaznaczyć, że u wielu grup zbieraczy-łowców brakuje funkcji szamana. Jednak szamańska wizja świata jest zawsze w powietrzu, a cały świat jest

pełen duchów. Animizm - wizja świata pełnego duchów, dusz i sił, z którymi można wchodzić w różne relacje (szamanizm jest jego częścią) - jest prawdziwą pierwotną religią.

Na Syberii szamani wspomagali się muchomorami czerwonymi. Jednak po drugiej stronie Pacyfiku, w Ameryce Północnej, tamtejsi czarownicy i wielcy wojownicy, medicine-men, osiągnęli podobne rezultaty przez posty, okaleczanie i muzykę. Wystarczy jednak posunąć się dalej na południe, do Meksyku, a tam znów napotkamy szamańskie rośliny mocy - peyotl, bielun i grzyby halucynogenne, opisane na przykład w książce Carlosa Castanedy *Nauki Don Juana*.

Szamana często kształcili starsi szamani, ale mogło to być spontaniczne powołanie: chore dziecko, które się same uleczyło, dziecko nękanie przez duchy włóczęące się po lasach, osoba porwana przez ducha, a w swoich wizjach zupełnie zniszczona, zjedzona, pokrojona - złożona ponownie jako człowiek mocy. W Polsce o szamanizmie dużo pisał nieżyjący już profesor Andrzej Wierciński.

Kilka tylko razy rozmawiałem z nim i słuchałem jego wykładów. Po wielu latach braku kontaktu z nim, pewnej nocy miałem taki sen. Profesor przyjechał pod nasz dom w Rzepniku. Był świt. Zaprosiłem go na kawę, którą wynieśliśmy pod stary, kilkusetletni dąb przy cerkwi (nieopodal domu). Profesor powiedział, że przyjechał, aby powiedzieć, że chciał się pokłonić temu świętemu dębowi i powiedzieć, że mnie ceni sobie to co robię. Po czym odjechał w stronę wschodzącego słońca. Zbudziłem się i szepnąłem do Sary: „Chyba Wierciński umarł”. Rano zadzwonił znajomy z wieścią o śmierci profesora.

To nie jedyna tajemnicza historia, którą mógłbym opowiedzieć. Niespodziewane przebłyski telepatii, zdarzenia synchroniczne, kontakt z duszami zmarłych i duchami drzew to rzeczy normalne dla człowieka, który obronił się przez zupełnym skażeniem naszą plastikową kulturą.

Ziemianka

Kiedy dawno temu chciałem być bardzo dziki, zbudowałem sobie dzikie całoroczne schronienie. Nie chciałem podszytego wiatrem tipi. W stromym zboczu wykopałem ziemiankę. I to całkiem sporą, zbyt sporą, jak na moje zdolności budowlane (3 x 8 m). Wkopałem się półtora metra w głąb ziemi, przykryłem daszkiem z drewna, a potem papą i darnią. Krzyżówka ziemianki słowiańskiej, krytej darnią ziemianki Mandanów i schronienia partyzantów.

Była całkiem ciepła, ale trochę wilgotna i potwornie zadymiona. Po kilku dniach w niej spędzonych zrozumiałem, że dożyję w niej najwyżej czterdziestki. I poddałem się, a ziemianka po kilku miesiącach zawaliła się, obsunęła się wiosną ziemia z wykopu. Podwójna porażka, choć ruiny stały jeszcze dwanaście lat.

Wyszedłem na powierzchnię - mieszkając w normalnej chacie, zacząłem się interesować architekturą naziemną. I zbudowałem wielki szałas kryty suchymi żdźbłami traw.

A teraz mieszkam w innej chacie. Chacie z bali z rozebranej dziewiętnastowiecznej karczmy. Każdy z tych bali sam podczyszczałem siekierą i impregnowałem. A chacie dałem odrobinę dzikości. Mech zbierany w Puszczy Białowieskiej utkałem między belki, lepiej się sprawuje niż inne utykacze. Pod belki, na rogach starożytnym zwyczajem położyłem pieńki - jeden złoty, jeden funt, jedno euro niemieckie i jedno euro francuskie. Tak po unijnemu. Piec kazałem zrobić z rzecznych kamieni, a podłogi i ścian nie zabezpieczyłem żadnym lakierem. Drewno pozostało drewnem. Zawsze kiedy odwiedzają nas goście, pytają: „Nie myślałeś o zaimpregnowaniu podłogi?”. „No, powoli robimy to brudem i tłuszczem z naszych stóp”.

Fale

Fale mózgowe można mierzyć. Są to cykle aktywności bioelektrycznej mózgu. Wie o tym każdy, komu robiono EEG. Fale gamma (ok. 40-100 Hz) odpowiadają aktywności ruchowej człowieka. Wolniejsze - beta (ok. 12-28 Hz) - charakteryzują codzienną aktywność. Alfa - 8-13 Hz - to fale spoczynku, odprężenia, kiedy leżymy z zamkniętymi oczyma, wykorzystywane do szybkiego uczenia się. Potem są theta - 4-5 Hz - fale szamańskie - granicy jawy i snu. Kiedy zanika zdolność logicznego myślenia, a zaczynają się wizje. Fale podatności na sugestie, fale, w których możemy kontrolować własne funkcje fizjologiczne. Dalej jest delta - 0,5 do 3 Hz - fale uśpienia i głębokiej medytacji.

We współczesności za dużo życia w gamma i beta, za mało alfa, theta i delta. Brak snu, brak snów, brak szamańskich wizji, brak spokoju. Nasz mózg można pobudzać do wejścia na odpowiednie fale nie tylko farmakologicznie. Świetny jest bęben - ponad dwieście uderzeń na minutę przenosi nas w świat szamańskich wizji, a wolniejsze bębnienie wycisza i usypia.

Nie oznacza to, że nasi dzicy przodkowie spali i śnili aż tak dobrze. Niewygodne szałaszy, płaczące dzieci, gryzonie, węże i komary przeszkadzały im. Tytuł książki Everetta *Don't sleep, there are snakes (Nie śpij, są węże)* świetnie oddaje specyfikę rzeczywistości plemiennego życia w Amazonii. Jak pisze Everett, życie toczy się przez okrągłą dobę. Ciągłe ktoś się budzi i hałasuje. W takim stanie pewnie więcej jest stanu *theta* niż *delta*. Ktoś, kiedyś powiedział, że aby przeżyć w klimacie umiarkowanym, trzeba cały czas myśleć o przyszłości; aby przeżyć w wilgotnym klimacie równikowym, trzeba cały czas myśleć o terażniejszości i jej niebezpieczeństwach.

Ja mieszkam w klimacie umiarkowanym - w karpackiej wiosce zagubionej między pagórkami. Muszę myśleć o opale, zimowych oponach i inwestycjach na przyszłość. Za oknem śnieg. Siedzę w wygodnym fotelu z nogami na stoliku. Ręka w gipsie (za mało uważności w codziennym życiu). Robię rachunek sumienia swojego powrotu do natury, zajadam zamarynowane przeze mnie rydze i słucham z DVD bębnienia do jakiegoś tańca Indian Prerii. Odpływam, odpływam, ale nagle słyszę buczenie. Zatkanął się zlew i pranie wylewające się z węża pralki automatycznej zalało całą kuchnię. *Nie śpij, tu też są węże.*

.

Proste i krzywe

W dziekij przyrodzie większość rzeczy jest pokrzywiona. Nieliczne tylko drzewa są proste, jakieś źdźbła, gałęzie. Ale rzadko idealnie. Zawsze istnieje ta niedostrzegalna krzywizna, jak w toporem ociosanym balu drzewa. Nawet jak jedziesz autem, to z odległości dwustu metrów widać, czy bal jest ręcznie ciosany czy z tartaku. Chińczycy, zgodni z zasadami fengszui wierzą, że długie idealnie proste linie są w krajobrazie szkodliwe. Tworzą zabójczą energię *sha*, która prowadzi do nieszczęść i choroby. Ale linia prosta, zakłeta w kwadrat lub szeroki prostokąt, jest piękna i harmonijna. Prostokątna polana stanowi idealną przeciwwagę dla chaosu dżungli. Jeden prostokąt, jedno koło szałasów na prerii - są piękne, ale my zamieniliśmy świat w cały labirynt linii prostych. Piękno starej architektury to nie tylko patyna i duch. Czasem to zwykła krzywizna. Czasem wystarczy majstrowi postawić pół litra, powiedzieć, żeby robił bardziej na oko - i zacznie budować po dawnemu. Wystarczy jakiś owalny secesyjny znak, jakaś podkowa, trochę wygładzić kanty i już czujemy się le-

piej. Tylko Anglicy jeszcze we współczesnym świecie zachowali tę wrażliwość krzywizn.

Te cholerne kanty. Jadąc przez Polskę widzę tynki z kręwdziami domów jak brzytwy. A nie można tak miękko? Żeby były lekko przytępione. Budowla jest naturalna, jak się ją robi trochę na oko, rękami, toporem, z gliny, drewna, cegieł z odzysku. Anglicy, żeby mur ceglany uzyskał patynę, polewają go mlekiem. Żeby obrósł mchem.

Co ja tu mówię o fengszui i Brytanii. Także w naszej ludowej i dworskowej tradycji jest wiele krzywego. Ale się tego wstydzimy i to zostało zanegowane. Piękne są te ślady ludowej polskiej mądrości w krajobrazie, te różne śparogi na dachach, kamienie u wejścia, wymyślne ornamenty wokół okien. Świetnie o tym pisze Leszek Matela w książce „Polskie feng-shui”.

Dzieci Majów

Jedną z rzeczy, która różni współczesnego człowieka od jego dzikich pobratymców zbieraczy-łowców czy nawet pierwotnych rolników, jest niezwykle głęboka znajomość otaczającego środowiska u tych drugich. Dziki człowiek, pomimo że nie chodził do szkoły, zna większość gatunków roślin i zwierząt, które go otaczają. Ma dla nich nazwy. Swoje, miejscowe, ale wcale nie tak różne od współczesnych nazw naukowych. Bardzo często klasyfikacja świata żywego przez jakieś plemię prawie pokrywa się z naukową. Czasem ta plemienna jest dokładniejsza, kiedy dotyczy organizmów najważniejszych do przeżycia, na przykład uprawianych roślin czy poławianych ryb. Wtedy dzicy rozróżniają wiele odmian jednego gatunku naukowego. W innych wypadkach jednak ta ludowa klasyfikacja może być mniej ścisła, na przykład w wy-

padku mchów, których poszczególne gatunki zwykle nie mają swoich własnych nazw, choć ich różnorodność jest w sposób nienazwany uświadamiana.

Tę wiedzę środowiska nabywa się od wczesnego dzieciństwa. Poprzez robienie zabawek z roślin - wyplatanie wianków z kwiatów, sznurków z łodyg, torebek z kory, zwierzątek z liści. Poprzez zbieranie jagód z matką i siostrami. Polowanie z ojcem. Łapanie ryb do ręki z kolegami.

Ta bezpośrednia wiedza o przyrodzie jest dostępna nie tylko dzikim. Jeszcze do niedawna mieli ją ludzie, którzy wychowali się pasając krowy - zwykli chłopi w zapadłych kątach Polski mieli ją prawie tak bogatą, jak pierwotne plemiona.

Lecz wiedza ta zanika. Dzieci, wychowane przed ekranem komputera, zagnane do izb szkolnych, na wycieczkach chronione przed ubrudzeniem przez tępych nauczycieli biologii, nie znają prawdziwej przyrody. Uczy się je genetyki, cykli życiowych, list gatunków chronionych, ale nie pokazuje się im tego, co jest za płotem. Gąsienic rusalek żerujących na pokrzywie, rdestu ptasiego, który mijają na ścieżce, drzew w parku czy gatunków sikorek, które objadają owoce nieznanych im krzewów przed blokiem.

W tradycyjnych społecznościach wiedza dzieci o przyrodzie jest ogromna. Stross prowadził badania nad dziećmi Indian Tzeltal Maya²⁸. Na ścieżce występowało około dwieście gatunków roślin. W wieku czterech lat dzieci były w stanie nazwać trzydzieści dwa rodzaje roślin, a w wieku lat dziewięciu aż 106 rodzajów i dwadzieścia gatunków. Badania powtórzone kilka lat temu przez Zarger i Steppa po trzydziestu latach nie wykazały istotnego ubytku tej wiedzy²⁹. Podobne

²⁸Stross B 1973. Acquisition of botanical terminology by Tzeltal children. [w:] *Meaning in Mayan Languages*. M.S. Edmonson (red.). Mouton, The Hague, ss. 107-141.

²⁹Zarger RK, Stepp JR 2004. Persistence of botanical knowledge among Tzeltal Maya children. *Current Anthropology* 45(3):413-418.

badania przeprowadził Hunn. Dwunastoletnia dziewczynka z plemienia Zapoteków w stanie Oaxaca w Meksyku potrafiła opisać sposób użytkowania 393 taksonów roślin, co jest podobno dosyć typowe dla tego plemienia³⁰. Współczesne dzieci z USA znają jedynie ułamek liczby gatunków, które znają dzieci z rdzennych plemion meksykańskich.

Problem obecnie leży w tym, że nie tylko dzieci nie znają roślin, ale boją się same nadawać im nazwy. Zwróciła na to uwagę Carol Kaesuk Yoon w swojej książce *Naming Nature*. Człowiek ma naturalną skłonność do nazywania i klasyfikowania obiektów ożywionych. Więc właściwie nawet nie chodzi o to żeby na siłę dzieci uczyć nazw, ale żeby im nadać radość nazywania, radość spontanicznej manipulacji światem. A w europejskiej szkole uczy się bezradności i bierności.

Piersi

I zapomniałem o jeszcze jednym atrybucie dzikości. O ludzkim mleku. Jednym z najważniejszych syndromów rozwoju cywilizacji było odarcie nas z możliwości odżywiania się mlekiem naszej matki w pierwszych miesiącach i latach życia. Zastępowanie naturalnego ludzkiego mleka (o składzie białek, tłuszczów i cukrów optymalnym dla rozwoju dziecka) sztucznymi pokarmami, osiągnęło swoje apogeum w ciągu kilku dziesięcioleci po II wojnie światowej. Teraz wracamy do tego pokarmu.

Współcześni nam zbieracze-łowcy karmią piersią swoje dzieci (lub raczej karmili, bo ich prawie już nie ma) przez

³⁰Hunn ES 2002. Evidence for the precocious acquisition of plant knowledge by Zapotec children. [w:] *Ethnobiology and Biocultural Diversity*. JR Stepp, FS Wyndham, RK Zarger (red.). International Society of Ethnobiology, Athens, GA, ss. 604-613.

kilka lat życia, czymś zwyczajnym jest karmienie przez pięć- sześć lat. Oczywiście pełna zależność pokarmowa dziecka od matki to jedynie pierwszy rok życia (i to często niecały), ale faktem jest, że dla dzikiej kobiety pierś była organem często używanym.

W piersi kobiety ma punkt styczny kilka aspektów ucieczki człowieka od natury. Po pierwsze brak zaufania do naturalnego pokarmu. Pokarm naturalny (ludzkie mleko) uważano w drugiej połowie dwudziestego wieku za niewystarczający - za zbyt wodnisty, występujący w zbyt małej ilości, a samo karmienie - za niehigieniczne, nienaturalne. Po drugie, ukrywanie piersi. Piersi fontanny pierwszego ludzkiego pokarmu, symbolu kobiecości. Negacja naturalnego, ale i też erotycznego aspektu piersi. Z drugiej strony strach kobiet przed ich odkrywaniem, żeby nie podniecać niebezpiecznych, agresywnych, patriarchalnych samców.

Warunkiem naszego zdrowia jest używanie wszystkich naszych organów. To ich używanie, przepływ energii w nich daje nam sprawność i chroni przed nowotworami. Oczywiście mam na myśli używanie, a nie nadużywanie i wyeksploatowanie. Kobiety, które przez kilka lat karmiły piersią, dużo rzadziej zapadają na raka piersi. Mężczyźni, którzy często ejakulują, rzadziej zapadają na raka prostaty. No i jeszcze stawy. Ludzie, którzy uprawiają jogę, mogą do głębokiej starości zachować wysoką elastyczność stawów, chroniącą ich przed urazami i umożliwiającą w pełni aktywne życie. W wieku średnim zwykle zaczynamy zupełnie oddawać się czynnościom automatycznym, głównie siedzeniu. Powtarzanie tych samych pozycji zupełnie nas usztynia i obciąża nasz układ kostno-mięśniowy. Dzieci są inne: skaczą, wiercą się, leżą na podłodze, machają nogami, wspinają się po drzewach i wykonują jeszcze dziesiątki innych różnorodnych ruchów. Słowa Jezusa, „bądźcie jak dzieci”, mają więc jeszcze jeden wymiar: „Bądźcie rozluźnieni, różnorodni, naturalni, używajcie wszystkich swoich organów, ale z umiarem!”

Dzika kobieta

Pisałem już o dzikich kobietach budujących swoje wiggwamy, o dzikich kobietach niebojących się nagości, o dzikich kobietach Agta, które polują na dzikie świnie, o dzikich kobietach Aché, które zmieniają mężów kilkanaście razy, ale jest jeszcze jedna kategoria: dzika kobieta z koniem. Poznałem ich w życiu kilka. Rzeczywiście, znaczny odsetek kobiet, które mają w sobie pierwotną moc, siłę, odwagę, miłość do natury, to fascynatki jazdy konnej. Czy konie to symbol dzikości? Nie dla mnie. Pierwotni zbieracze-łowcy ich nie mieli. Przeskok na konia dał jednak pierwszym jeźdźcom wielką przewagę nad piechurami - szybkość przemieszczania i możliwość transportu towarów. Dlatego Indianie Prerii tak szybko przejęli konie od białych. Mogli wtedy skolonizować puste i niegościnnie obszary trawiaste. Wcześniej egzystowali na jej obrzeżach, przy rzekach, na skrajach lasów.

No, ale koń w porównaniu do samochodu i roweru jest dziki.

Może fascynacja koniem u nastoletnich dziewcząt to element budzącej się seksualności? Jedna z dzikich kobiet z koniem opowiadała mi, że przeżyła swój pierwszy orgazm galopując na swoim zwierzęciu. Koń dla kobiety to poszukiwanie siły, mocy, może chęć dorównywania mężczyznom. No i zapach konia, podobno je podnieca.

Chciałem kiedyś w Anglii nawet kupić taką perfumę.

- Czy macie jakąś perfumę o zapachu ogiera?
- Niestety, bardzo nam przykro, sir, nie mamy - pani zrobiła minę, która była połączeniem zdziwienia, odrazy, próby ukrycia ataku śmiechu i seksualnego zainteresowania.

Koń to też ważny element snów. W wielu sennikach to symbol śmierci, tajemnicy, przemiany. O dziwo pojawia się też w moich snach - snach człowieka, którego drażnią konie, koty i psy. Opowiem o jednym z nich.

W śnie tym pojawiło się jedno z moich ukochanych miejsc, biała kapliczka na szczycie Wólki Bratkowskiej na Pogórze Dynowskim. Miejsce, które mijam zawsze, jadąc z domu do Krosna. Zresztą przyciąga i innych. Moja młodsza córka, już gdy miała trzy lata, krzyczała, kiedy wspinaliśmy się na to wzgórze: „To moja ulubiona górka!”. Rzeczywiście miejsce to szczególne. W bardzo pogodny dzień widać na nim (podobnie jak na kilku sąsiednich górkach w Rzepniku, Bratkówce, Odrzykoniu, Korczyni i Komborni) panoramę Karpat, od bieszczadzkich połonin, przez Beskid Niski, majestatyczne słowackie Tatry, aż po skrawki Beskidów Zachodnich.

No więc kapliczka jest biała, przy niej brzoza i lipa, góra jest niezadrzewiona z piękną panoramą. We śnie jednak pół góry, aż do szczytu, porastał stary bukowy las. Do kapliczki przywiązanych było grubymi sznurami pięć wychudzonych białych rumaków i pięć spasionych gigantycznych szczurów. Odciąłem je. Zwierzęta uśmiechnęły się do mnie i z wolna czmychnęły do lasu. Na skraju lasu witał je gigantyczny odyniec. A ja teraz zawsze, jak siadam pod tą kapliczką, myślę o tamtym śnie. I nazywam moje Pogórze Dynowskie Górą Dzika.

Jakie ohydne, „nienaturalne” nazwy: Pogórze Dynowskie, Pogórze Strzyżowsko-Dynowskie albo Czarnorzeczko-Strzyżowski Park Krajobrazowy. Chcę, żeby na mapach były Góry Dzika. Tajemniczy, splecione łańcuch wzgórz i dolin, od Komborni po Górę Chełm, jak śpiący smok górujący nad Krosnem, z jednym okiem - Zamkiem Kamieniec, i drugim - Prądkami.

Góry

Uciekli z miasta piętnaście lat temu. Witek i Ania. Szukali swojego miejsca, mieszkali w Volkswagencie Transporterze i wynajmowali różne chaty. W końcu kupili starym dom na odludziu. W ciągu kilku lat przerobili go na prawdziwy drewniany pałac. Rozbudowali o różne wiaty, saloniki, dobudowali szklarnię, a stodołę przerobili na pokoje gościnne. Góry były ich misterium. Kiedy zmęczeni zbieraniem tarniny, którą sprzedawali w skupie, leżeli na trawie na wzgórzu przed swoją chatą, wiedzieli, że są na swoim miejscu. Całymi godzinami smagani wiatrem, słyszeli stukot jej owoców wpadających do plastikowych wiaderk. Widzieli przelatujące myszołowy, jastrzębie, a nawet trzmiełojady i orliki. W lecie zbierali zioła do skupu w Herbapolu: dziurawiec, rzepik, lipę i świetlik. Wieczorem byli umazani od potu. Ale skóra, oprócz jego słonego smaku, pachniała macierzanką, dziurawcem i miętą. Pachniała latem. Pokryta była drobnymi czerwonymi kropkami, znakami niewielkiego uczulenia na trawy, bąblami po ukąszeniach komarów i czerwonymi pręgami od kolców jeżyn.

Kiedy pojawiły się dzieci, potrzeba było więcej pieniędzy. On uczył angielskiego w prywatnej szkole w mieście, ona rosyjskiego tu we wsi. Ich magiczny świat pół roku trochę się skurczył, wiosną brakowało czasu, żeby zbierać bukiety z kaczeczków i miodunek. Jesienią, żeby pójść na grzyby. Brali wszelkie możliwe nadgodziny, żeby skończyć chatę. Nie jeździli na narty. Nie rąbali już sami drewna i nawet nie malowali sami mieszkania. Zawsze znalazł się jakiś bezrobotny ze wsi, który mógł to zrobić za flaszkę.

Jedynie lato mieli dla siebie. Okres wakacji traktowali jak święty, mieli wtedy czas, dla siebie i dla lasu. Zbierali sierpniowe prawdziwki i kurki. chodzili pływać nad rzekę.

W końcu skończyli remontować chatę, a dzieci podrosły. Kupili owce. Założyli agroturystykę. Mieli dużo gości, zachwyconych widokami, oscypkami i pysznymi powidłami. Zachwyconych atmosferą rajy - o ile można ją stworzyć w klimacie, gdzie deszcz pada przez kilka miesięcy, a niebo jest szare jak stal dwieście dni w roku.

Kiedy ich poznałem, od razu pomyślałem: świetne miejsce na dwudniową konferencję. Akurat wtedy takiego potrzebowałem. Uczestnicy byli zachwyceni. Brzuchy mieli wzdęte od próbowania coraz to nowych specjałów szpizarni. Po wykładach leżeli na trawie, kąpiąc się w słońcu lub snuli się po okolicznym lesie, przynosząc naręcza niespodzianie znalezionych grzybów zawinięte w T-shirty.

Siedzimy na tarasie, pijemy cudowną kawę, jakąś nową meksykańską markę, którą Witek odnalazł w internecie. Na horyzoncie punkcik.

- Kto to? - pytam.

- Baba, która dla moich gości zbiera prawdziwki - mówi Witek.

- Ja sam już nie byłem dwa lata w lesie - dodaje.

- No, nie, pomyliło mi się, w styczniu byłem terenówką po drzewo - potem jeszcze chwali się. - Ciężko jest się wyrwać, bo ciągle gości mamy, ale na listopad wykupiłem sobie safari w Afryce, lecę z obydwoma synami.

Parę miesięcy później dzwonię do Witka:

- Jak było na safari?

- Świetnie - odpowiada. - Widziałem tyle zwierząt, o których zobaczeniu marzyłem. Stąpałem po ziemi, która wydała pierwszych ludzi. Naładowałem się energetycznie. Szkoda tylko, że wtedy, kiedy opowiadałem Anglikom o naszych polskich wilkach, te zjadły wszystkie moje owce. Gdybym nie pojechał na safari, wreszcie bym je zobaczył na żywo.

Witek ma ciekawego sąsiada we wsi. Edward też zbierał zioła i grzyby, ale zakochał się w tych halucynogennych. Przez kilka lat świetnie mu szło. Sprzedawał je w akademiach w Krakowie. W górach szczególnie dobrze rodziły *Psilocybe semilanceata* i te drugie, których nazwy nie napiszę, żeby te ch... nie wciągnęły ich na żadną zakazaną listę. Te pierwsze małe, białawe, z ostrymi czubeczkami. Te drugie ciemne, jakby dzwoneczki. Uwielbiały rosnąć na pastwiskach Witka, między górnami jego owiec. Zarabiał na nich więcej, dziesięć razy więcej, niż Witek na swoich oscypkach. Też mieszkał w chacie na górze, kupił starą terenówkę, jakiegoś rozleciałego UAŻa. Laski przyjeżdżały do niego często, ale nigdy nie był z żadną dłużej. Przystojny był, piękny, z długimi bujnymi czarnymi dreadami. Magiczne grzyby nie tylko sprzedawał, ale i je kochał. Jadł je na chlebie z masłem. Lubił regularność. Herbata Yunnan, kaszanka i chleb z masłem i grzybkami. Czasem, jak ich nie miał, smarował chleb smażonymi opieńkami. Zjadał śniadanie i siadał na progu chaty, wysokim, takim, jakie dawniej stawiano, żeby złe do chałupy nie szło.

Po tym chlebie widział Jezusa nad swoją górką. I błękit nieskończoności. Poniżej swoją ziemię. Czasem zupełnie odmienioną. Bardziej barwną niż inni ludzie ją widzą. Na pniach drzew pojawiały się twarze. Szczególnie pięknie było wiosną, gdy śpiew ptaków zamieniał się w tęczowe figury i smugi. Czasem miał wrażenie, że nie ma dwu oczu, ale jedno. Że jego Jedno, a może Trzecie oko obiega cały świat dookoła, przez Afrykę i Antarktydę, Pacyfik i Arktykę, zawraca i masuje go po plecach. Pod progiem czuł szkielety poprzednich pokoleń, zimne duchy gleby i gorące, niebezpieczne moce piekieł, w które wierzył. I tak przez trzy lata.

Pewnego dnia w chatę strzelił piorun. Ale Edward lubił regularność, nie chciał się wynosić. Zamieszkał w stodółce, która ocalała. Wstawił kozę, ociepił wełną mineralną. Podupadł na zdrowiu, nawet rentę mu dali. Ale dalej się uśmiechał

i promieniował dobrem. Wszystko by innym oddał. Ciepły był, jakąś taką aurą promieniał. „Grzyby mnie zmiękczyły” - mówił.

Dalej jadł chleb z grzybkami. Siedział na progu stodołki i patrzył na wschodzące słońce. Zawsze „Ojciec nasz” mówił. Szczególny nacisk kładł na „chleba powszedniego daj nam dzisiaj”.

Kiedy ostatni raz go widziałem, jego dredy posiwiały. Poza tym nie zmienił się. Już po dwóch piwach, siada pod stołem i zaczyna bębnić i mruczeć, i tak godzinami.

Runner's High

Runner's High czyli Haj Biegacza lub Euforia Biegacza to fenomen stanu euforycznego, pojawiający się podczas długiego biegu lub innej długotrwałej aktywności fizycznej, powodujący zwiększoną odporność na ból i zmęczenie. Teoria ta powstała w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Wpiero przypisywano ją tak zwanym endorfinom. Substancje te to wewnętrzne, wytwarzane przez organizm, analogi morfiny. W większych ilościach pojawiają się w organizmie przy długotrwałym wysiłku, po urazach, ale też po zakochaniu się w kimś (tylko przez kilka tygodni...) albo po zjedzeniu potraw bogatych w chilli.

Według współczesnych poglądów na temat znaczenia wysiłku fizycznego dla zdrowia człowieka, najlepiej kiedy trwa on codziennie, powyżej jednej godziny. Dopiero wysiłek trwający trzy kwadranse do godziny pozwala na zużycie zapasów glikogenu w mięśniach i przejście na oddychanie beztlenowe w mięśniach. Niedotlenienie wywołuje stres organizmu, co z kolei może powodować silne wydzielanie endorfin. Regularne zużywanie zapasów glikogenu jest też najlepszym sposobem na zdrowe odchudzanie.

Obecnie czasem kwestionuje się teorię endorfinową, gdyż poprawa nastroju po bieganiu występuje nawet u osób, którym podano inhibitory endorfin. Przyjmuje się, że w fenomenie *runner's high* bierze udział kilka substancji, także bliska amfetaminie fenyletyloamina i kannabinoidy.

Pomimo że człowiek pierwotny spędzał czasem kilka dni na lenistwie, gdy miał zapasy jedzenia, a pogoda była kiepska, to miał zdecydowanie więcej ruchu niż my obecnie. Za wielką falę depresji zalewającą Bogaty Zachód odpowiada prawdopodobnie właśnie niedobór ruchu. I tu paradoks. Obecnie osoby mieszkające na wsi, dojeżdżające do miasta do pracy, mają mniej ruchu niż mieszczyki z centrum, które wszędzie chodzą na piechotę. Na wsi często nie ma pretekstu, żeby się poruszać. Droga jest jedna i bieganie nią tam i z powrotem jest nudne. A miasto? Miasto jest siecią dróg, energia krąży wielokanałowo. Ktoś kiedyś powiedział, że miasto jest jak kryształ. Miejsce, gdzie energia krąży w sposób regularny, korzystny dla człowieka.

Ziemia jest nasza

Był sobie kiedyś wielki piękny staw. Julek wykopał go łopata. Przez czternaście lat zbudował tamę na cztery metry. Ten staw był perłą naszej wsi. Nazywałem go Morskie Oko. Choć woda była żółta jak w gliniance, była czysta, źródłana, pachnąca. Nad pałkami latały ważki, a przepłynięcie w poprzek pięćdziesięciu metrów było prawdziwą przygodą. Ale pewnego dnia komornik zabrał Julkowi staw, za długi. Zrobili przetarg i kupił to pewien Pan ze Śląska.

Pewnego dnia przyszedłem nad staw z ręcznikiem, jak prawie codziennie w lecie. Stawu nie było. Koparki i spychacze brnęły w błotnistej mazi. Staw miał być pogłębiony.

No, jest większy i głębszy, i już teraz równiutko kwadratowy, żeby był porządek. Innym razem kiedy tam poszedłem był już ogrodzony. W słońcu jak żołnierze lśniły metalowe słupy umocnione betonem. Pomiędzy nimi siatka. Powyżej napis: „Teren prywatny, wstęp wzbroniony”.

Przypuszczam, że Ślązak, nawet tak bardzo nie żałował ludziom tego stawu. Zrobił to ze strachu. Bo polskie głupie prawo obarcza odpowiedzialnością właściciela stawu za śmierć tych, którzy się w nim utopili. Chyba, że się go ogrodzi. Jeszcze jeden przykład głupoty praw kraju, w którym żyję.

Ano topiło się w tym stawie u nas ludzi co nie miara. I Mietek, i Franek, i Władek, i ja. Albo ich skurcz złapał, albo po pijaku. A nad stawem była też buda. W budzie stara kanapa. Młodzież tam chodziła, wiadomo po co.

Pierwotni ludzie nie znali pojęcia własności ziemi. Ziemia mogła ewentualnie należeć do plemienia, ale w innym sensie niż jest to obecnie. Granice między ziemią plemienia X i Y były często nieostre. Czasem dotyczyły jedynie świętych miejsc, grobów czy określonych punktów bytowania zwierząt i roślin. Mapa nie składała się z wielokątów - państw, gmin, pól, ale z punktów - obozowisk, świętych miejsc oraz ścieżek. Reszta była wolna.

Obecnie w różnych krajach Cywilizowanego Świata podejście do używania prywatnej ziemi też nie jest jednakowe. W Polsce zupełnie normalne jest zbieranie grzybów i ziół po lasach i nieużytkach bez zastanawiania się, do kogo należy ziemia. Część lasów jest państwowa, część prywatna, ale nikogo to za bardzo nie obchodzi. No, ale już z rozbiciem namiotu jest gorzej. Ileż to opowieści słyszałem o leśnikach gnębiących jakiegoś Bogu ducha winnego wędrowca. No ale jeszcze przed II wojną trzeba było kupować bilet do zbierania runa w lesie. W Anglii jest odwrotnie. Zanim wejdziemy na jakiś teren, powinniśmy się zastanowić, czyj on jest. Jeśli wejdziemy na pry-

watne pastwisko, pewnie nie zastrzelą nas od razu, ale różnie może być. Anglia jest krajem feudalnym. Większość ziemi należy do niewielkiej garstki arystokracji i farmerów. W kraju tym toczy się od wielu lat kampania na rzecz otwarcia dostępu tych wielkich posiadłości, które pozostają niedostępne za murami i żywopłotami. Podzielony starożytnymi żywopłotami krajobraz Anglii jest jakby z natury mniej dostępny postronnym. Poruszać się możemy jedynie po specjalnie wyznaczonych ścieżkach, które mają nawet specjalne schodki prowadzące nad żywopłotami i bramami, po to, żeby nie wypuścić owiec. Już w Szkocji swoboda łążenia po górach jest większa i zagwarantowana przez prawo.

Prawdziwym rajem wolności poruszania się jest Skandynawia. Nie dość, że miejsca tam dużo, to istnieje tam specjalne stare prawo obowiązujące w Norwegii (*Allemannsretten*), Szwecji (*Allemansrätten*) i Finlandii (*Jokamiehenoikeus*), gwarantujące wolność poruszania, a nawet prawo do tego żeby przez jedną noc wędrowiec mógł rozbić namiot i zapalić ogień.

Spalić księgi

Ludzie z Bratkówki opowiadali mi, jak po wojnie grabili dwór Starowiejskich. Przyszła komuna, panów wygnano. Meble spławiano rzeką aż do Łączek i Łęk. W wielu dworach takich jak ten, księgi i meble szły na opał. Jest w tym coś barbarzyńskiego, okropnego, odrażającego, ale i kuszącego.

Moje książki były mi największą przeszkodą, kiedy chciałem uciec do lasu. Wrażliwe na wilgoć, na najdrobniejszą kroplę deszczu, muszą być chronione. To pochłania energię. Kiedy zacząłem myśleć o zamieszkaniu w lesie, pierwszą rzeczą,

jaką zrobiłem, było uporządkowanie księgozbioru. Nawet jeśli całego nie zniszczę, to zredukuję go do dzieł wartych zachowania dla potomności. Na ognisku spłonęły stare podręczniki szkolne, przestarzałe przewodniki i zeszyty. Z sześciuset książek w ciągu jednej nocy wybrałem trzysta na sprzedaż. „To prawdziwa, niezafałszowana krytyka literacka” - zaśmiał się szyderczo Zbyszek, właściciel antykwariatu w Krośnie. Sprzedałem wtedy na przykład całego Miłosza, zdudził mi się. Zostały między innymi klucze do oznaczania roślin, książki kucharskie, encyklopedie i dziewiętnastowieczne rodzinne modlitewniki. Z powieści tylko *Wodnikowe Wzgórze* Adamsa, J.R.R. Tolkien i Boris Vian.

Zajmowały tylko parę pudełek, można je już było zabrać na koniec świata.

Po zrobieniu doktoratu dostałem takiego wstępu do słowa pisanego, że przez dwa lata nic nie napisałem, poza wypełnianiem PIT-ów i formularzy paczek na pocztę. Dawałem lekcje angielskiego, zbierałem nasiona. Wspaniała to była przerwa. Zakończona napisaniem pierwszej książki *Dzikie rośliny jadalne Polski*.

Gdybym jednak na lata miał utknąć w Puszczy, bardzo bym za księgami tęsknił, szczególnie za dobrymi artykułami naukowymi, takimi pisanymi z samej ciekawości. Czasem to przebija przez, wydawałoby się, bardzo suchą naukę. Dobra nauka wznosi się na wyżyny najwyższej sztuki.

A może kiedyś notebooki będą wodo- i wstrząsoodporne. Tak trwałe, że tym samym urządzeniem będzie można logować się do biblioteki na końcu świata i tłuc w lesie orzechy? No i będą ładowane bateriami słonecznymi.

Uproszczenie i komplikacja

W opisywanych tu pokrótce różnych aspektach poszukiwania dzikości i naturalności ścierają się dwie tendencje: do uproszczenia i do zwiększenia różnorodności.

Niektórzy chcą „powrotu do natury”, bo ich życie wydaje się zbyt skomplikowane. Wydaje im się, że człowiek był szczęśliwszy mając bardziej „proste życie” (w domyśle proste domostwa, prosty ubiór, kilka przeplatających się przez całe życie czynności). Inni widzą w postępie cywilizacji zubożenie: zanik bioróżnorodności, zanik języków, zamieranie ekosystemów. A więc powrót do natury to ochrona bioróżnorodności, ucieczka od korporacyjnego więzienia, powtarzalnej wieloletniej pracy jako ekspedient, robotnik, grafik komputerowy. Próba skomplikowania własnego życia: zamiany pracy przed komputerem na rąbanie drzewa, zbieranie owoców, hodowlę pszczoł, może uprawę warzyw, jakieś rzemiosło itd. itd.

W ewolucji społeczeństw ludzkich istnieje tendencja do wypierania prostszych układów przez bardziej złożone. Zauważyli to dziewiętnastowieczni ewolucjoniści. I choć potem kolejne pokolenia antropologów ich za to szkalowały, to obecnie powraca się do ich myśli, zwracając uwagę, że ta stopniowa komplikacja społeczeństw tworzy więcej żywności. To zwiększona produkcja żywności jest głównym determinantem ewolucji społeczeństw.

A więc, niestety, nasze próby ucieczki do natury są ograniczone tym właśnie ogromnie ważnym czynnikiem: ilością pożywienia. I nie możemy przekroczyć tego ograniczenia.

Skomplikowane systemy, które tworzymy - miasta, technologie, systemy rolnicze niszczą inne skomplikowane syste-

my, jak naturalne lasy czy rafy koralowe. Naszym zadaniem powinno być stworzenie stanu równowagi, w którym zachowane zostaną wszystkie zdobycze cywilizacji, ale i wszystkie siedliska. A jednym z rozwiązań, oprócz klasycznych technik ochrony przyrody może powinna być kastracja ludzi, którzy spędzili już pięcioro dzieci? Sorry, ludzi na Ziemi jest wystarczająco dużo!

Na śnieg

Szukając natury, uciekłem na wieś, a właściwie „za wieś”. Zimą spędzam przed ekranem komputera - połączony z ludzkością kilkuset metrowym podziemnym kablem telefonu i Internetu. Otacza mnie jednak przepiękna przyroda: dzikie lasy, potoki, łąki. Ale na dojazdy do miasta i sklepu wydaję miesięcznie dużo pieniędzy na benzynę. Czy było warto? Czy nie lepiej było mieszkać w małym pokoiku w warszawskim bloku? Chodzić na spacerzy nad Wisłę i zbierać dzikie warzywa na podwarszawskich łąkach? Uczestniczyć w naturalny sposób w ludzkiej wspólnocie: w kawiarni czy w pokoju swojego instytutu? Czy warto było zamienić to na nieskażoną naturę, ciszę, konieczność posiadania samochodu i konwersowania z ludźmi przez ekran komputera? W moim przypadku tak, ale pisząc powyższe słowa chciałem pokazać, że natura to nie tylko życie na wsi. Mieszkaniec miasta może być obecnie równie blisko natury. To, co najbardziej dzikie, pierwotne, i co najbardziej nowoczesne, miesza się czasem przedziwnie. Weźmy choćby marokańskich zielarzy, którzy używają sproszkowanych płytek CD (teraz już może DVD) na poprawę pamięci, obok zasuszonych kameleonów na odzyskanie rozumu. Zamynam więc komputer, otwieram drzwi i rzucam się biegiem, dla równowagi, w wielkie przestrzenie ośnieżonego wzgórza.

Sarah jest dzika

Sarah nienawidzi, kiedy mówię do niej Sara. Drobna różnica w angielskiej wymowie, „seere” i „sara”, i jedna kłopotliwa litera na końcu są często przyczyną małżeńskich kłótni. Pomimo tego przywiązania do liter, Sarah jest dzika. Pojawiła się w moim życiu jak dżin z lampy Alladyna. Jak wywołana zjawa. Piszę te słowa dokładnie w miejscu, gdzie się ów dżin pojawił. Na krakowskim Kazimierzu. Wcześniej nie myślałem, żeby ją do tej książki włożyć. Nie wpadło mi to do głowy. Dopiero tu, u początku.

Prawie trzynaście lat wcześniej byłem tu pierwszy raz. W kawiarni Singer, przy ulicy Estery. Byłem z siostrą i jej kolegą Marcinem. Wznieśliśmy toast śliwowicą koszerą. Przez okno wpadł do tego mrocznego miejsca promień lutowego słońca. Z portfela Marcina wysypały się zdjęcia, jak talia tarota. A na wierzchu zdjęcie Sarah, stojącej w jakiejś jogicznej asanie. W tej czarnowłosej, czarnobrewej twarzy widziałem dzikość, inteligencję, ciepło, grozę i słabość zarazem. Poprosiłem o jej adres. Marcin dał mi go i zaśmiał się szyderczo: „To angielska poetka, wczoraj wyjechała z Polski, pewnie nigdy się nie spotkacie”.

Wymienialiśmy listy. Kiedyś postanowiłem zadzwonić do niej z automatu ulicznego (to była era przedkomórkowa, bardzo-wcześnie-internetowa). Osiem złotych za trzy minuty rozmowy. *To finansowe szaleństwo* - pomyślałem - *jak dobrze by było, żeby automat nie brał jednostek*. I nie brał. Gadaliśmy za darmo dwie godziny. Przerywali mi ludzie ustawieni w kolejce do telefonu. A potem tak się potoczyło, że mieszkamy razem.

Sarah jest dzika, bo się śmieje. To obserwacja większości podróżników do różnych biednych, dzikich, ciepłych krajów. Tam się ludzie śmieją. A ona też się śmieje jakby była ze środka dżungli. I nie zna się na survivalu poza tym, że to ona nauczyła mnie naprawdę porządnie rozbijać namiot. Nie zna dzikich roślin jadalnych, nie zabija zwierząt, a ogień rozpała tylko zapałkami. Ale gdyby nastąpiła jakaś straszna katastrofa, przeżyłyby tylko szczury i ona. Jest scentrowana. *I scoop the loop*, mówi. Obecna, sama w sobie. Istnieje, żyje i jest w środku, a nie na zewnątrz siebie. Kiedy ja szukałbym pożywienia, ona by głodowała i pewnie mnie przeżyła.

Sarah jest dzika, bo nienawidzi, jak robi się jej zdjęcia. Ja nie lubię tego tylko trochę, a ona z całą pasją.

Sarah jest dzika, bo oddaje się sytuacji całą sobą.

Sarah jest dzika, bo karmiła naszą Nasim pięć lat i trzy miesiące, a Daisy karmi już prawie tak długo. Jest matką żywicielką. Prawdziwą mleczarnią.

Sarah jest dzika, bo kocha rytm.

Sarah jest dzika, bo kocha czerwień. Zawsze jest albo jak fuk-sja, albo jak róża, albo jak piwonia.

Sarah jest dzika, bo jest.

Sarah jest dzika i to ona nauczyła mnie, że poszukiwanie dzikości jest bzdurą, w którą należy zaangażować się całym sercem.

Epilog

Nie tak dawno temu łąziłem sobie nad Jasiołką w pewnej podjasielskiej miejscowości. Tak jak kiedyś, na początku tej książki otaczały mnie łąny niedźwiedziego czosnku. Tak jak w Dukli skubałem jego listki, i tak jak w Dukli podszedł do mnie starszy człowiek. Tym razem to ja zapytałem:

- Dzień dobry, co pan robi?

- Czosnek zbierom - odparł nieznajomy staruszek.

- Ten niedźwiedzi? - zapytałem.

- Jaki on tam niedźwiedzi, odrzekł staruszek - dziki, dziki czosnek. Ksiondz go zaczon kisić w słoikach, no i baby też zaczoney, mojo tyż mie posłała. Uon jest dobry na wszystko, bo dziki, mocny.

